Mosze Berger

W TAJGACH SYBIRU

W TAJGACH SYBIRU

Mosze Berger

W TAJGACH SYBIRU

Wydawnictwo Austeria
Kraków 2017

ABY NIE OKAZAŁO SIĘ, ŻE ZOSTAŁA TYLKO PUSTKA

Michał Ostrowski

Wspomnienia Mosze Bergera *W tajgach Sybiru* to unikalny obraz czasów II wojny światowej, wojny, która zrujnowała los społeczności żydowskiej w Europie. Mosze Berger przeżył wojnę i pozostawił świadectwo tego czasu obejmujące początki wojny w Olkuszu, trudną ucieczkę wraz z siostrą z terenów Polski zajętych przez Niemców do części sowieckiej, potem – po odmowie przyjęcia sowieckich paszportów – wywózkę na Sybir, w końcu powrót do Polski i Olkusza po wyzwoleniu, gdzie nie czekał jednak na niego rodzinny dom. Książka opisująca te straszne czasy emanuje jednak dobrem, miłością i tęsknotą autora za miastem rodzinnym – Olkuszem. Pokazuje też ówczesne realia, nie unikając trudnych tematów (rabowanie uciekających Żydów przez wykorzystujących ich bezbronność polskich chłopów, zabójstwa dokonywane na Żydach już po wojnie).

Inicjatywa wydania książki Mosze Bergera powstała w Olkuszu, mieście, którego jest honorowym obywatelem. Przez setki lat w naszym mieście żyła liczna społeczność żydowska, wymordowana w większości przez Niemców w czasie II wojny światowej. Nieliczne uratowane osoby,

jak Mosze Berger, nie znalazły tu swojego miejsca w trudnych czasach powojennych i ostatecznie w większości wyemigrowały. Wydanie niniejszej książki jest częścią starań mających na celu zachowanie przynajmniej jakiejś części pamięci o żydowskich mieszkańcach naszego miasta. To również wyraz sprzeciwu wobec hitlerowskich planów wymazania społeczności żydowskiej nie tylko z mapy Europy, lecz także z naszej pamięci historycznej. Nie ma obecnie wśród nas dzieci i wnuków żydowskich mieszkańców Olkusza, którzy mogliby nieść pamięć o swoich rodzicach i dziadkach, o swojej kulturze wzbogacającej nasze miasto. Podejmijmy zatem wysiłek* uratowania pamięci i wiedzy o naszych wymordowanych współmieszkańcach, aby nie okazało się za parę lat, że została tylko pustka.

Podziękowania

Jako edytor obecnego wydania pragnę podziękować wielu osobom, bez których wydanie niniejszej książki byłoby niemożliwe. Przede wszystkim dziękuję Mosze Bergerowi, który nieodpłatnie przekazał prawo do publikacji swoich wspomnień. Wszystkie obecne starania byłyby niemożliwe bez ciągłego wsparcia, zachęty i pomocy badaczy historii olkuskich Żydów: Krzysztofa Kocjana, Ireneusza

* Patrz na fragmentaryczny wysiłek w tym zakresie zebrany na stronie http://olkuscyzydzi.pl.

Cieślika i Olgerda Dziechciarza. Dziękuję także żyjącym za granicą olkuskim Żydom i ich potomkom za wsparcie i pomoc: Belli Rotner z Nowego Jorku, Aviemu Applesteinowi z Kolonii i Broni Witorz z Australii (córki Feli Goldman, siostry Mosze Bergera), której unikalne wspomnienia o wujku wzbogacają obecne wydanie. Dziękuję Agnieszce Kołakowskiej za pomoc w tłumaczeniu tych wspomnień. Ważne były dla mnie także ostatnie kontakty z Olkiem Zilberszacem.

Michał Ostrowski
Olkusz, 16 października 2016 roku

MÓJ WUJEK MOSZE

Bronia Witorz

Myśli i wspomnienia o moim ukochanym wujku.
Niektóre z nich to wspomnienia mojej mamy.
Chciałabym, aby przywołanie ich tutaj pozwoliło czytelnikom bliżej poznać wujka Moszego[*].

Mój wuj Mosze był wyjątkowo miłym i uprzejmym człowiekiem. Nigdy się nie kłócił ani nie obrażał; to nie leżało w jego naturze. Nigdy od nikogo niczego nie oczekiwał ani nie wymagał, za to sam zawsze chętnie dzielił się z innymi. NIGDY nie słyszałam, aby podniósł na kogoś głos.

Troszeczkę tła

Jego mama była bardzo religijna. To było bardzo ważne, szczególnie w czasie Paschy, ponieważ Żydzi używają wtedy innych naczyń niż w pozostałe dni roku. Nie wolno nam wtedy przez osiem dni jeść czegokolwiek z mąką, drożdżami, proszkiem do pieczenia, i wielu, wielu innych codziennych potraw. Pierwsze dwa wieczory Paschy są szczególnie ważne, bo wtedy mamy obowiązek powtórzyć historię

* Bronia Witorz jest córką Feli Goldman, siostry Mosze Bergera. Mieszka obecnie w Australii. Oryginał niniejszego tekstu (w języku angielskim) jest dostępny na stronie internetowej http://olkuscy-zydzi.pl.

ucieczki z Egiptu. Jemy wtedy specjalne, drogie potrawy (tak jak przedstawiano to na obrazach ukazujących „ostatnią wieczerzę"). Cała żywność, którą kupujemy, musi być specjalnie przygotowana na Paschę i dlatego jest droższa. Nasza rodzina była bardzo biedna. Moja mama często mi mówiła, że jednego roku nasza babcia była zrozpaczona, bo w ogóle nie było pieniędzy na przygotowanie Paschy. Ale Mosze właśnie zaczął pracować i wręczył wtedy mamie całą swoją pierwszą pensję. To pokryło koszty Paschy. Moja mama mówiła, że wszyscy byli wtedy bardzo dumni z niego.

Mój wujek ozdobił malunkami swój dom rodzinny. Kiedy odwiedziłam Polskę po raz pierwszy piętnaście lat temu, to chociaż dom był odnowiony, udało mi się zobaczyć pozostałości tej jego pracy.

Chociaż wiele rodzin żydowskich mieszkało w Olkuszu, w pobliżu jego domu rodzinnego nie było innych Żydów, a Mosze i jego siostry na co dzień swobodnie spotykali się ze swoimi sąsiadami. W szczególności ojciec Moszego miał wielu nieżydowskich przyjaciół, wśród nich księdza katolickiego (chociaż nie jestem pewna, czy to było w Olkuszu, czy może w Ulinie, gdzie mieszkali wcześniej).

Mój wujek był zawsze otoczony przyjaciółmi. Jego przyjaźnie trwały niezmiennie całe życie. Wśród najbliższych przyjaciół byli ci z czasów wojny. Byli rozproszeni po całym świecie, ale z wszystkimi utrzymywał korespondencję.

Był dobrze znany w szpitalu, w którym pracował. Zawsze, gdy go odwiedzałam, zabierał mnie z wizytą do dyrektora, szefów różnych oddziałów szpitala, sekretarek, asystentek, magazynierów. Nikt nie był dla niego zbyt ważny lub za mało ważny, a oni wszyscy kochali go i chętnie opowiadali mi różne historie dotyczące jego wieloletniej pracy w szpitalu.

Gdy wujek osiągnął wiek emerytalny, szpital, w którym pracował, zatrudniał go jeszcze przez siedem lat. W późniejszych latach przydzielono mu biurko i opłacano koszty farb i papieru. Dzięki temu przez kolejne dwadzieścia lat mógł robić to, co lubił najbardziej – dekorować ściany szpitala swoimi malunkami, głównie akwarelami. Jego historię opisała nawet miejscowa gazeta.

Malowanie było jego pasją. Był jednym z członków założycieli Stowarzyszenia Artystów w Holonie. Zwykł wysyłać swoje obrazy na konkursy artystyczne w Olkuszu. Był nagrodzony medalem i kluczem do Tel Awiwu. Nadano mu także honorowe obywatelstwo Olkusza. Mosze był szczególnie dumny, gdy burmistrz Holonu wysłał każdemu mieszkańcowi miasta noworoczną kartkę z namalowanym przez niego obrazkiem. Pomimo jego malowania i napisanej książki mój wujek był bardzo skromnym człowiekiem.

Inną pasją Moszego było podróżowanie. On i jego żona Ania żyli skromnie, więc oszczędności pozwalały im na podróże do wszystkich krańców świata. Odwiedzał nas

w Australii tak często, jak tylko mógł, zachwycony czasem spędzanym wspólnie z siostrą i jej dziećmi. Kiedy odwiedzaliśmy jego i Anię w Izraelu, potrafili jakoś znaleźć łóżka dla całej naszej piątki w ich niewielkim mieszkanku.

W Polsce, po wojnie, wujek mieszkał razem z moimi rodzicami, a gdy urodziliśmy się ja i mój brat, z całą naszą czwórką. Byłoby mu wtedy łatwo znaleźć żonę, ale chciał zostać z nami i pomagać, jak tylko mógł. Po cichu, bez słowa wręczał mojej mamie większość swojej pensji. Po pracy często jej pomagał, zajmując się moim bratem i mną. Zawsze traktował mojego brata Michaela (dla niego Miecia) i mnie jak swoje dzieci. Rozmawialiśmy przez telefon co tydzień lub dwa – był to zwyczaj zainicjowany przez niego i podtrzymywany przeze mnie. Co roku podróżowałam z Australii, aby go odwiedzić w Izraelu.

Gdy stałam się obiektem ataków antysemickich w polskiej szkole, rodzina zdecydowała się na emigrację do Izraela. Mosze pojechał pierwszy, aby zdobyć pracę i przygotować drogę dla nas wszystkich. Niestety zachorował, a warunki w Izraelu były bardzo prymitywne, lata zbyt gorące i rozpoczęła się wojna o Kanał Sueski. Moi rodzice zdecydowali się zatem na emigrację do Australii. Był to ogromny cios dla Moszego, który nigdy sobie nie wyobrażał, że mógłby mieszkać tak daleko od nas. Wtedy zdecydował się na małżeństwo. Gdy jego żona zmarła, zaprosiliśmy go, aby przeniósł się do nas, do Australii, ale nie czuł się na siłach, by znowu zaczynać coś od początku, w nowym kraju,

z nowym językiem i nowymi obyczajami. Tej decyzji żałował potem przez całe swoje życie!
Mosze nie miał dzieci ze swoją pierwszą żoną. Kilka lat później ożenił się z Anią, która miała dorosłe dzieci. One, a w szczególności ich dzieci, stały się jego rodziną i zapewniały mu opiekę.

W kolejnych latach Ania zapewniała Moszemu wszechstronne wsparcie i motywację do pracy, zachęcając go do dalszego malowania i pisania, nawet gdy jej zdrowie zaczynało poważnie szwankować. Byli oni szczęśliwym małżeństwem, aż do śmierci Ani w marcu 2013 roku.

W TAJGACH SYBIRU

WOJNA

Była już późna noc. Nie mogłem usnąć. Leżałem w łóżku i nasłuchiwałem głosów poza domem. Od czasu do czasu słyszałem wybuchy, po których drżały szyby. Szum ludzi idących ulicą i gwary nie zwiastowały niczego dobrego. Stukanie kół furmanek i nawoływanie ludzi rosły z każdą chwilą. Późna noc nie powstrzymała pochodu uciekających ludzi.

Za parę godzin wzejdzie świt. Niebo się rozjaśni. Nowy dzień zajrzy w nasze okna. Wschód słońca przegoni ciemność i oświetli moje rodzinne miasto Olkusz, w Polsce. Dla mnie ten poranek nie zwiastuje ciepła i radości. Rano pożegnam się z mamą i siostrami, wezmę plecak na ramię, opuszczę ciepło domu rodzinnego, wmieszam się w tłum uciekających i ruszę w nieznane.

Jeszcze przed paroma dniami była inna atmosfera w Polsce. Morale było wysokie. Marszałek Rydz-Śmigły mówił z dumą, że nie oddamy Niemcom „ani guzika od munduru", że „Niemcy nie odważą się napaść na Polskę". W radiu mówiło się tylko o potędze Polski, o dumie rządu polskiego i niedołężności Hitlera, który nie odważy się napaść na Polskę. To było przed czterema dniami, a wydaje się, że wiek upłynął od tego czasu.

We czwartek w nocy siedziałem w jednostce LOP (Liga Obrony Przeciwlotniczej), do której zapisałem się przed miesiącem. Ja, chłopiec mający blisko dziewiętnaście lat, o niebieskich oczach, średniego wzrostu, nieco wydłużonym nosie. Naszym zadaniem było – w razie wojny – przekazywanie wiadomości innym jednostkom.

Była chłodna noc i wyczuwało się napięcie w jednostce. W radiu podawali marsze wojskowe i obelżywe żarty o Niemcach. Po skończeniu mojej służby, daleko po północy, wróciłem do domu, który był w sąsiedztwie jednostki, położyłem się do łóżka i słuchałem radia kryształkowego, które sam zmontowałem. Natrafiłem na niemiecką stację z Gleiwitz. Spiker wrzeszczał po niemiecku, że Polacy zerwali umowę i napadli na spokojne Niemcy. Wstałem, szybko się ubrałem i pobiegłem do jednostki. Opowiedziałem kierownikowi służbowemu to, co usłyszałem. Kierownik oburzył się na mnie, wygnał mnie do domu i powiedział, że plotę głupstwa i robię panikę. Wróciłem do domu. Położyłem się spać. Wiadomość w radiu nie dała mi usnąć. W końcu zasnąłem.

W piątek, 1 września 1939 roku, o godzinie piątej nad ranem, obudziły mnie dwa wybuchy. Szyby zadrżały. Cała rodzina się obudziła. Ojciec otworzył okno i powiedział, że zaczęła się próba lotnicza. Ubraliśmy się szybko i wyszliśmy na ulicę. Mama i siostry wyglądały przez okno. Sąsiedzi, przestraszeni, wyszli z ciepłych łóżek i zebrali się na ulicy, drżąc z zimna i strachu. Zaczęli wypytywać się o przyczynę wybuchów, wywodząc różne wnioski. Nagle usłyszeliśmy przeraźliwy alarm syreny i eskadra ciężkich

samolotów z ogłuszającym szumem przeleciała nad naszymi głowami. Wyraźnie widziałem niemiecką swastykę. Eskadra wyglądała jak czarne wrony wróżące zło.

Sąsiedzi się rozbiegli i położyli na ziemi.

Kilka minut później widziałem walkę samolotów. Dwa małe samoloty, robiąc różne ćwiczenia akrobatyczne, to wzbijając się pionowo w górę, to nurkując, atakowały dwa niemieckie samoloty. Słyszałem wybuch, płomień ognia oświetlił horyzont, słup dymu uniósł się i rozciągnął po niebie.

Zapanowała groźna cisza, wzbudzająca niepokój i strach. Polskie samoloty strąciły samolot niemiecki 3 kilometry za naszym miastem.

O godzinie dziewiątej rano podali w radiu, że Niemcy napadli na Polskę. Samoloty niemieckie bombardowały stację kolejową w Olkuszu i inne punkty strategiczne, i że wojsko polskie i lotnictwo odpierają ataki Niemców.

Walkę samolotów widziałem tylko w pierwszym dniu wojny. Więcej walk powietrznych nie było, bo polskie samoloty były rozebrane albo uszkodzone. Nasze miasto było oddalone o około 60 kilometrów od niemieckiej granicy. Nazajutrz uciekający ludzie zaczęli zapełniać ulice. Młodzi i starzy, kobiety z dziećmi, z tobołkami na plecach – wszyscy uciekali na wschód. Widać było furmanki załadowane gratami i członkami rodziny. Zamożniejsi uciekali autami. Strach wyglądał im z oczu. Panika rosła z każdą chwilą. Samoloty niemieckie bez przeszkody leciały nad miastami Polski. Bombardowali, siejąc panikę, strach i bezład. Tłum uciekających wzrastał bezustannie. Nieraz wstąpili do nas

do domu prosić o trochę wody albo miejsce do odpoczynku. Z tego, co mówili uciekający, można było wywnioskować, że Niemcy bez przeszkody przekroczyli granicę i zajmują miasto za miastem. Zabijają bez powodu, zabierają młodych ludzi do Niemiec albo do ciężkiej pracy dla wojska niemieckiego.

Niepostrzeżenie otworzyły się drzwi naszego domu i w drzwiach stanęła Ema, koleżanka mojej młodszej siostry Feli. Ema z rodzicami byli mieszkańcami Niemiec. Gdy Hitler przyszedł do władzy, wygnał wszystkich byłych polskich obywateli pochodzenia żydowskiego do Polski. Ema z rodzicami zamieszkali niedaleko naszego domu. Jej rodzice zaprzyjaźnili się z moimi rodzicami, a Ema często u nas przesiadywała. Jej czarne oczy wypowiadały smutek i zmartwienie. Ema, w wieku mojej siostry Feli, miała ciemne włosy, wystające kości policzkowe, była zgrabna. „Rodzice pakują się i uciekamy z Olkusza na wschód – do Rosji. Przyszłam się z wami pożegnać", powiedziała. Patrzyłem na jej smutną twarz i ona patrzyła na mnie. Lubiłem, gdy przychodziła do nas. Zawsze znajdywałem jakiś pretekst, aby być blisko niej. Wydaje mi się, że ona też szukała mojej obecności. Z zasady byłem wstydliwy i nie czułem się swobodnie w jej obecności. Przeważnie przebywałem z kolegami i byłem skrępowany, gdy przebywałem z dziewczętami. W domu było nas pięcioro dzieci. Ja i cztery młodsze siostry. Często gościły u nas w domu koleżanki Feli, ale gdy Ema była u nas, zawsze szukałem okazji, aby z nią porozmawiać. Nieraz chciałem ją zaprosić na spacer we dwójkę, ale nie odważyłem się.

Ema z płaczem żegnała się z Felą i rodzicami. Gdy chciała się ze mną pożegnać, powiedziałem, że ją odprowadzę do domu i pomogę jej rodzicom w pakowaniu. Wiedziałem, że może to jedyna okazja, by wyznać jej moje uczucia. Gdy wyszliśmy z domu, odważyłem się wziąć ją za rękę. Ona przybliżyła się do mnie. Objąłem ją. Przytuliła się do mnie, staliśmy tak w objęciach bez końca. „Będę tęsknić za tobą", powiedziała. „Mam nadzieję, że wojna się skończy, wrócicie do domu i będziemy się częściej widzieć", odpowiedziałem. Przezwyciężyłem nieśmiałość, pocałowałem ją. Ona jeszcze mocniej przytuliła się do mnie. Na chwilę zapomniałem o wojnie, zapomnieliśmy, że ziemia się pali pod nogami, ale tylko na chwilę. „Rodzice na mnie czekają", powiedziała Ema. Ruszyliśmy do jej domu. Pomogłem załadować rzeczy na furmankę. Jej rodzice bardzo się spieszyli. „My już znamy hitlerowców i nie chcemy ich więcej znać". Rodzice zamknęli mieszkanie. Podziękowali za pomoc. Przy pożegnaniu z rodzicami ojciec Emy mnie uścisnął, pocałował i powiedział: „Zaprzyjaźniliśmy się z twoimi rodzicami. Chcielibyśmy cię widzieć w naszej rodzinie, ale – wojna – trzeba uciekać. Może Bóg da, że jeszcze spełnią się nasze marzenia". Pożegnałem się z Emą i już bez wstydu objąłem ją. Ona z płaczem mnie całowała i wydaje mi się, że bez słów przekazaliśmy sobie nasze wspólne uczucia i marzenia. Rodzice pospieszali. Siedli na furmankę. Ojciec pociągnął za lejce i koń ruszył wolnym krokiem. Ema z matką żegnały mnie z płaczem. Długo jeszcze stałem jak przykuty do ziemi, patrzyłem, jak furmanka wmieszała się w tłum uciekających. Widziałem

jeszcze, jak Ema macha do mnie chusteczką, czekałem, aż znikli mi z oczu. Miłość, która tylko zaczęła kwitnąć, urwała się i Bóg wie, czy jeszcze się spotkamy.

W niedzielę, trzeciego dnia wojny, krążyły pogłoski, że Niemcy zbliżają się do naszego miasta. Ojciec postanowił uciec do wsi Ulina oddalonej o około 30 kilometrów od naszego miasta. W tej wsi mieszkaliśmy, gdy byłem małym chłopcem. Mama zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy. Ze smutkiem i płaczem żegnaliśmy ojca, a najbardziej płakała najmłodsza siostrzyczka Leale. Ojciec zwrócił się do mnie, ściskając mnie ze łzami w oczach: „Mojsiele, jesteś teraz jedynym mężczyzną w domu. Pilnuj mamę i siostry. Mam nadzieję, że hitlerowcy tylko w pierwszych dniach będą zabierać mężczyzn do robót w Niemczech, a potem jakoś życie się ułoży. Pobędę parę dni na wsi i jak się trochę uspokoi, wrócę do domu". Wczoraj żegnałem Emę, dziś ojca. Bardzo ciężko na duszy i nie wiadomo, co jutro przyniesie. Tłum uciekających stale wzrasta, pogłoski o okrucieństwach Niemców słychać coraz częściej. Samoloty niemieckie nie przestają bombardować miasta. Na ulicy słychać wybuchy. Mama postanowiła i mnie odprawić z domu, zapakowała mi plecak i powiedziała: „Gdy przyjdą Niemcy, będę spokojniejsza, jeśli ty i ojciec będziecie na wsi. Tam może Niemcy nie będą się znęcać".

Tej nocy jeszcze śpię w swoim łóżku, w gronie kochającej rodziny i pod troskliwą opieką matki, w domu, gdzie wyrosłem, zaznałem ciepła rodzinnego, w domu, gdzie każdy szczegół jest mi znany i bliski.

Nad ranem obudziłem się, gdy poczułem dotknięcie ręki mojej matki. Spojrzałem na nią. Miała czerwone oczy od płaczu. Wydaje mi się, że przez te cztery dni posiwiała, postarzała się, zgarbiła. Widać, że nie spała całą noc. Wczoraj rano odprawiła męża, dziś ma żegnać jedynego syna. Wczoraj ojciec mi nakazał pilnować mamę i całą rodzinę. Dziś ja mam uciekać w ślady ojca.

Wstałem, ubrałem się. Siostry już nie spały. Smutek i strach wyglądał im z oczu. Gdy jadłem śniadanie, myślałem, że o następny posiłek będę musiał sam się zatroszczyć.

Pożegnałem się z mamą i siostrami. Wziąłem na ręce najmłodszą siostrzyczkę Leale. Mocno ją całowałem i mama z trudem odebrała ją z moich rąk. Wyszedłem z domu, pocałowałem mezuzę. Mama pobłogosławiła mnie na drogę. Jeszcze raz spojrzałem przy furtce na rodzinę, na dom i podwórze, i włączyłem się w tłum uciekających.

JA Z SIOSTRĄ UCIEKAMY NA WSCHÓD

Przyłączyłem się do potoku ludzi, którzy tak jak ja uciekali przed strachem. Uciekali w nieznane. Widziałem załadowane furmanki bez koni, bo konie zabrali polscy żołnierze. Ludzie zabrali z furmanek to, co mogli udźwignąć na plecach, i szli dalej piechotą. Widziałem stojące z boku ciężarówki wojskowe, bo zabrakło benzyny. Widziałem ludzi ciągnących wózki z rzeczami. Widziałem żołnierzy bez broni, w brudnych szynelach i zabłoconych butach, uciekali bezładnie, razem z tłumem. Widziałem, jak duma i potęga wojskowa stała się niczym. Przechodziłem koło lasu. Na ziemi leżał martwy człowiek, dużego wzrostu, a na drzewie widniał napis: „Taki będzie koniec zdrajcom". Było to moje pierwsze spotkanie ze śmiercią. Niedaleko linii kolejowej nadleciały samoloty niemieckie. Wszyscy uciekający ludzie uciekali z drogi w pole, popychając i depcząc jeden drugiego, i kładli się na ziemię. Samoloty bombardowały przejeżdżający pociąg niedaleko Wolbromia. Gdy wstałem z ziemi po bombardowaniu i szedłem w pobliżu szyn kolejowych, widziałem krew, rannych i nieżywych leżących na ziemi. Ludzie pomagali, jak mogli. W rowie przy drodze leżał zabity pies z bułką w zębach.

Te widoki, zmęczenie, samotność wśród tłumu takich jak ja, pożegnanie z rodziną – wprowadziły mnie w przygnębienie i bezradność. Niedaleko Wolbromia skręciłem z głównej drogi i polnymi drogami dowlokłem się do wsi Ulina, znanej mi z dziecięcych lat. Dostałem przytułek u znajomych moich rodziców. Szukałem ojca i dopytywałem wszystkich, ale nie znalazłem go. Słyszałem szum na ulicy i wyjrzałem przez okno z domu, gdzie dostałem przytułek, i zobaczyłem pierwszy przejeżdżający przez wieś niemiecki tank, a na nim po raz pierwszy widziałem uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Później słyszałem wystrzały z karabinów maszynowych. Niemieckie wojsko zawładnęło wsią. Zrozumiałem, że Niemcy zawładnęli całą okolicą i nie ma sensu dalej uciekać, bo wszędzie już są Niemcy. Po kilku dniach pobytu na wsi postanowiłem wrócić do domu. W drodze powrotnej widziałem uciekinierów wracających do domów – tak jak ja. Starałem się chodzić polnymi drogami i ścieżkami, aby nie natrafić na Niemców. Myślałem, że dobrze zrobili rodzice Emy, że uciekli pierwszego dnia wojny. Może ich Niemcy nie dościgną. Przez całą drogę nie spotkałem Niemców. Dopiero gdy polnymi ścieżkami dochodziłem już do Olkusza, spotkałem niemieckiego żołnierza. Prowadził pod rękę dziewczynę wątpliwej moralności, z Olkusza. Zatrzymał mnie, zbadał mój plecak i kieszenie, i gdy przekonał się, że nie mam broni, zdjął rękę z przyszytą swastyką z mojego ramienia i pozwolił mi iść dalej.

Wróciłem do domu przestraszony i przygnębiony.

Gdy otworzyłem drzwi naszego domu, ujrzałem ojca, matkę i całą rodzinę. Spotkanie było bardzo czułe. Wszyscy mnie całowali, obejmowali, cieszyli się, że znów jesteśmy razem. Szczęśliwy byłem, że spotkałem ojca. Znów czułem się pewny wśród swoich, w gronie rodziny. Zmęczony i przestraszony zacząłem opowiadać o mojej wędrówce i przeżyciach. Gdy skończyłem swoje opowiadanie, powiedziałem, że szukałem ojca i bardzo się martwiłem. Z kolei ojciec zaczął opowiadać: „Nie doszedłem do Uliny. Niemcy mnie i wielu innych zatrzymali niedaleko Wolbromia. Zabrali nas na rynek w Wolbromiu i kazali nam czekać. Dookoła rynku stali żołnierze z bronią skierowaną na ludzi. Stale przyprowadzali nowych ludzi – tylko mężczyzn. Stało się ciasno. Było gorąco i duszno. Ludzie chcieli pić. Wodociąg, pompa na środku rynku, był wyschnięty. Co pewien czas ktoś podchodził do wodociągu, zaczynał podnosić i opuszczać ramię wodociągu, ale na próżno. Wody nie było. Przez tłum zaczął przedzierać się człowiek z wiadrem, miał w nim trochę wody. Wszyscy napadli na niego i chcieli trochę wody. On odpychał wszystkich, przedarł się do wodociągu, nalał zawartość wiadra do rury i zaczął poruszać ramieniem wodociągu w górę i w dół, w górę i w dół. Ze suchej studni zaczęła płynąć woda i tak uratował ludzi. Po całym dniu czekania Niemcy zgrupowali kilkaset młodych i muskularnych mężczyzn, i wysłali ich na roboty do Zawiercia". Widocznie uważali, że mój ojciec jest już za stary i pozwolili mu iść w swoją drogę. Ojciec postanowił wrócić do domu.

Od czasu, jak ja pamiętam, mój ojciec nie miał górnych zębów. Nosił protezę. Raz opowiadał mi, że jeszcze zanim ożenił się z mamą, powinien był służyć w carskim wojsku. Do 1919 roku Olkusz należał do Rosji. Służba wojskowa trwała wówczas dziesięć lat. Zwerbowanych do wojska wysyłali w głąb Rosji i całe dziesięć lat nie wracali do domu. Mój Ojciec pojechał do Bytomia i wyrwał wszystkie górne zęby, aby nie służyć w wojsku. Inni ucinali sobie palce u prawej ręki, by zwolniono ich ze służby wojskowej.

Zaczęły się ciężkie czasy. Kończył się zapas żywności. Półki w sklepach zaczęły się opróżniać. Ludzie godzinami stali w kolejkach. Mama gotowała, sama piekła chleb i starała się nakarmić rodzinę, ale żywności ubywało, trzeba było stać w kolejkach, aby dostać produkty. Ojciec stał się bardzo przygnębiony. Dotychczas zajmował się drobnym handlem, ale z trudnością zarabiał na utrzymanie rodziny. Obecnie ojciec i ja staraliśmy się jak najmniej wychodzić na ulicę, aby nie napotykać Niemców. Mama ciężko pracowała w domu, a w dodatku pomagała ojcu w utrzymaniu rodziny. Była krawcową, szyła koszule i raz w tygodniu jeździła, a czasami szła piechotą do pobliskiego osiedla i tam je sprzedawała. Obecnie wszystko się urwało. Mama wysłała dwie siostry do sklepu po zakupy. Po dwóch godzinach wróciły do domu z płaczem i bez produktów. „Stałyśmy w kolejce bardzo długo, a gdy już byłyśmy blisko, ktoś powiedział żołnierzowi niemieckiemu, który pilnował porządku z karabinem w ręku, że jesteśmy Żydówkami. Żołnierz wyrzucił nas z kolejki, z obelgami i uderzeniami

kolbą karabinu. Ludzie w kolejce śmiali się. Stałyśmy się pośmiewiskiem zgromadzonych. W drodze do domu widziałyśmy zgrupowanie ludzi, a gdy byłyśmy blisko, okazało się, że zbrojni Niemcy obcinają nożem brodę staremu Żydowi wśród śmiechu i obelg zebranych. Dobrze, że ty nie poszedłeś do sklepu", powiedziały siostry. Wczoraj grupy zbrojnych Niemców wdzierały się do mieszkań żydowskich, wyganiali wszystkich mężczyzn na rynek, a następnie wsadzali ich do ciężarówek i wywieźli w nieznane.

Życie stało się nieznośne i beznadziejne. Jednego dnia wieczorem ktoś zapukał lekko do domu. Był to mój kolega. Prosił, abyśmy mu pozwolili spać u nas, bo w ich okolicy za dużo wojska się kręci. Opowiadał, że kilku kolegów planuje uciec na wschód do Rosji. Nazajutrz wrócił do domu.

Po kilku dniach postanowiłem wyjść z domu, spotkać się z przyjaciółmi i razem coś przedsięwziąć. Gdy przechodziłem koło rynku, zauważył mnie żołnierz niemiecki i poznał, że jestem Żydem, rysy twarzy mnie zdradziły. Kazał mi się zatrzymać i z ironią pytał, dlaczego nie zdejmuję czapki i nie kłaniam się przed niemieckim żołnierzem. Milczałem. Kazał mi zdjąć czapkę, kłaniać się i powiedzieć „Heil Hitler". Musiałem tak zrobić kilka razy. Dookoła zgrupowali się przechodnie i Niemcy szydzili i śmiali się ze mnie. Następnie pozwolił mi odejść. Gdy odszedłem ze sto metrów, spotkałem w bramie mojego kolegę. On mnie zatrzymał i pytał o przyczynę zbiegowiska. Zacząłem mu opowiadać i nie zauważyłem, że ten sam żołnierz zbliżył się do nas. Kolega zdążył uciec. Żołnierz

pod groźbą karabinu rozkazał mi biegać przez podwórze, tam i z powrotem kilka razy, i to na pośmiewisko ludzi. Było to moje pierwsze poniżenie. Postanowiłem uciec do Związku Radzieckiego. Ale gdy wróciłem do domu, nie opowiedziałem nikomu o tym, bo po co ich jeszcze bardziej martwić.

Minęły święta Rosz ha-Szana i zbliżał się Jom Kipur. Jedliśmy wieczerzę przed postem. Mama starała się, jak mogła, abyśmy zjedli do syta. Zaświeciła świece w ciężkich mosiężnych świecznikach, zasłoniła okna, aby Niemcy nie widzieli, że u nas palą się świece. Ojciec ubrała *kitel* i tałes, i po raz pierwszy w życiu byliśmy zmuszeni modlić się w domu, a nie w synagodze. Na ulicy panowała cisza. Od czasu do czasu słychać było wystrzały karabinu. Niekiedy przeszywał powietrze ostry, przeraźliwy krzyk i znów cisza. To znów słychać było rytmiczne stukanie butów niemieckich żołnierzy, które mroziło krew w żyłach i znów cisza. Była godzina policyjna i tylko Niemcom wolno było przebywać poza domem. W domu czuło się Jom Kipur. Ojciec zwrócił się do wschodu, w stronę Erec ha-Kodesz i po cichu zaczął śpiewać melodię *Kol nidrei*. Mama, ja i siostry cicho powtarzaliśmy słowa za ojcem. Wszyscy modliliśmy się i błagali, i wierzyliśmy, że „lepsze jutro nadejdzie". Nazajutrz staliśmy cały dzień na nogach przy zasłoniętych oknach i zamkniętych drzwiach i zmawialiśmy modlitwę, a gdy mówiliśmy słowa modlitwy „Komu przeznaczone żyć i komu umrzeć", nie wyobrażaliśmy sobie, co nas czeka i jakie będą wyroki boskie.

Jom Kipur zawsze jest dniem poważnym i smutnym, ale ten Jom Kipur pamiętam jako ostanie święto, które spędziliśmy razem w gronie kochającej się rodziny.

Zacząłem planować ucieczkę z Polski. Różnymi sposobami kontaktowałem się z kolegami i naznaczyliśmy razem dzień ucieczki. Ja z siostrą Felą dostaliśmy zezwolenie rodziców, lecz w ostatniej chwili koledzy zrezygnowali, tłumacząc, że daleko do granicy rosyjskiej, na stacjach kolejowych jest za dużo Niemców i że ucieczka jest niemożliwa. Postanowiliśmy uciec bez kolegów. Tylko ja z siostrą Felą.

14 listopada 1939 roku wstaliśmy o czwartej nad ranem. Na ulicy było zupełnie ciemno. Na duszy straszne uczucie rozłąki, smutku, niepewności i grozy. Ojciec zapalił lampę naftową i powiedział: „Pomódlmy się przed wyjściem". Wyjąłem *tefilin*, który dostałem od rodziców w dniu bar micwy, ubrałem je na czoło i na ręce. Modliłem się z całego serca i prosiłem Boga, aby opiekował się rodziną i abyśmy mogli sprowadzić rodziców w bezpieczne miejsce. Dotychczas jeżeli się modliłem, to dlatego, że mama tak chciała. Teraz modliłem się z całej duszy. Nagle uważałem, że *tefilin* to to, co może nas uratować od zła. Ojciec wiedział, że dotychczas nie zwracałem szczególnej uwagi na modlitwy i już zrezygnował ze zmuszania mnie do tego. Kiedyś mi powiedział: „Widzę, że nie będziesz pobożnym Żydem. Jedną mam prośbę i to zapamiętaj – gdziekolwiek będziesz, w każdej sytuacji bądź uczciwym człowiekiem". Gdy to mówił, patrzył mi prosto w oczy. Czułem, że to jest jego najgłębsza prośba. Po skończeniu modlitwy zwinąłem *tefilin* i położyłem na stałe

miejsce, i czułem, że zostawiam w domu bardzo mi drogi upominek od rodziców. Mama zrozumiała moje myśli i powiedziała: „Zabierz je ze sobą". Odpowiedziałem: „Ale jeżeli Niemcy je znajdą u mnie, będą wiedzieć, że jestem Żydem". „Zabierz przynajmniej *cicit*", i zapakowała je do plecaka. Moi rodzice chcieliby wepchnąć do plecaka całą swoją miłość i najgłębsze życzenia dla nas. Chcieliby wyrównać góry i usunąć z drogi wszystkie niebezpieczeństwa, gdyby to było możliwe. Wszystkie trzy siostry zaczęły się żegnać z nami. Najpierw piętnastoletnia Miriam z warkoczem oplecionym wokół głowy. Następnie dwunastoletnia Regina, która zawsze miała łobuzerskie spojrzenie i nadzwyczajną odwagę. Następnie najmłodsza Leale – cztery latka. Cała rodzina płakała. Najtrudniej mi się było oderwać od najmłodszej Leale. Ostatni raz spojrzałem na dom, na stół, przy którym w sobotnie wieczory ojciec śpiewał *zmirot*. Na świeczniki, które stale błyszczały, jakby były ze złota. Na obraz, który przedstawiał Kotel Maarawi, symbol duchowy każdego Żyda.

Gdy zaczęło świtać, wyszliśmy z domu. Ojciec, matka, najstarsza siostra i ja. Ubraliśmy plecaki, pocałowaliśmy mezuzę, zamknąłem furtkę od podwórza, jeszcze raz spojrzałem na dom i ruszyliśmy w drogę. Szliśmy ścieżkami, staraliśmy się ominąć miasto, nie rozmawialiśmy. Na niebie szybowały bez głosu ptaki. Na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Widać było sylwetki domów śpiącego jeszcze rodzinnego miasta. Niebo było pochmurne, tak jak na duszy. Zbliżaliśmy się do rozdroża. Z daleka widzieliśmy jak we mgle czarną postać z rozłożonymi rękami, jak

gdyby pokazywała, że droga zamknięta. Zatrzymaliśmy się. Postać stała bez ruchu. Gdy zbliżyliśmy się, okazało się, że jest to duży dębowy krzyż, a na nim metalowa figura ukrzyżowanego Jezusa ze spuszczoną głową. Przy skrzyżowaniu dróg stały ciemne bezlistne drzewa. Wstawał szary, pochmurny dzień.

W powietrzu wisiała beznadziejność, próżnia i smutek. „Dotąd was odprowadzamy", powiedzieli rodzice. Wpadliśmy w ramiona rodziców. Łzy dławiły każdego z nas. Żegnaliśmy się bez słów. Na końcu ojciec powiedział: „Czy was jeszcze zobaczymy?", a mama: „Trzymajcie się razem, a jeśli usłyszycie… – zwróciła się do mnie – zmów kadisz". Ojciec położył ręce na siostry i mojej głowie. „Fajgele un Mojsiele, bądźcie błogosławieni". Jezus patrzał na nas z krzyża obojętny, ze spuszczoną głową. Ruszyliśmy w drogę. Zaczęliśmy się oddalać od rodziców, od rodzinnego miasta, od minionej młodości. Co parę kroków odwracaliśmy się. Rodzice stali przy krzyżu i żegnali nas rękoma i wzrokiem. Im bardziej się oddalaliśmy, sylwetki rodziców stawały się mniejsze, aż znikły z horyzontu.

NA WSCHÓD

Naraz poczułem się osamotniony i bezradny. Po raz pierwszy w życiu wyruszyłem w nieznane, bez rodziców. Początkowym planem było wsiąść na pociąg w Olkuszu i jechać do Krakowa. Wiedziałem, że w drodze jest stacja węzłowa i tam kręci się za wiele wojska. Postanowiliśmy iść 15 kilometrów piechotą, do Krzeszowic. Tam wsiedliśmy do pociągu i bez specjalnych wydarzeń przyjechaliśmy do Krakowa. W Krakowie zwróciliśmy się do przyjaciół mojej siostry i tam zamieszkaliśmy. Zaczęliśmy obmyślać środki i sposoby wyruszenia na wschód do granicy rosyjskiej.

Zapoznaliśmy się z innymi uciekinierami z pobliskich miejscowości i wieczorem zebraliśmy się w jednym domu i po ciemku, przy zamkniętych drzwiach zaczęliśmy opracowywać plan ucieczki. Nagle ktoś zapukał do drzwi umówionym znakiem i do mieszkania wszedł jeden z naszej grupy. Powiedział, że w osiedlach wzdłuż granicy zebrało się wielu uciekinierów. Niemcy podstawili pociąg i ogłosili, że kto chce przejść na rosyjską stronę, może wsiąść do pociągu, który zawiezie ich do Lwowa. Pociąg szybko się napełnił. Wielu chętnych nie znalazło już miejsca i zazdrościli tym, co byli w środku. Niemcy zamknęli wagony i zamiast pojechać na wschód, pociąg ruszył na zachód

do Niemiec. Pojawiły się również pogłoski, że Ukraińcy za zapłatą przeprowadzają uciekinierów przez granicę i często, zamiast za granicę, oddają ich w ręce gestapo. Zapadła przygniatająca cisza. Pierwszy odezwał się Chaim, barczysty chłopak o wysokim czole i czarnych oczach, pochodzący z Łodzi: „Dobrze, że te wiadomości doszły do nas. Nauczymy się z pomyłek innych i będziemy ostrożniejsi. Nie wolno nam upadać na duchu. Nie wolno zrezygnować z powziętego planu". Postanowiliśmy, że spotkamy się za trzy dni i każdy z nas będzie się starał dowiedzieć jak najwięcej i przedłożyć swój plan. Rozeszliśmy się pojedynczo.

Nazajutrz rano wyszedłem na ulicę. Środkiem drogi maszerował w zwartym szeregu niemiecki oddział SS. Ich równe kroki uderzały o asfalt, śpiewali hymn *Horst-Wessel-Lied*: „Wan das Juden Blut von unter Messer sprotzt den geht uns nochmat so gut". Ich mundury były czyste, wyprasowane. Na rękawie swastyka, a na szerokim pasie napis „Gott mit uns" (Bóg z nami). Stanąłem w bramie, czekałem, aż oddział się oddali i nie zauważyłem, jak podeszli do mnie dwaj gestapowcy i kazali mi się wylegitymować, zabrali mnie ze sobą i przyłączyli do grupy mężczyzn, i pod bronią zaprowadzili nas do jakiegoś mieszkania na trzecim piętrze. Kazali nam przenieść meble i zawartość mieszkania do mieszkania oficera gestapo na następnej ulicy. Przede wszystkim martwiłem się, że siostra będzie rozmyślać, gdzie się podziałem. Zaczęliśmy przenosić na plecach różne przedmioty. Między przedmiotami były obrusy z napisem „Szabat Kodesz", świeczniki, Tanach i inne przedmioty świadczące, że w domu tym mieszkali zamożni

Żydzi. Cały dzień pracowaliśmy pod groźbą bicza gestapowca, który lądował na plecach prawie każdego z nas. Wieczorem zwolnili nas, zapisując adresy naszych mieszkań i kazali nazajutrz znów zgłosić się do roboty. Gdy wróciłem, opowiedziałem zmartwionej siostrze, co zaszło. Nazajutrz mogłem nie wrócić do pracy, ale bałem się, bo podałem adres ludzi, którzy nas gościli. Poszedłem do pracy, a po skończeniu przeprowadzki pozwolili nam odejść.

Spotkaliśmy się znów grupą, z którą planowaliśmy ucieczkę. Postanowiliśmy, że w sobotę wieczór spotkamy się na dworcu kolejowym i pojedziemy pociągiem do Sanoka. O umówionej godzinie znaleźliśmy się wśród tłumu ludzi na dworcu. Byliśmy w kontakcie z całą grupą, ale nie razem. Staraliśmy się być niezauważeni przez gestapowców. Wciskaliśmy się w tłum. Następnie parami wsiedliśmy do pociągu. Każda para osobno, ale staraliśmy się być w stałym kontakcie. Ja z siostrą usiedliśmy w kącie. Pociąg był przepełniony. Światła w wagonie były przyciemnione, więc nie odznaczaliśmy się. I tak o północy przyjechaliśmy do Tarnowa. Okazało się, że pociąg dalej nie jedzie i trzeba czekać w poczekalni na następny pociąg do Sanoka. Była godzina policyjna i nie wolno było przebywać na ulicy. W poczekalni czekało mnóstwo ludzi, wielu spało na zimnej posadzce. Kręciło się tam również wielu uzbrojonych Niemców, patrzyli na twarze i legitymowali ludzi. „Rozłączmy się", powiedziała Fela. Ja siedziałem na posadzce i nakryłem twarz paltem. Siostra siedziała z boku i kontaktowała się oczami z grupą. Była zima i zmarzłem na zimnej posadzce. Poczułem dotknięcie siostry na

ramieniu. Odsłoniłem twarz. Siostra powiedziała: „Gestapowcy szukają Żydów i już dwóch chłopców z naszej grupy zabrali". Położyłem się na zimnej posadzce, skuliłem i nakryłem się cały płaszczem, i tak usnąłem. Obudził mnie czyjś ciepły oddech i słowa „Jude, Jude". Drugi głos powiedział: „Zostaw, to nie Żyd". Pierwszy głos nalegał: „Jude". Otworzyłem oczy. Z posadzki widziałem tylko oddalające się buty Niemców. Znów zasnąłem. Obudził mnie dotyk czyjejś ręki. Otworzyłem oczy. Spoglądały na mnie duże, niebieskie oczy mojej siostry. „Wstawaj, jest pociąg". Ubrałem palto i plecak. Siostra była już gotowa. Przeciskaliśmy się do wyjścia do pociągu. Wpakowaliśmy się do ciemnego wagonu i nawet nie pytałem, dokąd ten pociąg jedzie. Gdy przyjechaliśmy do Sanoka, byliśmy zmęczeni, przemarznięci i przestraszeni. Siostra zauważyła na mojej głowie siwe włosy. Skontaktowaliśmy się z pozostałymi z naszej grupy i zaczęliśmy wędrować po ulicach Sanoka. Widzieliśmy wielu Niemców, ale spotkaliśmy również Żydów, którzy radzili nam zwrócić się do gminy żydowskiej. „Jest wielu uciekinierów żydowskich w Sanoku. Niemcy o tym wiedzą. Komitet Żydowski stara się pomagać". Poszliśmy do gminy. Spotkaliśmy wielu takich jak my. Posłali nas do opuszczonych baraków nad brzegiem rzeki San. Tam dali nam wiązkę słomy i spaliśmy razem z innymi uciekinierami na słomie rozścielonej na podłodze. Była tam także kuchnia. Gdy odpoczęliśmy, dostaliśmy talerz ciepłej zupy i kawałek chleba. W zamian za to trzeba było codziennie rano posłać określoną liczbę mężczyzn do pracy dla Niemców. Ja również pracowałem dla Niemców przy

rozładowywaniu ciężkich skrzyń z wagonu pociągu, pod czujnym okiem Niemca z biczem w ręku. Pewnego dnia poszedłem z siostrą do gminy. Grupa oficerów SS zatrzymała nas i kilku innych, i kazali nam czekać. Wyczekaliśmy odpowiedni moment. Siostra spojrzała na mnie i uciekliśmy do najbliższej bramy, a stamtąd dalej. Słyszeliśmy kilka wystrzałów za sobą. Wróciliśmy do baraku, położyliśmy się na słomie i nikomu nic nie opowiadaliśmy.

Po trzech tygodniach znaleźliśmy przewodnika, który za 50 złotych od osoby zgodził się przeprowadzić nas przez rzekę San. Mieliśmy wątpliwości co do jego uczciwości, ale większość grupy się zgodziła. Spotkaliśmy się z nim w lasku. Powiedział, że przeprowadził już dwanaście grup. On zna miejsce, gdzie rzeka jest płytka i przeprowadzi nas za rzekę do jego krewnych na wsi. Tam, już po stronie rosyjskiej, będziemy mogli odpocząć i wyruszyć w dalszą drogę.

Pożegnaliśmy się z nim i zaczęliśmy przygotowywać do przeprawy. Napisaliśmy już trzeci list do naszych rodziców, choć nie mieliśmy od nich żadnych wiadomości. Pisaliśmy, że za dwa dni zapukamy do cioci i że jeżeli nas przyjmie, to następne listy będziemy już pisali stamtąd.

W dzień targowy, we wtorek, szliśmy parami do rynku. Niosłem worek na plecach. Twarz zawiązałem szalem, aby nikt nie poznał, że jestem Żydem. Siostra niosła kosz. Wyglądaliśmy jak wieśniacy idący na targ. Na rynku oczekiwał nas już ukraiński przewodnik z furmanką załadowaną słomą. Załadowaliśmy nasze rzeczy, a za nami reszta grupy. Przewodnik nakrył je słomą. Chaim podszedł do każdej pary. Objaśnił, że gdy furmanka ruszy, mamy

iść za nią parami, nie tracić nikogo z oczu i udawać chłopów wracających z targu. Wóz ruszył. Nie zwracając uwagi na siebie, wmieszaliśmy się między wieśniaków. Po drodze spotykaliśmy uzbrojonych Niemców, ale na szczęście nikt z naszej grupy nie wzbudził ich podejrzenia. Serca nasze biły jak młotem. Czy nam się uda? Czy przewodnik nie zdradzi nas?

Droga do wsi przeszła nam bez specjalnych przeszkód. Przewodnik zatrzymał wóz przed chatą pokrytą słomą, wprowadził konie do stajni, zdjęliśmy nasze rzeczy z wozu, wprowadził nas do pustej izby. Jego żona przyniosła nam herbatę. Poczuliśmy się bezpieczni. Napięcie zelżało. Gospodarz przyniósł wiązkę słomy, powiedział, że warto, abyśmy odpoczęli. On nas obudzi o godzinie drugiej w nocy, bo o tej porze jest zmiana warty wzdłuż granicy i wtedy najbezpieczniej dostać się do rzeki San. Nasza grupa składała się z dwunastu osób. Chaim rozścielił słomę na podłodze. Usiedliśmy, zjedliśmy przygotowany skromny posiłek, popijając herbatą. Rozmawialiśmy ze sobą po cichu. Czuliśmy się swobodnie. Jedna dziewczyna nawet zaczęła nucić żydowską piosenkę. Moja siostra wyszła na dwór za potrzebą. Ja położyłem się odpocząć, rozmyślając, co tam robią nasi rodzice. Na pewno jeszcze nie dostali naszego listu. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. W drzwiach stanęła moja siostra z podniesionymi rękoma. Jakiś chłop wepchnął ją do środka. Za nimi wtargnęli do środka dwaj wojskowi niemieccy z rewolwerami w ręce z krzykiem „Hände hoch" (ręce do góry), a za nimi jeszcze jeden barczysty chłop.

Przerażeni podnieśliśmy ręce do góry. „Żydzi, komuniści – Związku Radzieckiego wam się zachciało? Co? Najpierw oddajcie wasz dobytek". Dwaj chłopi ukraińscy zaczęli szukać w naszych kieszeniach i na całym ciele, wyciągnęli z naszych paczek, co im się podobało. Zabrali nam pieniądze. Niemiec pytał, czy zapłaciliśmy przewodnikowi. Starsza kobieta z naszej grupy, czterdziestolatka pochodząca z Krakowa, odpowiedziała po niemiecku, że tak i prosiła, aby nas zostawili w spokoju. Niemiec zaczął z nią rozmawiać. Ona znała dobrze język niemiecki. Prosiła, żeby zostawili nam choć trochę pieniędzy. Niemiec złagodniał. Kazał Ukraińcom zwrócić nam po 20 zł (drobna suma) na osobę. Następnie zabrali zrabowane rzeczy i pieniądze, i odeszli.

Przewodnik, któremu zaufaliśmy – zdradził. Nasz los znajduje się w rękach podłego człowieka. Bóg wie, co nas dalej czeka. Powrotu już nie ma. Cała grupa stała się bardzo przygnębiona. Nie mogliśmy już usnąć.

Przed drugą w nocy przyszedł do nas przewodnik i pytał, która godzina. Odpowiedzieliśmy, że nie wiemy, bo zabrali nam zegarki. Wyszedł. Kolega Chaima miał jeszcze zegarek, ale nie chciał powiedzieć, bo być może ten podlec chce wiedzieć, co nam się udało ukryć.

O godzinie drugiej w nocy wszedł do nas przewodnik ubrany, gotowy do drogi. Dał nam ostatnie wskazówki. Droga do rzeki San potrwa około pół godziny. Trzeba iść gęsiego, nie rozmawiać, nie palić papierosów, nie zapalać zapałek, nie kaszleć. Zabraliśmy, co pozostało jeszcze z naszych rzeczy i wyszliśmy na ulicę.

Noc ciemna, nic nie widać. Ruszyliśmy w drogę cicho, bezszelestnie. Zaczął padać deszcz. Zmokliśmy, zimno. Szedłem naprzód, a za mną siostra, trzymając mnie za rękę. Ślisko, często upadaliśmy, zabłoceni, trudno było iść gęsiego, bo z powodu ciemności nie widzieliśmy niczego przed sobą. Trzeba było iść z wyciągniętym ramieniem, aby dotykać tego, kto idzie przed tobą. Szliśmy po ścieżkach, pod górę. Ktoś zapalił zapałkę. To przewodnik zapalił papierosa. Nikczemnik. Czy to ma być jakiś znak? Idziemy dalej. Wchodzimy, zdaje się, do jakiegoś lasku.

Za nami ktoś zapalił latarkę. Słychać głosy po ukraińsku. Głosy się zbliżają. „Stać!", krzyknął głos z latarką. Stanęliśmy. Z ciemności wynurzyły się dwie postaci z kijami i latarką w ręku. Pociągnąłem siostrę na bok. „Prowadzimy was na gestapo", krzyknął jeden z nich. Staliśmy bez ruchu. Przez głowę przechodziły różne myśli – uciekać z siostrą; ciemno, lasek, nie znajdą nas. Przewodnik podszedł do Ukraińców. Zaczął z nimi rozmawiać po ukraińsku. Chcą pieniądze. Powiedzieliśmy, że zdążyli nam już zabrać pieniądze. Po krótkim targu oddaliśmy im kilka paczek papierosów i trochę pieniędzy. Zgasili latarkę. Odeszli. Ruszyliśmy dalej. Schodzimy po śliskiej ścieżce na dół. Słychać szum rzeki. Szum się przybliża. Jeszcze trochę i stanęliśmy na brzegu rzeki San. Gdy cała grupa się zatrzymała, przewodnik powiedział: „Tu rzeka jest płytka. Możecie przejść na drugą stronę, ale beze mnie", i znikł w ciemnościach.

PRZEPRAWA PRZEZ SAN

Przekonaliśmy się, że wpadliśmy w ręce bandy przestępców. Staliśmy na brzegu rzeki, zziębnięci, przemoczeni, osamotnieni i przerażeni. Pierwszy odezwał się Chaim, rozkazującym tonem: „Rozebrać się". Rozebraliśmy się do naga. „Ubranie i paczki przywiązywać wysoko, w miarę możności na głowie", i pierwszy wszedł do lodowatej wody rzeki San. Za nim weszli pozostali i zaczęliśmy iść w wodzie, szczękając zębami z zimna. Kamienie kaleczyły nam stopy. Staramy się iść szybko. Nie rozmawiamy. Przy brzegu brodziliśmy w wodzie do kolan. Im dalej, staje się głębiej i głębiej. Silny prąd popycha nas w dół rzeki. Obawialiśmy się, że prąd może nas porwać i możemy utonąć. Starsza kobieta potknęła się i upadła. Nie mogła wstać. Prąd zaczął ją ciągnąć. Pomogliśmy jej wstać. Chaim rozkazał, by trzymać się za ręce. Cała grupa – dwanaście osób z silnie splecionymi dłońmi. Razem, pomagając sobie nawzajem, walcząc z prądem, kamieniami i zimnem. Oby dalej, oby bliżej wschodniego brzegu. Woda staje się coraz głębsza. Nogi pokaleczone do krwi. Idziemy krok za krokiem szybciej, naprzód. Jeszcze krok i jeszcze krok, bliżej ziemi rosyjskiej. Woda nam już sięga do piersi. Nagle ciemną noc oświetliła rakieta na niebie, wystrzelona ze

strony niemieckiej. Stało się jasno. Widać wyraźnie brzeg rosyjski. Przeszliśmy już prawie połowę rzeki. Niemcy wykryli nas. Zresztą wiedzą o nas i znają nasze zamiary. Przecież wczoraj obrabowali nas razem z Ukraińcami. Teraz oczekujemy strzałów w naszym kierunku. Chaim powtarza: „Naprzód, nie zatrzymywać się". Przeszliśmy już połowę rzeki. Nie strzelają. Odczuwamy pewną ulgę. Rzeka jest jeszcze głęboka. Walczymy z prądem i zimnem. Jeszcze trochę. Rosyjski brzeg już bliski. Głębokość wody się zmniejsza. Jeszcze parę metrów. Woda sięga do kolan i… noga stawia pierwszy krok na ziemi rosyjskiej. Czekamy, aż cała grupa wyjdzie z wody. Chaim rozkazuje: „Nie zatrzymywać się". Wspinamy się na niewysoki, ale śliski brzeg. „Nie ubierać się, iść szybko naprzód". Pograniczne wojsko może nas oczekiwać. Przecież Niemcy oświetlili rakietą rzekę. Rosjanie mogli nas widzieć. Idziemy, bosi, szybko po błotnistej ziemi. Przed nami jak spod ziemi wyrósł jakiś budynek. Zatrzymaliśmy się. Chaim poszedł zobaczyć, co kryje się w tym budynku. Za parę minut wynurzył się z ciemności. Była to opuszczona szopa. Siedliśmy dookoła szopy. Zaczęliśmy się wycierać i ubierać mokrą odzież. Chaim powiedział, że tutaj się rozłączymy – każdy ruszy w swoją drogę. Jesteśmy na ziemi Związku Radzieckiego. Tu nas nie zabiją, ale jeśli nas znajdą, mogą zwrócić na niemiecką stronę albo zaaresztować. Najbezpieczniej iść parami i oddalić się od rzeki.

Ktoś zapytał, czy i gdzie się spotkamy. Chaim odpowiedział, że nie wie. Nie zna tych stron. Może los nas spotka. Pożegnaliśmy się z grupą, z którą los nas związał przed

miesiącem w Krakowie. Ja wziąłem siostrę pod rękę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Dotąd byliśmy w grupie. Chaim za nas myślał. Teraz jesteśmy osamotnieni, odpowiedzialni za swój los. Idziemy jakąś ścieżką. Nie rozmawiamy. Słyszymy jakiś szmer. Stanęliśmy. Ucichło. Idziemy dalej. Znów słyszymy jakieś głosy i znów cicho. Idziemy. Z jednej i drugiej strony ścieżki wstają dwie postaci i słyszymy głos Chaima: „Nie bójcie się. Ponieważ znów spotkaliśmy się, pójdziemy już razem". Deszcz znów kropi. Zaczyna świtać. Przyspieszamy kroku. Koniec grudnia. Zimno. Koło nas są zaorane pola. Weszliśmy na polną dróżkę. Już z daleka widać jakiś lasek. Kierujemy się w tym kierunku. Niebo się rozświetla. Rozglądamy się. Z daleka widać rzekę. Okazuje się, że zamiast oddalić się od rzeki, szliśmy wzdłuż niej. Oddaliliśmy się od Sanu zaledwie o jakieś 400 metrów. Wchodzimy do lasku. Spoglądamy na siebie. Przemoczeni, zabłoceni. W takim stanie łatwo zwrócimy na siebie uwagę. Zaczynamy się wycierać z błota. Idziemy lasem. Słyszymy głosy wozów i ludzi. Widocznie za lasem jest droga. Chaim idzie na zwiady. We trójkę odpoczywamy. Czekamy na powrót Chaima. Wrócił. „Tam jest droga. Jadą furmanki. Widocznie na targ".

Postanowiliśmy wyjść z lasu na drogę i iść w tym kierunku, w którym jadą wozy. Chaim z kolegą przodem, ja z siostrą za nimi. Przyłączyliśmy się do wieśniaków idących za wozami. Oni także są przemoczeni jak my i również zabłoceni. „Fajgele, podejdź do jakiejś wieśniaczki i idź razem z nią", powiedziałem. Ja podszedłem do idącego za wozem chłopa. „Idziemy po zakupy do miasta",

powiedziałem. Z daleka widziałem po raz pierwszy w życiu dwóch żołnierzy rosyjskich. Idą nam naprzeciw. Spojrzałem na siostrę, a ona na mnie. Zrozumieliśmy się. Siostra pomogła wieśniaczce nieść kosz, a ja szedłem za wozem, rozmawiając z chłopem o pogodzie. Żołnierze się zbliżyli. Na głowie mieli wełniane czapki z czubem. Szynel wełniany, na dole zwisały nici. Ciężki karabin na ramieniu i zabłocone buty. Przeszli mimo i nie zwrócili na nas uwagi. Pomyślałem o różnicy między bogatym i uporządkowanym mundurem wojska niemieckiego a niedbałym wyglądem rosyjskiego żołnierza.

Razem z wieśniakami weszliśmy do miasta, aż dotarliśmy do rynku w mieście Lesko. Zaczęliśmy się kręcić między straganami bez celu. Podszedł do nas jakiś człowiek. Spojrzał na nas i spytał: „Bieżeńcy (uciekinierzy) z Niemiec?". „Tak", odpowiedziałem. Zacząłem rozmawiać po żydowsku. „Co macie na sprzedaż?". Opowiedziałem mu naszą historię. Zaczął nas wypytywać, jak i kiedy przeszliśmy granicę. Milczałem. Żałowałem, że opowiedziałem. Może on pracuje w tajnej policji. Poznał, że boję się odpowiadać. „Tutaj nie macie się czego obawiać. Niemców tutaj nie ma i nikt was nie skrzywdzi". Radził nam pójść do beit ha-midraszu, w którym możemy uzyskać pomoc. Razem z Chaimem i jego kolegą weszliśmy do ciepłego beit ha-midraszu. Wskazali nam człowieka i zwróciliśmy się do niego. Dał nam dwa adresy, dla mnie i siostry, i dla Chaima z jego partnerem. Pożegnaliśmy się z nadzieją, że się jeszcze spotkamy. Zwróciliśmy się do żydowskiej rodziny pod wskazany adres. Przyjęli nas. Było dość ciasno.

Czuliśmy się nieproszonymi gośćmi. Dali nam jednak zjeść. Siostra przeprała zabłoconą odzież. Pościelili nam na dwóch polowych łóżkach.

Byliśmy bardzo zmęczeni i wyczerpani nerwowo. Po dwunastu godzinach snu obudziłem się, nie wiedząc, gdzie jestem. Wstaliśmy wypoczęci, spokojniejsi. Samo uczucie, że już nie jesteśmy po stronie niemieckiej, stwarza nowe troski i nadzieje. Rodzina, która nas gości, radzi nam jechać do Lwowa. Lesko jest małym miastem na granicy. Nie ma tutaj zatrudnienia dla uciekinierów, kręci się dużo wojska i zadają różne pytania. Postanowiliśmy jechać do Lwowa. Aby uniknąć spotkania z wojskiem na dworcu kolejowym, poszliśmy piechotą do następnej małej stacji i tam bez biletu wsiedliśmy do pociągu. Nie starczyło nam już pieniędzy. Radzili, by przy kontroli biletów dać konduktorowi do ręki parę złotych. Siedliśmy w kącie wagonu, staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi. Naprzeciw siedział młody chłopak i nie spuszczał oka z mojej siostry. Siostra przystojna, z kręconymi lokami, niebieskimi oczami i zgrabnym nosem czuła się nieswojo. W końcu chłopak zapytał: „Bieżeńcy?". Nie odpowiedziałem. „Ja też jestem bieżeniec" – powiedział i zaczął mówić po żydowsku. „Dokąd jedziecie?". Widząc, że jest Żydem, stałem się śmielszy. „Do Lwowa", odpowiedziałem. „Nie radzę tam jechać. Tam za dużo uciekinierów i nie można znaleźć pracy. Radzę wam wysiąść w Samborze. Mieszkam tam z rodziną i może będziemy mogli wam pomóc".

Posłuchaliśmy jego rady i wysiedliśmy w Samborze. Był piątkowy wieczór. Nawet w powietrzu czuło się święto. Po

rynku spacerowali starsi i młode zakochane pary w świątecznych ubraniach. Słychać było głośne rozmowy i śmiechy. Widok był zachęcający. Przypomniałem sobie piątkowe wieczory w domu. Teraz nie ma spacerów w Olkuszu. Co teraz porabiają nasi rodzice? Siedzą na pewno przy zasłoniętych oknach i myślą o nas. Po ulicy maszeruje jednostka wojskowa. Śpiewają jakiś marsz po rosyjsku, a solista zawodzi pięknym tenorem. Poczułem taką sympatię do nich, że z chęcią wstąpiłbym w ich szeregi i śpiewał razem z nimi. Dotąd byliśmy przygnębieni. Teraz samopoczucie znacznie się nam polepszyło. Ludzie skierowali nas do przytułku dla biednych. Gdy otworzyły się drzwi, zobaczyliśmy duży pokój. Na słomie pościelonej na podłodze siedziała grupa żebraków, którzy głośno kłócili się ze sobą i przeklinali nawzajem. Nikt na nas nie zwracał uwagi. Nareszcie podszedł do nas młody człowiek i spytał: „Bieżeńcy? Nowi?". „Tak", odpowiedzieliśmy. Spojrzał na nas i powiedział: „Ponieważ dziś sobota i nie gotujemy, to pościelę wam na piecu". Przyniósł wiązkę słomy i ugościł nas kolacją.

Nazajutrz zostawiłem siostrę, poszedłem do miasta szukać jakiegoś zajęcia i kąta do zamieszkania. Cały dzień się kręciłem i wieczorem wróciłem do przytułku bez żadnych widoków na utrzymanie się. Siostra oczekiwała mnie i powiedziała, że przyszedł jakiś młodzieniec i zaproponował jej pracę opiekunki przy dziecku jego siostry. „Zgodziłaś się?", spytałem. „Nie… powiedziałam, aby przeszedł wieczorem, jak ty będziesz", odpowiedziała. Może on ma nieczyste myśli. Dlaczego jego siostra nie przyszła? A więc

przyszedł. Niewysokiego wzrostu, niepozorny. Przedstawił się i zaprosił nas do nich do domu. Przekazaliśmy nasz skromny dobytek kierownikowi przytułku i poszliśmy za nim do domu.

Drzwi otworzyła nam zgarbiona staruszka z chustką na głowie, spod której przeglądały siwe włosy i przymglone macierzyńskie oczy. Zaprosiła nas do stołu, przy którym siedziała cała rodzina. Poczęstowała nas ciastem i herbatą, i cała rodzina słuchała naszego opowiadania. Widocznie spodobaliśmy się. Zaproponowali siostrze, by zajmowała się dwuletnią wnuczką. Oczywiście zgodziliśmy się. Byłem szczęśliwy, że siostra będzie miała dach nad głową i utrzymanie. Pożegnałem się i skierowałem swoje kroki do drzwi. „A ty dokąd?", spytała staruszka. „Do przytułku dla biednych", powiedziałem. „Nigdzie nie pójdziesz, pozostaniesz tu z siostrą". Byłem szczęśliwy. Poszedłem po nasz skromny dobytek i wróciłem do domu Berlfainów. Staruszka odnosiła się do nas jak dobra matka. Była wdową. Jej dwaj synowie prowadzili sklep mięsny. Zamężna córka z mężem i dzieckiem mieszkali w sąsiedztwie i Fela opiekowała się ich dzieckiem. Za pracę dostaliśmy utrzymanie i dobre odnoszenie. Czuliśmy się u nich jak członkowie rodziny. Staruszka, wiecznie zajęta w kuchni, jeszcze pomagała w sklepie, opiekowała się nami jak własnymi dziećmi. Ja szukałem dla siebie pracy. Dostałem pracę w kooperatywie malarzy. Pracowałem krótki czas i zwolniono mnie z braku pracy w zimie. Pracowałem wszędzie, gdzie nadarzyła się okazja. W końcu błądziłem bezczynnie po ulicach. Za zarobione pieniądze kupiliśmy

niezbędne rzeczy, a szczególnie ciepłą odzież, bo zima dawała się we znaki.

Żyłem na łaskawym chlebie i czułem się z tego powodu bardzo poniżony. Postanowiłem pojechać do Lwowa. Duże miasto, może tam znajdę jakieś zatrudnienie. Trudno mi było rozstać się z Felą, ale wiedziałem, że zostawiam ją w dobrej rodzinie. Ona również znała moje uczucia i wiedziała, że nie potrafię być pasożytem. Odległość do Lwowa wynosiła zaledwie 60 kilometrów i przyrzekliśmy spotykać się. Pojechałem pociągiem do Lwowa. Dworzec kolejowy, który kiedyś cały był oszklony, został zbombardowany przez Niemców i teraz zwisały tylko wykrzywione ramy bez szkieł. Miasto było pełne życia. Piękne piętrowe budynki, tramwaje. Zacząłem błądzić po ulicach, szukać pracy i dachu nad głową. Pod wieczór wskazano mi opuszczony klasztor, gdzie wielu bieżeńców znalazło schronienie. W klasztorze było zimno. Rury wodociągowe były popękane. Nie było wody. Mróz dochodził do 20°C. Ubikacje były pełne. Deptało się po zamarzniętych odchodach ludzkich. Nie czuło się zapachu, bo wszystko było zamarznięte. Spałem wraz z innymi na zimnej posadzce w ubraniu. I pomimo, że miałem ciepłą odzież, wstałem rano, szczękając zębami, skostniały z zimna. Na ulicznych straganach sprzedawali gorącą kawę. Gdy wypiłem półlitrowy garnek takiej czarnej kawy, po prostu zmartwychwstałem.

Znalazłem pracę przy malowaniu. Kilka nocy spałem u pracodawcy i znów chodziłem szukać pracy i spałem w klasztorze. Ku mojej radości spotkałem w klasztorze przyjaciół z Olkusza. Pytałem, czy widzieli moich

rodziców. Okazuje się, że już dawno opuścili nasze rodzinne miasto. Pewnego dnia wrócił do klasztoru przyjaciel z wiadomością, że werbują robotników do kopalni węgla do Donbasu, w głąb Rosji. Obiecują dobre warunki mieszkaniowe, dobry zarobek i kulturalne życie. Dobre warunki nas kusiły i postanowiliśmy wraz z grupą przyjaciół z naszego miasta zgłosić się. Mieliśmy za dwa dni pójść do biura, gdzie dadzą nam bilety i odwiozą nas pociągiem na miejsce.

DO KOPALNI WĘGLA W DONBASIE

Wróciłem do Sambora, opowiedziałem siostrze, że zapisałem siebie i ją na wyjazd do Donbasu wraz z grupą przyjaciół z Olkusza. Siostra ucieszyła się, że nareszcie będziemy mogli się urządzić i godnie żyć.

Matka Berlfain ucieszyła się moim powrotem. Jej czułe spojrzenie, obfita kolacja, którą mi sama przygotowała, świadczyły, że troszczy się o nas jak o własne dzieci. Jadłem z apetytem, bo już dawno nie jadłem przy stole w ciepłym mieszkaniu.

Gdy opowiedziałem o naszych zamiarach, powiedziała: „Szukasz sobie kłopotów. Jesteś naiwny i wierzysz w obietnice. Ty nie potrafisz pracować w kopalni. A co będzie robić Fela?". „Nauczy się po rosyjsku i będzie pracować w biurze", odpowiedziałem. „Już wielu ludzi uciekło z Donbasu i opowiadają o nieludzkich warunkach pracy", odpowiedziała matka. Pierwszy raz widziałem ją gniewającą się na mnie. Może dlatego, że nie chce zwolnić dobrej opiekunki dla wnuczki, myślałem. „Już umówiłem się i cała grupa czekać będzie na nas. Nie mogę już zrezygnować". Gospodyni domu nie przestawała przekonywać, abym nigdzie nie jechał. „Nie macie tutaj rodziców. Gdyby tu byli – jestem przekonana, że wybiliby ci z głowy taką głupią decyzję".

Nie posłuchaliśmy jej rady. Zacząłem pakować nasze rzeczy do walizki, którą kupiłem na ten cel. Tymczasem nadeszli dwaj synowie. Przywitali się przyjaźnie ze mną. A gdy im matka opowiedziała o naszych zamiarach, wybuchnęli śmiechem. „Szukacie sobie nowej awantury. Wariaci! Źle wam u nas?". Michael – starszy brat – zwrócił się do siostry: „Fela, i ty zgadzasz się?". „Tak – odpowiedziała – nie opuszczę brata". Cała rodzina wyraziła przekonanie, że robimy głupstwo. A ja swoje. Sprzykrzyło mi się wałęsać bezczynnie po ulicach, spać w klasztorze na posadzce, być darmozjadem. Tam będę ciężko pracować, ale uczciwie zarobię na utrzymanie. Jutro nad ranem wyruszymy w drogę. Będziemy pisać listy. Pożegnałem się i podziękowałem za ciepło rodzinne, jakiego zaznaliśmy, i wszedłem do swojego pokoju. Za drzwiami słyszałem rozmowę siostry z Michaelem: „Fela, wiesz, że wszyscy w rodzinie lubią cię. Znasz moje zamiary w stosunku do ciebie. Dlaczego chcesz wyjechać?", „Nie pozwolę bratu jechać samemu. Razem opuściliśmy dom i naszym obowiązkiem jest pomagać sobie nawzajem. Miejmy nadzieję, że wojna się skończy. Sprowadzimy rodziców i pomyślimy o naszej przyszłości. Teraz nie jest odpowiednia pora". Gdy weszła do naszego pokoju, powiedziałem: „Może zostaniesz u Berlfainów? Jak się trochę urządzę, to przyjedziesz do mnie". „Nie – powiedziała – nasz los będziemy dzielić razem".

Wstaliśmy o godzinie drugiej nad ranem. Cicho, aby nie budzić nikogo, ubraliśmy się i wybieraliśmy się ku wyjściu do pociągu, ale… nie ma walizki z naszym dobytkiem. Domyśliliśmy, że to sprawka rodziny. Byłem bardzo oburzony.

Siostra mi nie pozwoliła ich obudzić. Może zdążymy jeszcze następnym pociągiem. Nad ranem pierwsza wstała gospodyni domu i powiedziała: „Ja schowałam wasze rzeczy i nigdzie nie pojedziecie. Wasi rodzice będą mi wdzięczni za to. A ty – zwróciła się do mnie – nie pojedziesz więcej do Lwowa, aby cię nie namówili do nowych głupstw".

Następnego dnia zwrócili się do mnie dwaj bracia z propozycją: „We Lwowie nie ma mięsa koszernego. Weź u nas mięso, sprzedaj we Lwowie i zarobisz". „Nie mam żyłki kupieckiej – odpowiedziałem. – W pociągach są częste kontrole. Jeśli znajdą u mnie większą ilość mięsa, mogą zabrać i nie będę miał pieniędzy, by zapłacić". „Głupcze, to nasze ryzyko. Gdy wejdziesz do pociągu, plecak z mięsem połóż na półce, a ty usiądź w innym miejscu. Jeśli znajdą – nie mów, że to twoje". Z biciem serca wsiadłem do pociągu z dwoma ciężkimi plecakami z mięsem. Położyłem je na oddzielnych półkach w jednym wagonie, a ja siedziałem w drugim. Droga przeszła bez przeszkód. Dość szybko sprzedałem mięso i wróciłem do Sambora z zyskiem. „Jak ci poszło?", spytała gospodyni. „Dość szybko sprzedałem mięso między ludźmi, których zdążyłem zapoznać, i dostałem nowe zamówienia". Widziałem, że była zadowolona. Zapłaciłem za mięso i następnego dnia znów pojechałem z mięsem do Lwowa. Dostałem nowych klientów i nowe zamówienia. Gdy zapłaciłem za mięso, bracia radzili: „W Samborze nie ma wódki. Kup we Lwowie wódkę i tutaj sprzedasz". Zacząłem ładnie zarabiać. Humor mi się polepszył. Siostra była szczęśliwa, widząc mnie wesołym. Cała rodzina Berlfainów cieszyła się, że mogą nam pomóc.

Pewnego razu, gdy stałem na dworcu kolejowym po bilet do Sambora, a był straszny ścisk przy kasie, czułem, że pękła mi butelka w plecaku. Zacząłem się wycofywać, aby zapach wódki oraz mokra plama na plecach mnie nie zdradziły. Przecisnąłem się przez tłum na ulicę. Otworzyłem plecak, wyjąłem pękniętą butelkę. Szkoda mi było wylać pozostałą w butelce wódkę, więc wypiłem ją. Nigdy nie piłem więcej jak pół kieliszka wódki. Teraz poczułem, że kręci mi się w głowie. Stałem się śmielszy, upiłem się. Przecisnąłem się i wyszedłem na tor kolejowy. Gdy pociąg nadjechał i ze zgrzytem stanął, ludzie zaczęli pchać się do przepełnionych już wagonów, ale milicja nie pozwoliła wsiadać, zamykała drzwi wagonów. Gdy pociąg ruszył, ludzie zaczęli skakać na stopnie wagonów. Ja, pod wpływem wódki, też skoczyłem na schody będącego już w biegu pociągu. Obiema nogami stałem na stopniu. Jedną ręką trzymałem się poręczy przy drzwiach. Na plecach miałem plecak z wódką, a w drugiej ręce trzymałem paczkę. Na stopniach jechali jeszcze inni pasażerowie. Był mróz. Pociąg zwiększył bieg. Było bardzo zimno. Zmarzłem tak strasznie, że ostatnimi siłami trzymałem się poręczy, aby nie upaść. Natężyłem wszystkie zmysły. Ostatnimi siłami trzymałem się zmarzniętą ręką poręczy. Na pierwszej stacji udało mi się wcisnąć do środka i tak ocalałem i wróciłem cały do siostry.

Zima zbliżała się ku końcowi. W południe śnieg zaczął tajać. Zbliżała się wiosna. Moje interesy zaczęły się pogarszać. We Lwowie było już więcej mięsa koszernego, a w sklepach w Samborze pojawiła się wódka. Przybyło

takich handlarzy jak ja i jazda do Lwowa stała się nieopłacalna. Zauważyłem, że we Lwowie można dostać farby malarskie, jakich nie ma w Samborze. Zwróciłem się do kierownika kooperatywy malarskiej w Samborze z propozycją dostarczania brakujących materiałów. Ukraiński kierownik kooperatywy zaufał mi i dał mi oficjalne zaświadczenie zaopatrzeniowca kooperatywy. Teraz mogłem już swobodnie jeździć pociągiem i zajmować się handlem. Nasza sytuacja materialna znacznie się polepszyła. Wraz ze mną i siostrą cała rodzina Berlfainów cieszyła się z tego powodu.

Władze sowieckie ogłosiły, że wszyscy uciekinierzy z Niemiec muszą się zarejestrować i wyrazić swoją decyzję: albo przyjąć sowieckie obywatelstwo, albo z czasem wrócić tam, skąd przyjechali, tj. do Niemiec. Zaczęliśmy się radzić z siostrą i innymi uciekinierami. Jeśli przyjmiemy sowieckie obywatelstwo, wyślą nas w głąb Rosji i nie będziemy mogli wrócić do rodziny. Decyzja była bardzo ciężka. Szczególnie dla siostry. Michael nosił się z poważnymi zamiarami względem niej. Fela również marzyła o wspólnej przyszłości z Michaelem. On przekonywał nas, aby przyjąć obywatelstwo. W końcu Fela zadecydowała, by zapisać się razem ze mną na powrót do rodziny. „Jeśli przeznaczone, los nas połączy", powiedziała. Widziałem, że przeżywa tę decyzję, bo Michael był bliski jej sercu, ale troska o brata i słowa matki, gdy się z nami żegnała – „Trzymajcie się razem" – przeważyły. Zapisaliśmy się na powrót do domu, razem z większością uciekinierów.

Minęła zima. Słońce coraz mocniej grzało. Jadąc pociągiem do Lwowa, lubiłem wyglądać przez okno i patrzeć,

jak codziennie zazieleniają się większe połacie ziemi. Mijała wiosna, zbliżało się lato. Pewnego razu spotkałem we Lwowie kolegę z Olkusza. Powiedział mi, że ktoś mnie szuka i podał adres. Błądziłem po ulicach i zastukałem do drzwi na ulicy Piekarskiej 42. Kobieta w chustce na głowie stanęła w drzwiach. Znajoma twarz, ale nie pamiętałem, skąd ją znam. Chciałem sobie przypomnieć. Tymczasem kobieta objęła mnie troskliwie i zaprosiła do domu. „Mojsiele!", woła. Na jej wołanie zjawił się mąż. Poznałem – to rodzice Emy. Jeszcze obejmują mnie z rodzicielską serdecznością, gdy w pokoju zjawia się Ema. Jestem oszołomiony. Czy to sen? Jeszcze piękniejsza jak w domu. Zeszczuplała. Jej smukła postać, zdaje się, wyrosła. W jej czarnych dużych oczach widać radość. Trochę zawstydzona zdejmuje kuchenny fartuszek. Wita się ze mną. Objąłem ją, pocałowałem. Zniknął wstyd. Rodzice stoją z boku, spoglądają na nas, wyraźnie zadowoleni. Ema spogląda na mnie, nic nie mówi. W jej oczach pojawiają się łzy. Pierwszy przemówił ojciec: „Wejdź do mieszkania, siadaj". Zaczynają wypytywać: „Gdzie cała rodzina? Gdzie Fela? Jak dawno wyruszyliście z domu?". Tymczasem matka zastawiła stół, spożywamy obiad. Oni opowiadają, jak uciekli z Olkusza. Niemcy ich dognali. Odebrali im konia i wóz. Granicę przeszli przez most nad Bugiem. Obecnie ojciec pracuje w kooperatywie krawieckiej. Opowiedziałem o naszych przygodach i o tym, że zapisaliśmy się na powrót do Polski. „My nie mamy dokąd wrócić. Niemcy nas wygnali. Zgłosiliśmy, że chcemy przyjąć sowieckie obywatelstwo. Macie jakieś wiadomości od rodziców?", pytali.

„Nic", odpowiedziałem. „Może przeprowadzicie się do nas? Nie jesteśmy obcy. Pomożemy wam. Będziemy jedną rodziną. Razem przetrwamy wojnę. Wasi rodzice i my także marzyliśmy o połączeniu naszych rodzin". Ema spuściła oczy zarumieniona. Nie trzeba było słów, by poznać, że to jest również jej najgłębsze marzenie. Obiecałem, że porozmawiam z Felą i że przyjedziemy do nich w odwiedziny. Ema odprowadziła mnie do tramwaju. Szliśmy objęci. Cały świat nas nie obchodził. Byliśmy szczęśliwi z naszego spotkania. Minął jeden tramwaj, drugi. Trudno się rozstać. „Muszę wracać – powiedziała Ema. – Rodzice będą się martwić", ale nie zamierzała wydostać się z moich objęć. Daliśmy możność naszym uczuciom, naszym sercom rozmawiać. Snuliśmy wspólne marzenia o naszej przyszłości. Mijał czas. Trzeba wrócić do Feli. Trudno się rozstać. Los nas spotkał. Odległość z Sambora do Lwowa nas nie rozdzieli. Pożegnaliśmy się. Pocałowaliśmy się. Przyrzekłem przyjechać z Felą.

W pociągu nie przeszkadzał mi ścisk. Całą drogę do Sambora stałem przy oknie. Ciemna noc, ale przez całą drogę widziałem przed oczami piękną i smutną twarz Emy. „Wrócę do ciebie, Ema. Przyjadę w niedzielę wraz z Felą".

Późno w nocy wróciłem do rodziny Berlfainów. Fela nie spała. Czekała, martwiła się. Opowiedziałem o niespodziewanym spotkaniu. „Fajgele, poproszę, aby ci pozwolili pojechać do Lwowa". Fela wypytywała, jak wygląda Ema. „Będziemy mieli sobie wiele do opowiadania", powiedziała. Była szczęśliwa, że odnalazłem tak bliską jej przyjaciółkę.

Usnąłem z myślą o Emie. We śnie widziałem ją. Wstałem z Emą w sercu.

Minęła zima, wiosna w pełni zawładnęła ziemią. Przekwitły bzy, pojawiły się już czereśnie. Ptaki budziły mnie swoimi dźwięcznymi głosami. Słońce coraz wcześniej wstawało. Zbliżało się lato, a wraz z nim nadzieja i radość wypychały troskę i beznadziejność z moich myśli. Zacząłem snuć nowe plany. Stałem się weselszy. Myślałem o spotkaniu Emy z moją siostrą. Gospodyni domu pozwoliła siostrze pojechać ze mną do Lwowa. Postanowiliśmy, że w niedzielę nad ranem pojedziemy. Ale los chciał inaczej.

WYPĘDZENI NA SYBIR

W piątek 29 czerwca 1940 roku, po świątecznej kolacji, gdy wszyscy już spali, ktoś zaczął mocno stukać do drzwi. Stukanie powtarzało się. „Kto tam?", spytał zaspany Michael. „NKWD – proszę otworzyć". Weszli dwaj umundurowani i uzbrojeni Rosjanie. Wywołali nasze nazwiska i jeszcze trzech chłopców – uciekinierów tak jak my. „Ubierajcie się szybko, zabierzcie swoje manatki i chodźcie z nami", rozkazali. Usiedli przy sobotnim stole nakrytym białym obrusem. Na stole stały dwa duże mosiężne świeczniki. Sobotnie świece już dawno pogasły, tylko zastygłe sople wosku zwisały jak sople lodu. Rosjanie pospieszali nas i wzrokiem śledzili każdy nasz ruch. Cała rodzina Berlfainów, przestraszeni i zdziwieni, byli już na nogach. Matka – zgarbiona ze starości i ciężkiej pracy – pytała: „Dokąd i dlaczego ich zabieracie?", ale wojskowi nie byli rozmowni. „Ja pójdę razem z wami", powiedział Michael i smutnym wzrokiem spoglądał na moją siostrę. „Nigdzie nie pójdziesz – powiedzieli wojskowi. – Tylko ci, którzy nie mają obywatelstwa, pójdą z nami". Fela i Michael wpadli sobie w objęcia. „Dowiem się, dokąd was prowadzą. Zrobię wszystko, abyś wróciła. Czekam na ciebie". Matka zapłakana, bez słów patrzyła na syna i moją siostrę. Tylko troskę

i błogosławieństwo można było wyczytać z jej wyblakłych oczu. Zaczęliśmy się żegnać z cała rodziną. Łzy mnie dusiły. Nie mogłem mówić. Przy pożegnaniu matki z moją siostrą obie płakały. „Byłaś dla nas drugą matką. Nigdy nie zapomnimy, jak nas przygarnęłaś i troszczyłaś się o nas", zdołałem wykrztusić. Rosjanie nas oderwali, wypchnęli za drzwi, nie pozwolili nas odprowadzić. Drzwi domu rodziny Berlfainów na placu Zamkowym 10 w Samborze zamknęły się za nami.

W chłodną noc z piątku na sobotę zaprowadzili nas na rynek. Na rynku było już mnóstwo ludzi takich jak my. Wszyscy siedzieli cicho na swoich tobołkach i czekali. Dookoła rynku stali uzbrojeni wojskowi i pilnowali. Auta ciężarowe całą noc odwoziły ludzi na dworzec kolejowy i wracały puste, po nowy ładunek ludzi. Nad ranem przyszła nasza kolej. Jechaliśmy przez puste ulice. Tylko szum motoru i nawoływanie wojskowych patrolujących wzdłuż całej trasy zagłuszały ciszę nocną. Rodzina Berlfainów na pewno nie śpi – myślą o nas. Ile jestem im wdzięczny za przytułek i ciepło rodzinne? Czy będę potrafił się odwdzięczyć? Czy spotkamy się jeszcze?

W piątkowy wieczór pół roku temu przyjechałem do Sambora. Widziałem wówczas uśmiechnięte twarze, świąteczny nastrój, oddział śpiewających żołnierzy. Przygnębienie zastąpiła nadzieja. Minęło pół roku i znów w piątkową noc, uzbrojeni enkawudziści wyganiają nas z Sambora. Dokąd?… Co nas tam czeka?… W sercu mam nadzieję, że wyślą nas do miejscowości, gdzie będziemy mogli pracować i uczciwie zarabiać na chleb.

Samochód zatrzymał się na dworcu kolejowym. Na dworcu było pełno cywilnych i wojskowych. Na twarzach cywilnych widać było niepokój i rozczarowanie. Enkawudziści odprowadzili nas do wagonu ciężarowego i zamknęli za nami drzwi. W wagonie były umocowane dwupiętrowe prycze do spania, małe zakratowane okno. Odniosłem wrażenie, że jesteśmy w więzieniu. Zza okna widać było przygnębiające widoki. Mąż prosił, aby pozwolili mu jechać z żoną i dziećmi, którzy już są w wagonie. Inni zapewniali, że przez pomyłkę zabrali jego rodzinę. Enkawudziści odpychali od siebie skarżących się, nie reagując, tak jakby nie słyszeli skarg ludzi. W wagonie było nas pięćdziesiąt sześć osób. Ulokowaliśmy się na pryczach z rodziną Gotliebów, którą zabrali też z naszego domu w Samborze. W kącie pod zasłoną stało wiadro, które służyło jako ustęp. Od czasu do czasu trzeba było mocno bić w drzwi wagonu, aby wojskowy otworzył i odprowadził na miejsce, gdzie można było wylać cuchnącą zawartość wiadra.

Był już dzień. Zza okna słychać było krzyki i płacze. Pociąg stoi. Duszno, ciasno. Najwygodniej leżeć na pryczy. Zdaje mi się, że ktoś z zewnątrz woła: „Berger". Głos się zbliża. Słyszę wyraźnie – „Berger, Berger". Przeciskam się do zakratowanego okienka. „Tutaj Berger. Tu Berger", wołam. Drzwi wagonu otwierają się ze zgrzytem. W drzwiach stoją enkawudziści i kierownik kooperatywy malarskiej. Siostra już stoi przy mnie. W myśli już widzę, jak zwalniają nas. „Berger – wychodzić", woła. Witam się z nim. Przez wyjątkowo krótki okres mojej pracy w kooperatywie ukraiński kierownik mnie polubił. „Należy ci się

zapłata za twoją pracę", i wręcza mi 150 rubli. „A to na drogę, od całej załogi". Daje mi paczkę, a w niej dwa bochenki chleba, pudełko miodu i butelka wina. „Dziękuję", mówię zawstydzony. „Jedziecie tam, gdzie będziecie mogli uczciwie zarobić na chleb i razem z nami budować komunizm – pocieszał mnie. – Nic złego wam się nie stanie". Serdecznie się ze mną pożegnał, wprowadzili mnie z powrotem do wagonu, drzwi się za mną zasunęły i od zewnątrz zamknięto rygiel. Przybycie ukraińskiego komunisty, przyjaciela, dodało mnie i siostrze otuchy. Może wie, co mówi, może to prawda.

Pociąg stał całą sobotę. Krzyki i nawoływania od zewnątrz nie ustawały. W nocy ułożyliśmy się spać. Obudziłem się, gdy wagon się zatrząsł. Koła zazgrzytały, lokomotywa ciężko zasapała i pociąg ruszył w nieznane. Jechaliśmy trzy dni, aż do starej granicy. Tam przesiedliśmy się do rosyjskiego pociągu (bo w Rosji tory kolejowe są szersze niż w Europie). W nocy jechaliśmy dalej.

Pociąg zwiększał szybkość. Stukot kół stał się coraz szybszy, bardziej monotonny. Przez zakratowane okno wchodziło chłodne, świeże powietrze. Pociąg pędził na wschód w głąb Rosji. Ulokowałem się na dolnej półce razem z kolegą Gotliebem. Rodzina Gotliebów składała się z ojca, matki i syna. Mieszkali w tym samym domu w Samborze co my. W pierwszych dniach wojny uciekli do Rosji. Niemcy bombardowali pociąg, w którym jechali, i syn został ranny. Po wyzdrowieniu zaprzyjaźniłem się z nim. Teraz ulokowaliśmy się razem na dolnej pryczy, spaliśmy na jednej poduszce i nakryliśmy się jednym kocem,

który należał do jego rodziny. Moja siostra umieściła się na górnej półce. Monotonny stukot kół oraz zmęczenie sprawiły, że zapadliśmy w głęboki sen. Gdy obudziłem się rano i spojrzałem na głowę Mońka Gotlieba, wybuchnąłem śmiechem. Całą głowę miał wysmarowaną masłem. On spojrzał na mnie i również się śmiał. Moje włosy były także sklejone masłem. Okazało się, że Gotliebowie mieli naczynie z masłem, które spadło z górnej pryczy i roztopiło się na poduszce.

Ponad dwa tygodnie jechaliśmy w pociągu towarowym. Po drodze dostawaliśmy skromne porcje chleba, a na większych stacjach – gorące jedzenie. Nawet gdy pociąg stanął na stacji wśród nocy, konwojujący nas enkawudziści wołali dwóch ludzi z każdego wagonu i dawali nam wiadro gotowanej potrawy, które dzieliliśmy między sobą. Teraz mieliśmy dwa wiadra. Jedno służyło na jedzenie, a drugie służyło jako ustęp – za parawanem. Puszki po konserwach, blaszane pudełka i szklane bańki służyły za talerze, a ponieważ większość nie miała łyżek, jadło się rękami. Na każdej stacji kolejowej był kran z wrzącą wodą (kipiatok). Im dalej jechaliśmy w głąb Związku Radzieckiego, konwojujący mniej nas pilnowali. Jechaliśmy już przy otwartych drzwiach. Gdy tylko pociąg stawał, skakaliśmy z wagonu z naczyniem, jakie kto posiadał, biegiem do kranu z wrzątkiem, gdzie tworzyła się kolejka, aby nabrać gorącej wody. Inni biegli za wagon albo pod wagon za normalną ludzką potrzebą. Nigdy nie wiedzieliśmy, jak długo pociąg będzie stał. Nauczyłem się zeskakiwać i wskakiwać w biegu pociągu.

Dostawy żywności były skąpe. Przeważnie jedliśmy czerstwy chleb, popijając kipiatok. Nasz transport liczył około 1200 mężczyzn, kobiet i dzieci. Pociąg zawsze stawał na bocznych torach. Prawie na każdym przystanku pojawiali się miejscowi handlarze, proponując chleb, pierożki, owoce, wódkę, machorkę. Można było kupić za pieniądze albo w zamian za rzeczy. I tak na jednej stacji można było kupić chleb za sznurówki do butów, na następnej stacji można było zamienić spleśniały chleb na wódkę albo baterie do latarek lub smoczki dla dzieci. Na następnych stacjach można było zamienić smoczki na mydło. Kolega zamienił brudną znoszoną koszulę na wódkę, chleb i machorkę.

Byliśmy już w głębi Rosji. Pierwszy raz jadłem melony, brzoskwinie. Nie tak wyobrażałem sobie życie w kraju komunistów. Widać było biedę i strach w oczach. W wagonie było ciasno. Zaprzyjaźniłem się z Zygmuntem, który ładnie śpiewał. Siedzieliśmy na progu otwartych drzwi wagonu pociągu pędzącego na wschód i śpiewaliśmy z Zygmuntem sentymentalne pieśni, spoglądając na piękno uciekających przed nami krajobrazów. Lato było w pełni. Na polach złociły się dojrzewające kłosy zboża, mijaliśmy wioski, miasta, lasy i góry. W wagonie było duszno i ciasno. Ponieważ wolno nam było na stacjach wychodzić z wagonu, nie używaliśmy wiadra za parawanem. Raz jedna ładna dziewczyna rozebrała się na górnej półce, zasłoniła się różnymi szmatami i zaczęła się myć przygotowaną w garnku wodą. Pociąg nagle stanął, a ona spadła zupełnie naga na ręce stojących ludzi. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tylko dziewczyna płakała.

Dotychczas nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Mijaliśmy Europę, przejeżdżaliśmy tunele w górach Uralu. W innych warunkach bylibyśmy podziwiali piękno natury, ale pociąg gnał na Sybir i na samą myśl o tym robiło się smutno i zimno. W dodatku martwiła mnie moja siostra. Zamknęła się w sobie. Mało rozmawiała, leżała na górnej półce, spoglądała w zakratowane okno i miała łzy w oczach. Minęliśmy już miasta Omsk, Tomsk, podziwialiśmy piękną stację kolejową w Nowosybirsku i przyjechaliśmy do stolicy Syberii – Irkucka.

JA Z SIOSTRĄ W JURZE

W Irkucku wysiedliśmy z wagonów, zaprowadzili nas grupami do łaźni z gorącą wodą, gdzie pierwszy raz od początku naszej podróży mogłem sobie porządnie umyć włosy, które były sklejone od masła. Ubrania dali do dezynfekcji. Po łaźni czułem się jak nowo narodzony. Rzeczy z pociągu przenieśliśmy na brzeg rzeki Angara. Angara jest bardzo szeroka, mogą płynąć po niej dwa statki jednocześnie. Szybkość prądu – 12 kilometrów na godzinę. Wpada do legendarnego jeziora Bajkał.

Druga połowa lipca. Syberyjskie lato w pełni. Dookoła lasy sosnowe. Po rzece płyną okręty i ciągną za sobą ogromne drewniane barki. Świeże powietrze, lekki wiaterek i szum rzeki uspokaja. Czekamy na barki, które przyjadą, aby nasz transport zabrać w dalszą nieznaną drogę po rzece. Do wieczora nie nadeszły. Zaczęło się ściemniać. Stało się chłodno. Mgła zasłoniła rzekę. Siedzieliśmy na swoich paczkach i czekaliśmy. Dziesiąta w nocy. Zimno przenika do kości. Wymarzone barki nie przychodzą. Postanowili przenieść część naszych ludzi do budynku. Ja z siostrą przeszliśmy do budynku szkolnego niedaleko brzegu. Znaleźliśmy kącik, położyliśmy nasze rzeczy i ułożyliśmy się na podłodze. Obok nas przysiadła starsza

kobieta z córką. Matka prosiła mnie: „Na brzegu została moja druga córka. Czy mógłbyś pójść i przyprowadzić ją do nas?". Wyszedłem na brzeg. Ciemno. Gęsta mgła. Na brzegu siedziało wielu ludzi na swych tobołkach. Idę wzdłuż brzegu i wołam po imieniu: „Mania! Mania!". Przede mną podnosi się jakaś paczka czy worek i mówi drżącym z zimna głosem: „Ja – Mania". Pomogłem jej zebrać manatki i zaprowadziłem do matki i siostry. Spały obok nas na podłodze. Gdy rano wstałem, spojrzałem na Marię. Była dziewczyną może piętnastoletnią. Niska, jasne włosy, niebieskie oczy, mądre i smutne spojrzenie. Zebrali swoje paczki, grzecznie i z uśmiechem. Maria, ukazując dołeczki w policzkach, odmówiła mojej pomocy. Sama nosiła na brzeg paczki, schylając się pod ich ciężarem. Widać, że los zamienił ją w dorosłą dziewczynę.

Wróciliśmy na brzeg Angary. Po nadejściu okrętu załadowali nas na czwartą z kolei barkę. Były to barki do przewożenia towarów, nie ludzi. Ciasno i duszno wewnątrz. Na pokładzie trzy ustępy. Trzeba czekać w kolejce dość długo, aby wejść do zanieczyszczonego ustępu. Jedzenie dali nam dobre i do syta. Po kilkudniowej podróży rzeką przyjechaliśmy do Zajarska. Zeszliśmy na ląd, wyprostowaliśmy kości, oddychaliśmy świeżym powietrzem. Dali nam gorący posiłek. Odpoczęliśmy. Następnego dnia załadowali nas na otwarte ciężarowe auta, którymi jechaliśmy 240 kilometrów do Kiereńska. Była to najgorsza dotychczas jazda. Siedzieliśmy – a raczej stali, w wielkiej ciasnocie. Polna droga w lesie, pełna wgłębień i pagórków, wytrząsnęła nam kiszki. Trzeba się było schylać, by gałęzie sosen nie

kaleczyły nam twarzy. W dodatku szofer usnął przy kierownicy i auto zatrzymało się w rowie. Cudem nie doszło do nieszczęścia. Wszyscy pomagaliśmy wyciągać auto na drogę. W końcu dojechaliśmy do Ust'-Kut – małej miejscowości niedaleko Kiereńska. Dali nam namioty, które ustawiliśmy w lesie i byliśmy tam kilka dni. Przyjemnie było po akrobatycznej jeździe odpocząć w lesie. Ale w dzień mieliśmy znów plagę komarów. Wszędzie było ich pełno. Wlatywały nam do nosa, do uszu, do ciała pod koszulą, do jedzenia – wszędzie. Byliśmy pokąszeni i spuchnięci od komarów. W Ust'-Kucie znów grupami zaprowadzili nas do łaźni. Partię kobiet, a następnie partię mężczyzn. Gdy przyszła moja kolej, wszedłem z grupą mężczyzn, okazało się, że dyżurny nie wiedział, że w parówce są dziewczęta. Gdy już byliśmy rozebrani, dziewczęta usłyszały głosy mężczyzn i gęsiego zaczęły biec do szatni, pokazując nam swoje wdzięki. Przebiegały, zakrywając sobie twarze, by ich nie poznać. Rozpoznałem również moją siostrę. Wszyscy się śmiali, tylko dziewczęta kłóciły się z dyżurną.

Znów załadowali nas na barki i płynęliśmy rzeką Lena do Jakucka. Po drodze dawali nam bardzo mało jeść. Zaczęliśmy głodować. Cały czas myśleliśmy tylko o jedzeniu, wspominaliśmy smakołyki, jakie mama nam przygotowywała. Teraz byliśmy zadowoleni, gdybyśmy mieli chleba do syta. Ludzie zaczęli chorować. Na pokładzie mieliśmy lekarza i pielęgniarkę. Na każdą chorobę mieli tylko jodynę – do picia i do smarowania. Na okręcie pracowali Rosjanie oraz milicja Jakutów. Pierwszy raz w życiu widziałem Jakutów. Byli niskiego wzrostu, mieli skośne, małe oczy i płaski

nos. Nosili karabiny, które niekiedy były większe od nich. Spoglądali na nas jak na ludzi z innej planety. Umieliśmy już trochę rozmawiać po rosyjsku i mogliśmy się z nimi porozumieć. Uśmiechali się do nas, a szczególnie do naszych dziewcząt, i wydawali się nam dość życzliwi.

Przyjechaliśmy do Jakucka, stolicy Republiki Jakuckiej. Zeszliśmy na brzeg, skąd wozili nas do łaźni w Jakucku. Pierwszy raz w życiu widziałem drogę wysadzoną klockami drzewa. Takie były drogi w Jakucku. Także większość domów była drewniana. Lasy tutaj rozpościerają się przez setki, a może tysiące kilometrów. Drzewo to powszechny materiał budowlany. Po łaźni odwieźli nas ciężarowymi samochodami do Zatonu (zatoki leżącej o około 7 kilometrów od Jakucka), z powrotem na barki, które tam nas oczekiwały. Źródła rzeki Lena rozpoczynają się na południe od Irkucka. Lena ma około 5500 kilometrów długości i wpada do Oceanu Lodowatego na północy. Jest to jedna z największych rzek w Azji. Okręt znów ruszył w drogę i skierował się do rzeki Ałdan (dopływ rzeki Lena). Jechaliśmy naprzeciw prądowi. Rzadko widać jakieś osiedle. Las i woda.

Dostawa produktów jest mniej niż skromna, głodujemy. Kto posiada jeszcze wódkę, tytoń, odzież zamienia je na przystankach albo u załogi okrętu na produkty. Nam skończyły się już pieniądze, a z rzeczy też nie było co sprzedać. Gotliebowie widzieli, że siedzimy w kącie, kiedy inni handlują, nieraz poratowali nas kromką chleba. Raz, pomimo mojego sprzeciwu, wcisnęli mi do ręki 20 rubli na jakimś przystanku, gdzie można było kupić jedzenie

u Rosjan. „Oddacie, jak będziecie mieli", powiedzieli. Dotychczas mieliśmy już kilka przykrych wypadków. Jedną dziewczynę oparzono wrzącą wodą i zostawiono ją w szpitalu na stacji Elec. Jedna dziewczyna dostała wysokiej gorączki, lekarz uważał, że to może być zaraźliwe i zabrali ją z naszego transportu. Matka oparzonej dziewczyny umarła na okręcie, pochowano ją w lesie, na przystanku, gdzie załoga okrętu ładowała drzewo na opał jako siłę napędową dla okrętu.

Przejechaliśmy już prawie całą szerokość Związku Radzieckiego od zachodniej do wschodniej granicy. Obecnie wiozą nas na północ. Smutno na duszy, tęskno za domem, troska o rodziców i siostry. Ciężka, męcząca podróż, głód, nieznany cel naszego wygnania nie wróżyły nic dobrego. Zacząłem pisać dziennik. Miałem brulion jeszcze z Sambora. Pisałem z myślą, że gdy wrócimy do domu, będę mógł opowiedzieć rodzicom o naszej wyprawie i wydarzeniach. Prawie przez cały czas naszego wygnania pisałem. Były czasy, że dziennik był moim jedynym przyjacielem, któremu mogłem się zwierzyć z trosk, przygód i smutku. Pisałem, na czym mogłem, gdy nie dostałem atramentu, pisałem ołówkiem, robiłem atrament z proszków tuszowych, czasami nie mogłem dostać zeszytów, więc przez pewien okres nie pisałem. Dziś po blisko pięćdziesięciu latach papier zżółkł, zaczął się kruszyć, pismo ołówkiem wytarło się niekiedy i stało nieczytelne. Nie wyobrażałem sobie, że dziennik posłuży mi do pisania książki.

Okręt płynął powoli, naprzeciw prądowi, ciągnąc za sobą cztery barki. Ja z siostrą byliśmy na czwartej barce.

Zbliżyliśmy się do brzegu. Odczepili naszą barkę i okręt popłynął dalej z trzema barkami, zostawiając nas przy małym osiedlu Jakutów. Postanowiliśmy napisać telegram do Wodza Narodu Stalina, aby nie posyłał nas tak daleko, bo nie jesteśmy przyzwyczajeni do tak srogiego klimatu.

Zeszliśmy z barki i ulokowaliśmy się na brzegu. Noce były bardzo zimne. Spaliśmy na wilgotnym brzegu na ziemi. Zapalaliśmy ognisko i w nocy zawsze ktoś pilnował, aby dokładać drzewa. Drzewa tutaj nie brak, bo las dookoła. Rano poszliśmy do lasu zbierać borówki. W sosnowym lesie było cicho, chodziliśmy po miękkim mchu, zbierałem jagody i zaraz je zjadałem, aż nasyciłem się. Wróciłem na brzeg. Dostałem zatrucia żołądka, wymiotowałem całą noc. Siostra opiekowała się mną, jak mogła. Jedyne lekarstwo to była jodyna. Przez następne dni siostra zbierała jagody i gotowała je w puszkach z konserw (oczywiście bez cukru) i to było nasze pożywienie. Znów jedna starsza kobieta umarła. Wykopaliśmy na brzegu grób w zamarzniętej ziemi i pochowaliśmy ją. Z drzewa postawiliśmy prymitywny pomnik z napisem, choć wiedzieliśmy, że nikt nie będzie czytał i nikt nie odwiedzi tego grobu, a na wiosnę woda go zmyje i pociągnie zwłoki z prądem rzeki.

W nocy zaczął padać deszcz. Wiał silny wiatr. Nie było się gdzie schować. Na brzegu stała kobieta z dzieckiem na ręku. Na głowę nałożyła worek i tak zakryła siebie i płaczące dziecko przed deszczem i wiatrem.

Po czterech dniach wrócił okręt, aby nas zabrać w dalszą drogę. Znów płynęliśmy w górę rzeki, ale okręt ciągnął tylko jedną barkę – naszą. Następnego dnia zatrzymaliśmy

się na brzegu w Ust'-Maja. Tam połączyliśmy się z pierwszą grupą. Była już druga połowa sierpnia 1940 roku. Następnie jechaliśmy mniejszymi barkami przeciw prądowi do Ust'-Judyma. Tam byliśmy trzy dni. Pomieścili nas kilkanaście osób w drewnianym budynku szkoły i spaliśmy w miękkim mchu na glinianej podłodze. Dostawa jedzenia trochę się polepszyła. Dostaliśmy po 300 gram chleba, wędzoną rybę i kaszę. W lesie zbieraliśmy borówki i dziki agrest. Siostra gotowała marmoladę, z czego część sprzedawała między naszymi ludźmi za pieniądze. Pani Gotliebowa często chorowała. Dobra dusza i nic pomóc nie możemy. Zaczęło nam dokuczać robactwo. Wszy. Pomimo że siostra codziennie prała w rzece nasze łachy, nic nie pomagało. Wszyscy się drapali. Z początku skrycie, wstydliwie, a potem już otwarcie przy ludziach.

Podzielili nasz transport na dwie grupy. Grupa starszych ludzi z rodzinami licząca około 800 osób i druga grupa młodych i bez dzieci – około 400 osób. Powiedzieli nam, że większa grupa pojedzie do miejscowości Minor, a mniejsza grupa do miejscowości Jur. Znów umarł młody chłopak bez rodziny i pochowaliśmy go w lesie.

Już ósmy tydzień od czasu, jak nas zabrano z Sambora, a końca naszej podróży nie widać. W szkole spaliśmy trzy noce. Następnie musieliśmy opuścić szkołę, aby dzieci mogły zacząć nowy rok szkolny, a my znów spaliśmy na brzegu pod deszczem. Po pożegnaniu się z grupą, której naznaczono jechać do Minoru, z nadzieją, że się jeszcze zobaczymy, bo to niedaleko, wsiedliśmy do wielkich łodzi, po 50 osób, do których długimi sznurami zaprzężono

konie, które ciągnęły łodzie przeciw prądowi. Było bardzo ciasno, a rzeka rwąca. Nie było widać żadnych osiedli, tylko lasy, skały i małe wodospady. Słońce wschodziło o godzinie czwartej, a ściemniało się o ósmej wieczór. Gdy trzeba było przejechać na drugą stronę rzeki ze względu na stromy brzeg, załadowywano konie do łodzi i razem z ludźmi przeprawiano się na drugi brzeg. I tak było ciasno, a gdy wprowadzono do łodzi jeszcze dwa konie, trzeba było siedzieć jeden na drugim. Gdy konie się ruszały, cała łódź zaczynała się chwiać, a my baliśmy się, aby się nie wywróciła i byśmy nie wpadliśmy do lodowatej wody. Ale konie widziały strach w naszych oczach i czy to ze względu na nas, czy z przyzwyczajenia stały spokojnie. Po drugiej stronie wyprowadzono konie i dalej ciągnęły naszą łódź.

Po dwóch dniach zeszliśmy na brzeg i dalszą podróż odbyliśmy piechotą. Na grzbiety małych, ale mocnych jakuckich koni załadowano nasze rzeczy i szliśmy razem przez dziki las, przeskakując z pnia na krzaki. W lesie, którego ręka ludzka nigdy nie pielęgnowała, a drzewa, umierając ze starości albo z powodu wiatrów, padały i tworzyły przeszkody dla pieszych, gałęzie kaleczyły nam twarze. Po trzech dniach akrobatycznego spaceru, nocując w lesie przy ognisku, przybyliśmy do celu naszej podróży, do lasu, blisko osiedla rosyjskiego Jur. Podróż z Sambora trwała trzy miesiące.

JUR

Enkawudziści nie zatroszczyli się, aby nam przygotować mieszkanie i minimalne warunki życia. Jur – to miejscowość między górami, zalesiona. Przepływa tu rzeczka Dzipkanga. Jedynym zabudowaniem był barak z długą pryczą z cienkich żerdzi. Chorzy i słabi zajęli to pomieszczenie. Spało tam czterdzieści osób. Pozostali spali w lesie przy ognisku. W nocy były już przymrozki. Jedynym naszym zajęciem było przygotowywanie drzewa na opał. Nie mieliśmy domu, nie mieliśmy pracy i żywności.

W odległości 8 kilometrów od naszego osiedla była kopalnia złota. Mieszkali tam i pracowali Rosjanie. Od czasu do czasu przywozili nam od nich żywność. Nie było regularnej dostawy żywności, bo nie było dróg. Dopiero gdy rzeki zamarzną, można będzie sankami dowozić produkty.

Bezczynność, głód i chłód zaczęły dawać się we znaki. Nocami siedzieliśmy głodni przy ognisku. Spać nie było można, bo zimno ciągnęło od ziemi. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o smacznych ciastach, które mama piekła w domu.

Po kilku dniach przyszła do nas grupa cieśli rosyjskich z siekierami, piłami i młotami. Kto był zdolny trzymać piłę w ręku lub wykonywać inną pracę, został zwerbowany. Miejscowość, która drzemała od wieków, zaczęła żyć.

Razem z Rosjanami zaczęliśmy budować dla nas domy. W lesie słychać było teraz zgrzyt pił, odgłosy padających drzew, nawoływanie ludzi. Śmiech i przekleństwa Rosjan. Dla pracujących dali więcej chleba. Zasiano nam iskierkę nadziei w sercach. Domy zaczęły rosnąć na naszych oczach. Ściany budowano z ciosanych drzew. Między belkami kładziono mech, którego w lesie nie brakowało. Dachy z kory drzewa sosnowego. Wzdłuż ścian z jednej i drugiej strony ustawiano prycze z cienkich żerdzi, dość wysoko od ziemi i kilka półek nad pryczami. Gwoździ nie było, więc gdzie było konieczne, wstawiało się kołki z drzewa. Rosjanie przynieśli również szyby, ale za mało, więc naciągali na ramy płótno, a przeważnie worki. Wmontowywano je w otwór w ścianie i to służyło jako okno. Płótno to wystarczy oblać wodą i całą zimę będzie zamarznięte, ale przepuści trochę światła. Na razie spaliśmy jeszcze pod gołym niebem. W nocy mróz dochodził już do 20°C, a w dzień było jeszcze dość ciepło.

Nareszcie nadszedł dzień, że można było się wprowadzić do domu. Zamieszkaliśmy w takim domu, który składał się tylko z jednej izby. W środku domu postawiono piec zrobiony z żelaznej beczki. Worki z mchem służyły jako materace i poduszki. A z braku worków kładziono tylko mech. W naszym domu mieszkało dwadzieścia osób. Przeważnie młodzi. Ja z siostrą dostaliśmy miejsce w środku. Mieliśmy więc miejsce blisko pieca i dalej od drzwi, skąd wchodził mróz. Dzień się skracał. Wieczory stały się dłuższe. Jedynym światłem były cienko krojone łuczynki ze smolnego drzewa. Piec zapaliliśmy tylko jeden raz i od

tego czasu ustanowiliśmy przy nim dyżur, aby ogień nie zgasł. Piec służył do ogrzewania i gotowania. Zaopatrzenie żywności było mniej niż skromne, więc nie było kolejek przy piecu. Produkty, które dostawaliśmy, były przeznaczone dla zamieszkałej tutaj dotychczas ludności zatrudniającej się przy wydobywaniu złota. Z ich normy wydzielano dla nas pewną część, którą przywożono na grzbietach koni do magazynu, którym kierował Rosjanin. Od czasu do czasu dostawaliśmy trochę mąki albo krupy i sami gotowaliśmy. W naszym domu mieszkała matka z synem. Pewnego razu matka gotowała kluski z mąki i przyświecała sobie smolną łuczynką. Od czasu do czasu próbowała, czy już ugotowane. W końcu podała synowi garnek z ugotowaną zupą. Henio zaczął łowić drewnianą łyżką w garnku, ale znalazł tylko węgiel z łuczynek. „Mamo, a gdzie są kluski? Ugotowałaś zupę z węgla?". Ale woda z klusek też była pożywna, więc musiał zadowolić się tym, co pozostało.

Mój kolega Zygmunt, z którym zaprzyjaźniłem się jeszcze w pociągu, był młodym inżynierem budowlanym. Namówiliśmy go, aby poszedł do kierownika, który zajmuje się budową, i przedłożył swoje usługi. Poszliśmy we trójkę do osiedla Jur i zaszliśmy do domu kierownika. Zygmunt powiedział o swoich umiejętnościach, a on obiecał go zatrudnić. Gdy już mieliśmy odejść, trąciłem pod stołem Zygmunta i powiedziałem po cichu: „Powiedz, że jesteśmy głodni". Wstydliwy kolega długo się wahał, dopiero przy drzwiach spytał, czy nie mają czegoś do jedzenia. Gospodarz postawił na stole okrągły bochenek razowego chleba i zagrzał garnek baraniego tłuszczu – wstaliśmy od

stołu dopiero wtedy, gdy już wszystko było zjedzone. A jeżeli po tym nie dostaliśmy skrętu kiszek, to dlatego, że stał się cud. Tydzień czasu byłem syty, a otrzymany z magazynu chleb oddałem siostrze.

Nie było czym przywieźć skromnego prowiantu, który nam przydzielono. Zorganizowano grupę chłopców i dwa razy w tygodniu szliśmy 8 kilometrów pieszo przez las do piekarni, gdzie dostawaliśmy świeży chleb dla wszystkich naszych ludzi. Świeży pachnący chleb jeszcze bardziej zaostrzył nasz głód. Nieśliśmy w workach po 4–5 bochenków czterokilogramowych chlebów. Każdy szukał jakichś wypustek, aby wyrównać wypukłości i zjeść tak, aby nie można było poznać braku.

Worki z chlebem nosiliśmy na plecach przez las, przeskakując przez zwalone, spróchniałe kłody i oddawaliśmy do magazynu. Zaraz utworzyła się kolejka i każdy z nas dostawał jedną ósmą część chleba. Nazwali naszą grupę „Jakuckie Konie". Naczelnik NKWD – Fomin – zaprzyjaźnił się z nami, starał się pomóc, jak mógł. Już nas nie pilnowali, wiedzieli, że nie można uciec, bo wedle rosyjskiego przysłowia – tajga będzie sędzią, a niedźwiedź prokuratorem.

Dni stawały się coraz krótsze. Mróz zaczął dawać się we znaki, a w dodatku panowała bezczynność i głód. Magazyn przeważnie był pusty. Jeśli coś przywieźli końmi, to zaraz tworzyła się kolejka. Raz przywieźli w beczkach oliwę. Oliwa była zamarznięta. Beczki rozbito, a oliwę trzeba było rąbać siekierą. Teraz jedliśmy chleb, mocząc go w roztopionej na piecu oliwie. Zawsze zostawialiśmy kawałek

chleba na jutro. Ale ten kawałek chleba nie dawał nam spokoju. Mówiłem siostrze, by zjadła ten kawałek, bo jadła mniej ode mnie, a ona odpowiadała: „Zjedz ty, ja jestem syta". Czasami wśród nocy mówiłem jej: „Zjedz już ten kawałek chleba, abyśmy mogli spokojnie spać", a ona to samo: „Zjedz ty". Od czasu do czasu ktoś się zlitował i kawałek chleba znikał z półki.

Nasze myśli i rozmowy zawsze dotyczyły jedzenia. Raz dostaliśmy przydział na ćwierć kilograma zwykłych cukierków bez opakowania. Każdy z nas chodził i ssał cukierki. Ja z siostrą szybko je skończyliśmy. Sąsiad z naprzeciwka schował część cukierków w pudełku pod łóżkiem. Któregoś dnia chciał je zjeść, ale okazało się, że pudełko było puste. „Kto ukradł cukierki?", krzyczał w złości, ale nikt się nie przyznał.

JOM KIPUR W LESIE

Pewnego dnia Fomin kazał zorganizować grupę ludzi, aby przynieść produkty z Igoronki oddalonej o około 20 kilometrów. Zebrała się dwudziestoosobowa grupa chłopców. Każdy dostał na drogę po pół kilograma chleba. Podzieliłem chleb na trzy kawałki: jeden kawałek zjadłem od razu, jeden zostawiłem siostrze, a trzeci kawałek zabrałem ze sobą. Było to w *erew Jom Kipur*. Postanowiliśmy wyruszyć wczesnym rankiem, aby zdążyć wrócić z produktami przed świętem. Siostra nalegała, abym zabrał ze sobą również pozostawiony dla niej kawałek chleba. Aby uniknąć dyskusji, zostawiłem chleb pod poduszką z mchu. Nie uszliśmy pięciuset metrów, gdy usłyszałem głos siostry, która biegła za nami z kawałkiem chleba w ręce. „Jak mogłeś – powiedziała ze złością – przecież ty idziesz w drogę, a ja jestem na miejscu". Oddała mi chleb i wróciła.

Była już jedenasta, gdy przyszliśmy na miejsce. Zanim dostaliśmy produkty, było już południe. Jako dolę, razem z jednym inżynierem, dostaliśmy skrzynię z makaronem, która ważyła 35 kilogramów. Każdy z nas dostał 250 gram cukierków jako nagrodę. Naładowani produktami spieszyliśmy do domu. Zmienialiśmy się w niesieniu skrzyni. Ciężar na plecach i ścieżka przez las z powalonymi kłodami

utrudniała nasz powrót. Szliśmy zmęczeni, za wolno. Musieliśmy zrobić krótką przerwę. Mała grupa wyminęła nas i zniknęli nam z oczu w lesie. Zostaliśmy w tyle. Nie było mowy, abyśmy wrócili według planu. Zaczęło się ściemniać. Postanowiliśmy przenocować w lesie. Nadaremnie nasi ludzie czekają na nas z myślą, że zjedzą dobrą wieczerzę przed postem. Złożyliśmy nasz ładunek, zapaliliśmy ognisko z suchych gałęzi. Zmęczeni siedliśmy dookoła. Kto jeszcze miał, zjadł, co pozostało, i pogrążył się w myślach.

Zapanowała cisza, słychać było tylko trzask palonych gałęzi. Moja siostra oddała mi ostatni kawałek chleba. Pości już od rana. Na pewno się martwi o mnie. Co porabiają moi rodzice i siostry? W ubiegłym roku byliśmy razem. Modliliśmy się w domu w trwodze przed Niemcami. Czy mają co jeść? Ojciec sprzedał ostatnie dwa worki mąki, abyśmy mogli uciec do Rosji. Dobrze, że nie wiedzą o naszym losie.

Ktoś z naszej grupy zaczął po cichu nucić melodię *Kol nidrei*. Inni podchwycili i cała grupa zaczęła śpiewać na głos. Z lasu odpowiadało kilkukrotnie echo i wydawało się, że cały las przyłączył się do modlitwy. Nawet gałęzie drzew, które do tej pory stały nieruchome, zaczęły się poruszać i cicho szeleścić, jak gdyby razem z nami odmawiały *Kol nidrei*. Las, który zapewne od urodzenia świata nie widział takiej grupy młodzieży żydowskiej, odmawiał razem z nami w Sądny Dzień prośbę do Boga. Wydawało się, że Natura razem z nami stoi w trwodze w Sądny Dzień przed obliczem Boga i prosi o spełnienie naszych

najgłębszych życzeń. Powoli głosy ucichły i w lesie było tylko słychać echo. Ale?… To nie echo… Las dalej śpiewa *Kol nidrei*. Zrozumieliśmy, że grupa, która nas wyminęła, też nie uszła daleko, nocują w lesie i tak jak my modlą się do Boga. Po krótkim czasie wszystko zamilkło. Ciemna i chłodna noc szczelnie nas okryła. Zaczął padać deszcz, a potem duże, wilgotne płaty śniegu. Wiatr ustał. Siedzieliśmy przy ognisku. Gdy zmokły nam plecy, odwróciliśmy się nimi w stronę ognia i odwrotnie.

Przeniosłem się myślami do domu, gdzie dopiero za sześć godzin zapadnie noc. Siedemnaście tysięcy kilometrów na południowy zachód. Zamknąłem oczy. Wróciłem trzysta sześćdziesiąt dni wstecz. Pamiętam przygotowania do świąt. Wieczerzę przed postem, gdy cała rodzina siedzi przy stole nakrytym białym obrusem. Dwie białe świece palą się w ciężkich mosiężnych świecznikach. Mama wyjmuje perukę z szafy, którą ubiera tylko na uroczystości i święta. Ojciec myje ręce, zasiada do obficie zastawionego stołu. Po zmówieniu krótkiej modlitwy pijemy wino z kielicha, który ojciec nadpił. Mama przypomina: „Jedzcie, dzieci, jedzcie dużo. Jutro post. Nikomu jeść nie dam". Po kolacji, gdy mamy już na sobie świąteczne ubrania, ojciec ustawia mnie i cztery siostry w rzędzie. Kładzie nam po kolei swoje spracowane ręce na głowę i błogosławi nas. Następnie woła mnie i Felę. Stawia nas przed wszystkimi, kładzie jedną rękę na mojej, a drugą rękę na głowie Feli i mówi: „Wy jesteście daleko. Wam należy się szczególne błogosławieństwo. Pan Bóg będzie z wami i uchroni was od zła". Następnie wkłada atłasową świąteczną kapotę

na biały kitel, zabiera *talit* i *machzor*, i razem z mamą cała rodzina idzie do synagogi. „Gmar chatima towa", życzymy sobie nawzajem oraz przechodniom, którzy tak jak my spieszą do synagogi. Wchodzimy do synagogi. Mama z siostrami wchodzą do żeńskiej części. Ja z ojcem siedzimy na stałych miejscach. Patrzę w górę, gdzie siedzą siostry z mamą. Nie widzę ich. Sufit synagogi pomalowany jest na niebiesko ze złotymi gwiazdami. Piękna niebieska pluszowa zasłona ze złotymi literami. Mężczyźni w białych kitlach i talitem na głowie, dodają świątobliwości i trwogi przed Twórcą Świata. Patrzę na napis przy wejściu do synagogi, który już tyle razy czytałem: „Olkusz, stare miasto. Powstało jeszcze przed nową erą, nazywało się El-Kisz". Nazwę tę dali Fenicjanie, którzy przyjeżdżali tutaj handlować srebrem oraz surowcem dla glazurowania naczyń glinianych, wydobytych w tutejszych kopalniach. Nastała cisza. Wszyscy ubrani na biało wstają z miejsc. Chazan zaczyna modlitwę.

Czuję ciężar na moich plecach i zimno mi. Próbuję zrzucić z siebie ten ciężar i nie mogę. Kręcę się w lewo i w prawo, wstaję i krzyczę zdławionym głosem: „Tato, uwolnij mnie od tej masy!", ale ojca nie ma. Patrzę do góry, gdzie siedzą matka z siostrami, ale ich też nie ma. Ciemno dookoła, tylko wysokie chude postaci owinięte w białe kitle stoją nieruchomo. Chcę krzyczeć ze strachu, ale nie mogę wydobyć głosu. Słyszę trzask palącego się drzewa i czuję dym w oczach. Zrozumiałem, że to był sen, a białe wysokie postaci to drzewa, którym śnieg nakrył gałęzie. Drżałem z zimna i strachu. Dziwny sen. Co to ma

znaczyć? Znów kręciłem dookoła ognia i nadal śniłem – już na jawie, o rodzicach w domu, o Feli w Jurze, o Emie we Lwowie, o Berlfainach w Samborze.

I tak powoli mijała noc. Nareszcie zaczęło świtać. Byliśmy przemoczeni i zmarznięci. Dorzuciliśmy drzewa do ogniska. Zdjęliśmy wierzchnie ubranie i suszyliśmy nad ogniem, i przygotowywaliśmy się do dalszej drogi. Zaczęliśmy głośno nawoływać i wkrótce połączyliśmy się z pierwszą grupą. Szliśmy teraz razem. Śnieg, który spadł w nocy, nakrył drzewa i ziemię białą, miękką kołdrą. Zniknęły ślady. Szliśmy według intuicji. Przypomniałem sobie o cukierkach. Podzieliłem je na dwie części. Swoją porcję zjadłem, a drugą zostawiłem dla Feli. Ale nie dawały mi spokoju, więc zjadłem jeden cukierek – Fela wybaczy. Następnie jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż w kieszeni było pusto. Zorientowałem się, że skrzywdziłem siostrę, nie zostawiając jej ani jednego cukierka.

Szliśmy już dość długo i nie widać było znaczonych drzew. Okazało się, że błądzimy. Skrzynia z makaronem ciężka. Siły nas opuszczają, zbliża się południe i końca drogi nie widać. Wyszliśmy na jakąś polanę i z daleka zauważyliśmy człowieka. Zaczęliśmy go wołać. On widział grupę ludzi i zaczął uciekać. Dwaj chłopcy zrzucili swoje tobołki. Zaczęli go gonić. W końcu przyprowadzili do nas przestraszonego Jakuta. Zaczęliśmy go wypytywać o drogę, ale on nie rozumiał po rosyjsku. Poruszał tylko ramionami. Powiedzieliśmy: „rzeka Dzipkanga". To zrozumiał. Wskazał nam kierunek. Szliśmy ostatnimi siłami. Natrafiliśmy na jakąś rzeczkę. Zdjęliśmy buty i kroczyliśmy boso

w lodowatej wodzie. W końcu usłyszeliśmy głosy ludzi. Szliśmy w tym kierunku. Doszliśmy do rosyjskiego osiedla Dagor. Rosjanie serdecznie nas przyjęli, podzielili po chatach, napoili kipiatkiem i wskazali nam drogę. Zapadła już noc, gdy wróciliśmy na nasz posiołek. Ludzie już wracali z modlitwy *Neila*, z domu, który służył jako miejsce modlitwy. W progu naszego domu oczekiwała mnie siostra ze łzami w oczach. Dopiero gdy wpadła w moje ramiona, rozpłakała się na dobre. Oddaliśmy produkty do magazynu i wróciłem do domu. Minął pierwszy Jom Kipur w tajgach Sybiru.

OSTATNI KAWAŁEK CHLEBA

Na pryczy siedziała Fela z koleżanką Olgą Wajnman. Uważali już nas za zaginionych. Olga przyniosła lepioszkę (podpłomyk), upieczony dla mnie z zaoszczędzonej mąki. Jedliśmy razem z siostrą. Powiedziałem o naszych przygodach, a gdy opowiadałem o tym, że podzieliłem cukierki na dwie części i zjadłem wszystko, Fela na nowo się rozpłakała, bo zrozumiała, że nie mogłem się powstrzymać z głodu. Fela pościła, raz że było święto, a po drugie – nie miała co jeść. Przecież ostatni kawałek chleba oddała mi na drogę.

Nie zdążyłem jeszcze odpocząć, gdy zawiadomili, że przywieźli chleb na saniach do magazynu i zaraz zaczną go rozdzielać. Pierwsi – bez kolejki – dostali ci, co wrócili z produktami. Z kolei zaczęli do nas przychodzić przyjaciele z sąsiednich domów. Siedzieliśmy dookoła pieca i po ciemku opowiadaliśmy o wydarzeniach dnia.

Z czasem nasza sytuacja się poprawiała. Naczelnik NKWD starał się, jak mógł, aby nam pomóc. Nawiązały się między nami towarzyskie stosunki. Byli między nami ludzie z zawodami. Ci urządzili się nieźle. Szewcy zaczęli pracować u Rosjan w Jurze, tak samo i krawcy zaczęli łatać ubrania. Za pracę dostawali przeważnie żywność.

Był u nas blacharz Natan. Mieszkał razem z nami. Rosjanie go zatrudnili. Był bardzo zdolny i pracowity. Zbierał u Rosjan puszki blaszane z konserw, przerabiał na garnki do gotowania i oddawał bezpłatnie naszym ludziom. Za pracę u Rosjan prosił tylko o żywność, którą się dzielił z nami. Gdzie trzeba było wstawić piec, on montował rury i komin. Nazwali go „Natan Robi Cuda". Byli też wśród nas dentyści. Ojciec z trzema synami. Przywieźli ze sobą skromne narzędzia. Rosjanie dowiedzieli się o tym i zaczęli przychodzić, wstawiać złote zęby. Złoto przynosili ze sobą. Niekiedy przychodził jakiś pijany i prosił, by usunąć mu ząb, a gdy okazywało się, że usunięto mu niewłaściwy ząb, usuwano następny. Żywności dentystom nie brakowało. Prosili moją siostrę, aby im pomagała w pracy. Za pracę dostawała jedzenie i zapłatę. Opowiedziała, że kiedyś przynieśli im zamarzniętą rybę tak dużą, że musieli ją porżnąć piłą. Od czasu do czasu przynosiła również dla mnie coś do jedzenia – za wiedzą gospodarzy, aby nie posądzili jej o kradzież. Ponieważ siostra jadła w pracy, dla mnie została jej norma chleba.

Była już zima, spadł obfity śnieg, więc dostawa produktów była lepsza, bo przywozili ją na saniach. Dni były coraz krótsze, zbliżała się sroga zima. Radzili nam przygotować duże stosy drzewa, aby w zimie było czym palić. Teraz wszyscy, którzy nie pracowali, byli zatrudniani przy przygotowywaniu opału na zimę. Dostarczyli nam pił i siekier. Dookoła naszych domów las zaczął rzednąć. Zwaliśmy suche drzewa, rąbaliśmy je na kawałki i koło każdego domu rosły układane stosy drzewa. Gdy się zmęczyłem,

siadałem na brzegu rzeczki i wsłuchiwałem się w szum wody, która zaczęła zamarzać. Słońce świeciło nisko nad ziemią i słabo ogrzewało. Prąd wody uderzał o kamienie, tworzył białą pianę i z monotonnym szumem płynął dalej do następnego wodospadu. Od czasu do czasu wyskakiwał zza drzewa biały zając, nastawiał swoje duże uszy, patrzył w moją stronę, jak gdyby ze złością pytał: „Dlaczego przyszliście zakłócić spokój w naszym królestwie?". Na drzewach przeskakiwała z gałęzi na gałąź biała wesoła wiewiórka. Wyciągając ziarna z szyszek, spojrzała na mnie, machnęła puszystym ogonem i zniknęła wśród gałęzi drzew. Piękno przyrody mnie uspokajało. Dziewczęta szły z wiadrami albo blaszanymi puszkami po wodę, stawały na mostku sporządzonym z trzech kłód drzewa, spuszczały na sznurze wiadro do wody i czerpały źródlaną, krystalicznie czystą zimną wodę i przelewały do naczyń przyjaciółek. Woda służyła do picia i prania bielizny. W normalnych warunkach utworzyłyby się pary zakochanych. Ale w naszych warunkach na pierwszym miejscu było prawo bytu.

Z czasem ułożyliśmy swój tryb życia. Wieczorem często zbieraliśmy się w domu za rzeczką, który nazwano „rządem holenderskim" (dlaczego? – nie wiem) i tam podczas burzliwych dyskusji wysadzaliśmy w powietrze wszystkie fabryki amunicji Kruppa i spostrzegawczym okiem wskazywaliśmy, gdzie w morzu znajdują się podwodne łodzie niemieckie albo rękawem marynarki wycieraliśmy z mapy wszystkie wojenne plany Hitlera. Po takim wieczorze biegliśmy do domu z wrażeniem, że Hitler jest już *kaput*.

Mróz zaczął dawać się we znaki. Moje trzewiki, które miałem jeszcze z domu, już się porwały. Dostałem w przydziale parę gumowych butów – za duże na moją miarę. Owinąłem nogi szmatami i tak chodziłem do lasu rąbać drzewa. Co pół godziny biegłem do domu, aby siostra zamieniła mi wilgotne szmaty na suche, które suszyła przy piecu. Nieraz zdarzyło się, że gdy siostra ściągnęła mi buty, okazywało się, że palce u nóg były białe – odmrożone. Wówczas biegła na dwór, nabierała do garnka śniegu i tarła nim moje palce, aż wracały do normalnego stanu. Pewnego ranka musiałem zostawić buty, bo były mokre wewnątrz od potu. Gdy sięgnąłem pod naszym łóżkiem po moje stare trzewiki, byłem zdumiony, gdy znalazłem w nich cukierki. Przypomniałem sobie, że współlokator skarżył się, że ktoś ukradł mu cukierki. Dość szybko domyśliliśmy się, że to myszy przeniosły cukierki z jego pudełka do moich butów. W innych okolicznościach wyrzuciłbym buty razem z cukierkami, ale nie w naszych warunkach. Cukierki zjedliśmy ze smakiem.

Raz, gdy rąbałem drzewo, widziałem, jak z lasu wynurzyły się sanie zaprzężone w cztery jelenie. Na saniach jechał Jakut, ubrany od głowy do nóg w skóry ze zwierząt.

Wraz z zimą polepszyła się dostawa żywności. Przywozili je na saniach zaprzężonych w niskie i długowłose konie jakuckie. Jakuckie konie są bardzo mocne i wytrwałe na mróz. Nie mają pomieszczenia. Robi się dla nich zagrody i nocują pod gołym niebem. Gdy im zimno, wstają i kręcą się dookoła zagrody. Surowa zima trwa tutaj osiem miesięcy. Przez sześć miesięcy rzeki są zamarznięte. Był

już listopad. W nocy mrozy dochodziły do 40°c. Prawie całymi dniami siedzieliśmy w domu albo chodziliśmy do sąsiadów.

Na początku grudnia przyjechała do nas delegacja z Ałłach-Juń. Jest to centralna miejscowość, skąd zaopatrują całą okolicę w żywność i wszystkie potrzebne produkty oraz zabierają złoto ze wszystkich kopalń w tej okolicy. Przejechali 300 kilometrów na saniach zaprzężonych w jakuckie konie, przez polne drogi na zamarzniętych szlakach rzek. Celem ich przyjazdu było werbowanie do pracy krawców. Kto zadecyduje się pojechać – obiecali – dostanie dobre jedzenie, ciepłą odzież, normalne warunki mieszkaniowe. Jest tam również kino i klub dla wszystkich. Większość naszych ludzi nie dowierzała im. Ciężka droga, straszna zima. Już nam dość naobiecywali. Rozłączymy się, zmuszą nas przyjąć sowieckie obywatelstwo. Nie wrócimy więcej do rodziców. Rosja nas połknie. Siostra zadecydowała, tłumacząc: „Jeśli nawet część obietnic spełnią, mamy nadzieję przeżyć wojnę. Tutaj zginiemy z głodu i zimna". Inni tłumaczyli: „Nie warto im wierzyć – kłamią. Tylko wariaci mogą zostawić ciepły kąt, przyjaciół, opał i dom, który własnoręcznie budowali i wyruszyć w nieznane przy 50°c mrozu. Fizycznie nie jesteśmy w stanie wytrzymać takiej drogi. Zginiemy". „Wierzę, że nie zginiemy. Rosja nas nie połknie. I z daleka będziemy z wami, a jak rzeczywiście będzie nam dobrze, przygotujemy miejsce dla was", powiedziała Fela. Byłem dumny z jej stanowczej decyzji, choć w duchu czułem ogromną odpowiedzialność i zdawałem sobie sprawę, że bierzemy na siebie nadludzką,

bardzo uciążliwą podróż. Ja i moja siostra zapisaliśmy się jako pierwsi. Naczelnik Fomin poparł nas i doradzał innym iść w nasze ślady. Powoli zaczęli przychodzić do nas przyjaciele. Wypytywali, namyślali się. W końcu zebrała się nas piętnastoosobowa grupa. Każdy z nas dostał walonki (buty z wełny – ręcznej roboty), kufajkę (watowa kurtka), watowe ciepłe spodnie, watową czapkę z nausznikami i watowe rękawice. Przyjaciele patrzyli na ubranie z zazdrością, a na wyprawę – jak na szaleństwo.

Nadszedł czas pożegnania. Zapakowaliśmy w worki nasz skromny dobytek. Dostaliśmy na drogę po dwa kilogramy chleba. Byliśmy gotowi. Zaczęli przychodzić koledzy. Przyszedł Zygmunt Gotlieb, Olga i inni. Usiedliśmy koło pieca. Wszyscy milczeli. Nareszcie Wichter zaczął śpiewać hymn o naszym życiu na wygnaniu, który sam ułożył, opisujący nasze życie w Jurze, rzeczkę Dzipkanga, grupę koni idących z chlebem. Błądzenie z produktami i inne wydarzenia. Wszystko to ujął w formie humorystycznej, pod rytm, na melodię *Wołga, Wołga*. Ten hymn był już rozpowszechniony wśród naszych ludzi. Wszyscy zaczęli śpiewać. Języki się rozwiązały. Do późnej nocy przychodzili i odchodzili, żegnając się z nami. Przykro nam było żegnać się z Gotliebami. Matka Gotlieba stale chorowała. Natan blacharz, który tak dużo pomagał, ze łzami żegnał się z nami. Obiecaliśmy pisać listy, być w kontakcie, choć wątpiłem, czy to będzie możliwe.

Gdy wszyscy odeszli, nie mogłem usnąć. Jeszcze raz przemyślałem to wszystko. Odchodzimy od naszej grupy, związanej wspólnym losem. Razem nas zabrali z Sambora.

Razem pomagaliśmy sobie. Razem włóczyliśmy się w tajgach Sybiru, głodni, brudni i zawszawieni. Wyruszamy teraz, gdy mamy już dach nad głową, gdy polepszyły się dostawy… Wszystko nas łączy. Język, kultura, troski, marzenia i nadzieja. Słowa przyjaciół: „Razem nas nie złamią". Wszystko to zostawiamy i wyruszamy w zimny, obcy, nieznany dla nas świat. Jeśli zginiemy, nikt nawet nie zawiadomi naszych rodziców. Nikt nawet nie będzie się dowiadywał. Nikt nie będzie wiedział. Czy nasza decyzja jest słuszna?

ZIMA W TAJDZE

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w drogę. 300 kilometrów trzeba przejść piechotą, aby nie zmarznąć. Nie można siedzieć na saniach bez ruchu przy pięćdziesięciostopniowym mrozie. Pierwszego dnia mieliśmy przejść 40 kilometrów, do miejsca, gdzie znajduje się *zimowio* (schron dla podróżnych) oraz piekarnia. Przewodnik obiecał nam, że tam dostaniemy świeży chleb.

Już pierwszego dnia miałem kłopoty z Felą. Jeszcze w drodze do Jury uderzyła się w nogę, a teraz to miejsce zaczęło ją boleć przy chodzeniu i noga puchła. Musiała więc często odpoczywać na saniach, owinięta od stóp do głowy kożuchem.

Szliśmy po zamarzniętej rzece. Śnieg skrzypiał pod nogami. Dookoła ośnieżone lasy. Cicho, żadna gałąź się nie porusza. Nie spotykamy po drodze ani chat, ani ludzi. Jedyny głos to skrzyp śniegu i parskanie jakuckich koni. Szliśmy dość szybko, aby nie zamarznąć. Ubrani byliśmy ciepło i lekko. Słońce świeciło, promienie odbijały się w śniegu, raziły w oczy, ale nie grzało. Mieliśmy watową czapkę zasuniętą na uszy. Nos i twarz zawiązaliśmy szmatami. Para z ust zamieniała się w lód i ze szmat zwisały sople lodu. Przewodnik śmiał się z nas i radził zdjąć

te szmaty. Byliśmy już bardzo zmęczeni. Od czasu do czasu skręcaliśmy do lasu, by zapalić ognisko. Piliśmy gorącą wodę ze zmarzniętym chlebem i ruszaliśmy dalej. Było już ciemno, gdy usłyszeliśmy, że ktoś rąbie drzewo. Byliśmy przekonani, że schron jest już blisko, ale przewodnik powiedział, że trzeba jeszcze iść około 10 kilometrów. Za względu na ciszę odgłos siekiery słychać bardzo daleko.

Na miejsce przyszliśmy ostatnimi siłami. *Zimowio* umieszczone są na szlakach drogi, którędy przechodzą ludzie, pojedynczo albo grupami. W zimie, która tutaj trwa osiem miesięcy, jedyną komunikacją są sanie zaprzężone w konie lub jelenie. Można też iść piechotą. Wędrujący piechotą są zaopatrzeni w siekierkę, dwa krzemienie (kamienie) z knotem dla zapalenia ognia oraz śpiwór ze skóry jeleniej albo innego zwierzęcia. W wypadku, gdy podróżny nie znajduje po drodze *zimowio*, wchodzi do worka, zapina się na górze i śpi na śniegu. Dla zagotowania wody mają zawsze ze sobą garnek. Zamiast wody topią śnieg albo lód.

W *zimowio* było ciepło. Dookoła ścian były umieszczone prycze, dość wysoko nad ziemią. Na piecu stał kocioł z gotowaną wodą. Byliśmy jedynymi gośćmi tej nocy. Na progu powitała nas uśmiechnięta Rosjanka. Jej mąż dorzucał drzewa do pieca. Zdjęliśmy nasze tobołki z sań. Położyliśmy się, aby odpocząć, i czekaliśmy na świeży chleb, po który przewodnik pojechał już do piekarni. Ale nadaremnie czekaliśmy. Przewodnik wrócił z pustymi workami. „Wczoraj spaliła się piekarnia", oznajmił. Pierwsze rozczarowanie. Czy można im wierzyć? Czy tak będą wyglądać wszystkie ich obietnice? Ale powrotu już nie ma.

Zjedliśmy, co mieliśmy w workach. Przewodnik obiecał, że w następnej *zimowio*, oddalonej o 30 kilometrów, dostaniemy chleb. Zmęczeni usnęliśmy na twardych pryczach.

Po krótkim odpoczynku obudził nas przewodnik, by wyruszyć w dalszą drogę. Wyszliśmy w nocy. Termometr na ścianie domu wskazywał –50°c. Mróz na dworze nas otrzeźwił. Trzeba być w ruchu, aby nie zamarznąć. Otarte nogi bolały. Niewyspani, głodni szliśmy w milczeniu za sankami. Noc. Dookoła wszystko białe. Ciszę zagłusza tylko skrzypienie śniegu. Byłem tak zmęczony, że wydaje mi się, że idąc, zdrzemnąłem się. Nareszcie przed świtem przyszliśmy ostatnimi siłami do *zimowio*. Już nie myśleliśmy o świeżym chlebie. Zdjąłem walonki z obolałych nóg i zasnąłem.

Obudził mnie dotyk przewodnika. „Wstawaj, idziemy po chleb do piekarni". Wchodząc do piekarni, ogarnęło nas ciepło. Zapach świeżego chleba po prostu nas upajał. Wróciliśmy do *zimowio*, dzieląc dla każdej osoby jeden bochenek ciepłego jeszcze chleba. Ja i dwaj koledzy, którzy byli w piekarni, dostaliśmy jeszcze po jednym gorącym podpłomyku. Zmęczenie minęło. Wszyscy już wstali. Na piecu zaczął gwarzyć kocioł z gorącą wodą. Nastrój się polepszył. Żartowaliśmy z Rosjanami, łamiąc kawałki chleba i popijając kipiatok. Nawet Fela zapomniała o spuchniętej nodze. Niedowierzanie obietnicom Rosjan nie znikło. Pomimo że nas przekonywali, że w następnym *zimowio* znów dostaniemy chleb i może nawet inne produkty, schowaliśmy część chleba do worków. Po uczcie zmęczenie nas zmogło. Usnęliśmy. W pierwszą dobę przeszliśmy 70 kilometrów drogi.

Przewodnik pozwolił nam dobrze odpocząć. Dopiero w południe ruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy szybciej, syci, z nadzieją w sercu. Nawet otarte nogi mniej bolały. Późno w nocy znów byliśmy w *zimowio* i znów dostaliśmy świeży chleb. Fela siedziała cicho na pryczy i płakała. Noga ją bolała i była spuchnięta. Nazajutrz znów wyruszyliśmy w drogę. Siostra siedziała na saniach owinięta od stóp do głowy ciepłymi kożuchami. Powoli zaczęliśmy się przyzwyczajać do mrozu. Zdjąłem już z twarzy szmaty, które chroniły mi nos od odmrożenia. Najtrudniej było, gdy trzeba było w drodze wyjść za własną potrzebą. Trzeba było zdjąć rękawice, odpiąć i spuścić spodnie, i odsłonić część ciała na działanie silnego mrozu. Dość często trzeba było biegać z gołym tyłkiem do przyjaciela, aby pomógł zapiąć spodnie, bo ręce zamarzły. Byli między nami dwaj samotni chłopcy, opuszczeni, obojętni na wszystko. Im najwięcej trzeba było pomagać, aby nie zamarzli. Zawsze sobie nawzajem zapinali spodnie.

Szliśmy przeważnie po zamarzniętych rzekach. Rzadko jechaliśmy jakąś leśną drogą. Idąc za saniami, usłyszeliśmy na rzece jakiś głuchy wybuch. Przewodnik i reszta Rosjan, którzy prowadzili sanie, zaczęli krzyczeć, abyśmy szybko biegli na brzeg rzeki, oni również szybko skierowali sanie na brzeg. Na rzece, tam skąd słyszeliśmy wybuch, uniosła się gęsta mgła i zbliżała się do nas. Okazało się, że pokrywa lodu pękła, zrobiły się szczeliny i woda spod lodu zaczęła wypływać na lód, tworząc nową rzekę na lodzie. Z powodu silnego mrozu woda znów zaczęła zamarzać, tworząc mgłę. Zamoczenie nóg albo rąk groziło

zamarznięciem w ciągu kilku minut. Zdążyliśmy z saniami wydostać się na brzeg, zanim woda nas dosięgła i dalej jechaliśmy brzegiem. Takie wypadki mieliśmy kilka razy. Raz Rosjanie ocenili, że woda, która rozlała się na lodzie, wystarczająco zamarzła, aby jechać po niej saniami. Niestety tak nie było. Wszyscy, którzy szli piechotą, przeszli po cienkiej powłoce lodu. Pod pierwszymi saniami lód się załamał i koń i sanie wpadły do wody. Woda była płytka. Woźnica – Rosjanin – zachował zimną krew. Szybko odprzągł konia, uderzył batem i koń wydostał się z wody i zaczął biegać, by się rozgrzać. Gorzej było z saniami. Trzeba było je szybko wyciągnąć z wody, aby nie zamarzły w wodzie. Trzeba było szybko zrobić prowizoryczny most z gałęzi i tylko dzięki umiejętnościom i sprytowi Rosjan wyciągnęliśmy sanie. Przemoczone ubrania powiesiliśmy na gałęziach albo na śniegu. Od mrozu ubranie zaraz zamarzało, stawało się sztywne, a po paru minutach było już suche. Moje palce u rąk były twarde od mrozu jak młotki. Oczywiście nieczułe przy dotyku. Klamki u drzwi nauczyłem się dotykać tylko w rękawicach, bo można zostawić kawałek skóry na klamce przy odrywaniu dłoni od zamarzłej klamki. Przy takim mrozie dobrze jest rąbać drzewo. Przy lekkim uderzeniu ostrzem siekiery drzewo łatwo się rozłupuje. Ciężarkom do wagi z lanego żelaza (jak pud = 16 kg albo dwa pudy = 32 kg) można lekkim kopnięciem nogi odłamać uchwyty.

W każdym *zimowio* dostawaliśmy chleb, mięsne i inne puszki konserw. Jedliśmy do syta, chowaliśmy nawet zapasy. Worki na saniach pęczniały. Koniom było coraz

ciężej ciągnąć sanie. Przewodnik to zauważył i zaczął się denerwować: „Nie trzeba robić zapasów. Kiedy nareszcie uwierzycie, że wasza głodówka się skończyła. Utrudniacie tylko zadanie koniom, które już ledwo ciągną sanie. W Ałłach-Juń nie braknie wam chleba, a czerstwego chleba nie zechcecie jeść". W następnym schronie nie chciał zaopatrzyć nas w świeży chleb. „Jedzcie zamarznięty i czerstwy, który chowacie w workach". Udało nam się go przeprosić. Od tego czasu dostawaliśmy tylko tyle, ile mogliśmy zjeść. Nie robiliśmy więcej zapasów.

Czekał nas ciężki odcinek drogi. Mieliśmy przejść wąwozem około 7 kilometrów między górami, gdzie wiecznie świszczy wiatr. Przewodnik dawał nam wskazówki, jak zachowywać się podczas drogi: iść szybko parami, spoglądać jeden na drugiego i jeśli ktoś zauważy u sąsiada biały nos albo szczęki, natychmiast nabrać w rękawice garść śniegu, nacierać to miejsce, aż wróci do normalnego koloru, oglądać się do tyłu, czy ktoś nie zostaje.

Rankiem wyruszyliśmy syci i wypoczęci w drogę przez „Świstun" (tak nazywał się ten odcinek drogi). Było ponad 50°C mrozu. Wiatr wdzierał się pod ubranie. Mróz kłuł w twarz jak szpilkami. Szedłem razem z siostrą, która od czasu do czasu przytrzymywała się sań. Miała spuchniętą nogę, ale szła dzielnie. Świst wiatru zagłuszał skrzypienie śniegu i rozdmuchiwał parę z ust. Śnieg prószył w oczy. Szliśmy, zaśnieżone białe postaci borykające się z mrozem i wiatrem, wśród wyjącego chóru diabłów. Zziębnięci, zmęczeni, ale bez nieprzyjemnych przygód, cała grupa dotarła do schronu.

Nazajutrz w dalszej drodze zdarzyła się nieprzyjemna przygoda. Jak zwykle szedłem w pierwszej grupie przed saniami, gdy ktoś mnie dogonił i powiedział: „Twoja siostra odmroziła ręce". Odwróciłem się w stronę, gdzie Fela jechała na saniach. Woźnica już poganiał konia. Chciałem wskoczyć na sanie, ale przegnał mnie batem. Sanie z siostrą pojechały szybko naprzód. Biegłem za saniami. Cała grupa pozostała w tyle. Woźnica stale poganiał konia. Sanie się oddalały, aż znikły w lesie. Zostałem sam w tajdze i biegłem za śladami sań. Na polanie spostrzegłem kilka zabudowań, sanie i grupę ludzi, którzy batami popędzają siostrę, aby nie przestawała biegać. Natychmiast przypomniałem sobie Niemca, który mnie zmusił biegać, grożąc mi karabinem – jeszcze w Olkuszu. Gdy dobiegłem już blisko, krzyczałem do Rosjan, używając soczystych rosyjskich przekleństw: „Dlaczego znęcacie się nad moją siostrą?". Zamiast odpowiedzi odganiali mnie batem. Następnie kobieta wyniosła z domu wiadro zimnej wody, Rosjanin zdjął rękawice z rąk Feli, zanurzył jej ręce do wody i tak wprowadzili ją do domu. Gdy nareszcie pozwolili i mnie wejść, siostra siedziała, trzymając nogi i ręce w zimnej wodzie, i płakała z bólu, a mnie powiedzieli z prawdziwym zadowoleniem: „Masz teraz nowo narodzoną siostrę z całymi rękami i nogami".

Następny schron miał być na skrzyżowaniu dróg. Przewodnik uważał, że trzeba pójść przed całą grupą, aby zarezerwować nam miejsce. Wyruszyliśmy w drogę: przewodnik, ja i jeszcze jeden kolega. Słońce świeciło nisko na horyzoncie, ale nie grzało. Dookoła biel, tylko we trójkę

przemierzaliśmy tajgę. Szliśmy bardzo szybko. Zrobiło mi się tak ciepło, że zdjąłem rękawice i czapkę, i tak przez kilka minut chodziłem i śpiewałem razem z przewodnikiem rosyjską pieśń: „Sybir, Sybir, Sybiru nie bojusia, Sybir toże ruskaja ziemla". Drogę wynoszącą około 32 kilometry przeszliśmy w przeciągu blisko pięciu godzin. Już zdążyłem się wyspać, kiedy przyszła reszta grupy.

Jur, Minor, Ałłach-Juń znajdują się o około 800 kilometrów od Morza Ochockiego, wschodniej granicy Związku Radzieckiego. Od czasu, gdy przeszliśmy rzekę San, przejechaliśmy całą Rosję od zachodniej do wschodniej granicy. Tereny, które teraz przechodzimy, są bardzo mało zaludnione. Przez całą drogę widzimy tylko lasy, góry i zamarznięte rzeki. Kilka zabudowań przy schronach i to wszystko. Bardzo rzadko spotykamy ludzi wzdłuż naszej trasy. Czasami widać kilka sań zaprzężonych w jelenie, a Jakuci spoglądają na nas jak na postaci z innej planety. Raz nawet dotykali nas i rozmawiali ze sobą po jakucku, jak gdyby tłumaczyli sobie coś nawzajem. Jakuci są niskiego wzrostu, mają skośne oczy i płaskie nosy. Podobno są gościnni. Wierzą w różne zabobony. Żywią się przeważnie rybami i mięsem. Jedzą je czasem zamarznięte – surowe. Wielu z nich choruje na jaglicę. Przeciętny wiek życia to 55–60 lat. Tak nam tłumaczył przewodnik. Po siedmiu dniach naszej podróży ujrzeliśmy osiedle Ałłach-Juń.

RAJ NA ZIEMI

Cała nasza piętnastoosobowa grupa przybyła zmęczona, ale zdrowa na miejsce. Przewodnik zawiózł nas do pustego domu, który składał się z dwóch pokoi i korytarza. Zapaliliśmy w piecu i usiedliśmy na łóżkach. Woźnice i przewodnik pożegnali się z nami i odeszli. Po półgodzinie przewodnik wrócił. Zrzucił z pleców ciężki worek na ziemię i powiedział: „Wot wam miaso". W worku było zamarznięte mięso cielęce. Od czasu jak nas zabrano z Sambora, nie widziałem takiego mięsa. Niezbędne naczynia znaleźliśmy w domu. Pomimo zmęczenia wyszedłem na dwór zobaczyć, co to za osiedle. Drewniane domki były rozrzucone dookoła. Szary, zamglony dzień. Z głośnika radiowego na słupie słychać było rosyjskie melodie. Kilka osób ubranych w kożuchy spieszyło się do jakiegoś domu z szyldem. Zaciekawiony szedłem za nimi. Okazało się, że był to sklep. Wszedłem do środka. Oglądałem się dookoła i stanąłem tak jak inni w kolejce. Ludzie kupowali różne przedmioty i produkty. Gdy przyszła moja kolej, poprosiłem o pół bochenka białego chleba. Bez zbędnych pytań spełniono moją prośbę. Teraz biegłem ze zdobyczą w ręku do domu. Białego pszennego chleba już dawno nie widzieliśmy. Wszyscy zapomnieli o zmęczeniu i wyruszyli

w drogę do sklepu. Zdobycz była zachęcająca. Dostali suszone płatki cebuli i marchwi, konserwy i nawet kawały zamrożonego mleka i cukier. Kobiety krzątały się przy piecu i wkrótce wszyscy ucztowali, siedząc na łóżkach. Humor nam się poprawił. Po tylu przygodach i głodzie wydawało nam się, że to raj na ziemi. Przewodnik nas nie opuścił. Zajmował się nami i pomagał.

Po dwóch dniach odpoczynku krawcy zaczęli pracować w artelu. Zapłata za pracę była minimalna, ale i produkty w sklepie były bardzo tanie. Dla mnie nie znaleziono pracy. Powiedziałem, że jestem malarzem, ale komu to potrzebne. Nareszcie znaleźli dla mnie pracę w stolarni. Stolarze szybko się ze mną zaprzyjaźnili i zaczęli mnie uczyć zawodu. Aby zarobić pieniądze, trzeba było być wydajnym, więc zacząłem robić taborety. Po tygodniu mozolnej, ale niezdarnej pracy, wykończyłem dziesięć taboretów. Gdy kierownik stolarni obejrzał te taborety, okazało się, że wszystkie kuleją. Uśmiechnął się i powiedział: „Do pieca". Czułem się bardzo zawstydzony. Pozwolił mi zabrać je do domu. Wybrałem trzy lepsze taborety i pomalowałem je ładnie farbami, które znajdowały się w stolarni. Kierownikowi stolarni się to spodobało i zaproponował, abym malował niektóre meble, które stolarnia wyrabia. Zacząłem więc pracować jako malarz. Wszystkie farby były teraz do mojej dyspozycji. Między farbami był również, w ogromnej butli (gąsiorze), czarny lakier spirytusowy, którego nigdy nie używałem. Po kilku dniach zauważyłem, że lakieru ubywa. Pomyślałem, że spirytus wietrzeje i zawiązałem porządnie otwór tej butli szmatami, ale to też nie pomogło.

Nie rozumiałem dlaczego. Pewnego dnia, za zezwoleniem kierownika, przyszedłem później do pracy, a gdy przyszedłem do stolarni, zobaczyłem, że wszyscy pracownicy są pijani. Jeden stolarz przynosi mi garnek ze spirytusem i mówi: „Pij za nasze zdrowie". Zapach spirytusu był zniechęcający. Spytałem: „Gdzie dostaliście spirytus?". A on mi pokazuje na butlę z farbą. „Przecież to jest czarna farba", powiedziałem. „No to co? – powiedział stolarz. – Wlaliśmy do garnka czarną farbę, wsypaliśmy do środka garść soli i farba osadziła się na dnie, a na wierzchu czysty spirytus". Oczywiście nie wypiłem, obawiałem się, żeby kierownik się nie dowiedział.

Ałłach-Juń nazywają również „baza zaopatrzeniową". Tutaj przywożą z centralnej Rosji wszystko, co potrzeba dla całego terenu, a stąd rozprowadzają produkty i inne towary do osiedli. Jest tutaj elektrownia, kino, głośniki radiowe umieszczone na słupach. Za osiedlem jest lotnisko. Są tutaj różne warsztaty, urzędy, sąd, poczta i telegraf. Tutaj przywożą wykopane złoto z okolicznych kopalń. Zaprzyjaźniliśmy się z Rosjanami. Przychodzili do nas. Śmialiśmy się, śpiewaliśmy i opowiadaliśmy o naszej przeszłości. Przychodził do nas bardzo sympatyczny i inteligentny Rosjanin. Od niego nauczyliśmy się o klimacie, geografii, geologii tego obszaru. Gdy zaczął mówić o sprawach politycznych, nabraliśmy wody w usta. Wiedzieliśmy, że był zesłańcem politycznym, a obawialiśmy się, czy nie jest posłańcem NKWD.

Dostałem w sklepie zeszyt i odnowiłem pisanie dziennika. Napisaliśmy list do rodziców. Pisaliśmy, że jesteśmy

bardzo daleko, że jest tutaj bardzo zimno, że jesteśmy ciepło ubrani i jemy do syta, i mamy dobrych przyjaciół. Napisaliśmy list do Berlfainów i do Emy.

Mijał czas. Zima stała się bardzo sroga. Mrozy dochodziły do 60°c. Pracowaliśmy w ciepłych pomieszczeniach. Jedzenia nie brakowało. Mieliśmy już ciepłe kołdry watowe, ciepłą odzież. Tęskniliśmy tylko za rodziną, którą zostawiliśmy u Niemców. Często widziałem ich we śnie. Miałem uczucie, że gorzej im niż nam.

Pewnego dnia przyszedł do nas urzędnik NKWD i przyprowadził ze sobą chłopca. „To jest wasz człowiek, przyjmijcie go i niech zamieszka z wami". Chłopak, ubrany jak Rosjanin, przyjemnie się do nas uśmiechał. My jednak z nieufnością spoglądaliśmy na niego. Uważaliśmy, że to wtyczka, aby nas śledzić. Chłopak domyślił się, że jest nieproszonym gościem. Zaczął mówić do nas po polsku, dziewczęcym głosem: „Ja jestem Sala (Chaja), jechałam w waszym transporcie. Zachorowałam i zostawili mnie w drodze w szpitalu. Wyzdrowiałam i teraz szukam swojej rodziny". Podejrzliwość natychmiast znikła. Przypomniałem sobie ten smutny wypadek i płacz rodziny. Urzędnik widział, że znaleźliśmy wspólny język i odszedł. Sala ubrana była jak chłopiec. Zdjęła kufajkę, ale czapki nie chciała zdjąć. Okazało się, że chorowała na tyfus, miała wysoką gorączkę. W szpitalu ogolili jej włosy. Gdy moja siostra dała jej sukienkę na przebranie, okazała się piękną, zgrabną dziewczyną o smutnych, ale pięknych oczach. Od pierwszego spojrzenia widziałem w niej Emę. Siostra się z nią zaprzyjaźniła i spały w jednym łóżku. Sala chciała się

dostać do swojego wujostwa i kuzynów, z którymi razem jechała do czasu, aż zachorowała. Jej krewni byli w Minorze. Odradzaliśmy jej: „Tutaj będzie ci dobrze. Poślemy list do nich i niech oni przyjadą do ciebie".

Nasza grupa zaczęła się powiększać. Przyjechała jeszcze jedna grupa naszych ludzi z Jury, a druga grupa z Minoru. Pomogliśmy im przede wszystkim gościnnością, a następnie urządzeniem się i pracą. Nasze grono się zwiększało i życie stało się bardziej radosne. Jedzenia było do syta. Chodziliśmy do miejscowego kina – zawsze razem. Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy piecu przy lampie naftowej i śpiewaliśmy razem z urzędnikiem NKWD rosyjskie pieśni, drzwi się otworzyły i weszła grupa naszych ludzi z Minoru – przemęczeni, zmarznięci i głodni. Nie zdążyli się jeszcze rozebrać, gdy jedna z dziewczyn w grupie wybuchnęła płaczem. Okazało się, że zgubili po drodze pięć osób, które szły za saniami. „Na dworze straszny mróz i gęsta mgła. Szliśmy za saniami i nie zauważyliśmy, że za nami nie nadąża ostatnie dwoje sań. Gdy zauważyliśmy, zaczęliśmy nawoływać, ale nie było odpowiedzi. Mgła zasłoniła wszystko dookoła. Nie było sensu szukać ani czekać. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że wyminęli nas we mgle i jeszcze przed nami przyszli na miejsce". Zapadła martwa cisza. Co robić? Jak ratować? Urzędnik NKWD ubrał kożuch, wsiadł na konia i pojechał ich szukać. Po godzinie przyjechał bez nich. Ogarnęła nas rozpacz. Wiedzieliśmy, że jeśli ich nawet znajdą, to tylko jako słupy lodu albo wiosną, gdy lód się roztopi, popłyną z prądem, nikt ich już nie znajdzie i nawet śladu po nich nie będzie. Całą

noc nie spaliśmy. Oczekiwaliśmy cudu. Może drzwi się otworzą i wejdą. Ale nic takiego się nie stało. Nazajutrz już wszyscy w osiedlu wiedzieli o tym wypadku. Stróż, który pilnował ognia w piecu w warsztacie, mówił, że nad ranem termometr wskazywał –69°c. Takiego mrozu jeszcze nie było. Gdy po śniadaniu wyszliśmy ze stołówki na dwór, wyłoniło się z mgły dwoje sań i ciągnąca za nimi resztkami sił grupa zaśnieżonych ludzi.

Natychmiast zajęliśmy się nimi i dopiero, gdy napili się gorącej herbaty i zjedli śniadanie, odpoczęli, wróciła do nich świadomość. Zaczęli opowiadać: „Było bardzo zimno, byliśmy bardzo zmęczeni i nie zauważyliśmy, że zgubiliśmy sanie przed nami. Było już ciemno i gęsta mgła zasłoniła niebo i ziemię. Zgubiliśmy ślady sań. Wpadliśmy w panikę. Zaczęliśmy nawoływać i nic. Trzeba było jechać w prawo, a my skręciliśmy na lewo. Zawróciliśmy konie, ale one uszły parę kroków i stanęły. Inny mówił, że trzeba wrócić na lewo, ale konie, widocznie zmęczone, znów uszły parę kroków i stanęły. Nawet bat nie pomagał. Widzieliśmy już śmierć przed oczami. Nie pomagało bicie koni. Ktoś zaczął się modlić, inny już zobojętniał i oddał się woli bożej". Na koniec przestali ciągnąć konie i przestali je bić. Sen ich zaczął zmagać. I wówczas… czy konie odpoczęły, czy się same namyśliły – powoli pociągnęły sanie, zawróciły i zaczęły iść. „Obojętni i zrezygnowani szliśmy za nimi. Po pewnym czasie konie stanęły. Znów zaczęli je poganiać, ale nie pomagało". Nagle usłyszeli parskanie konia… Ale to przecież nie ich koń parskał. Spojrzeli w kierunku, skąd dochodził głos i zobaczyli, jak przez gęstą mgłę przedziera

się jakieś światełko. Poszli zobaczyć i okazało się, że konie doprowadziły ich do jakiegoś domu. Byli uratowani. Gospodarz *zimowio* zajął się niespodziewanymi gośćmi. Napoił gorącą wodą, zajął się końmi, dorzucił drzewa do pieca, wyścielił posłanie, a gdy nareszcie zjedli, odpoczęli i uspokoili się, zasnęli snem niewinnych. Nazajutrz gospodarz wyprowadził ich na drogę i powiedział: „Konie znają drogę i doprowadzą was do celu". „I oto stał się cud i znajdujemy się między wami". Radość była wspólna. Pomogliśmy, w czym mogliśmy. Wszyscy się urządzili. Tylko zima była nadal bardzo sroga. Biegiem podążaliśmy do pracy, biegiem wracaliśmy. Stosy narąbanego drzewa, które przygotowali dla całego osiedla jeszcze przed naszym przybyciem, szybko się zmniejszały. W domach było ciepło. Tylko noga mojej siostry nie bardzo się goiła. Miejscowi lekarze tłumaczyli to brakiem witamin.

WYBUCH WOJNY NIEMIECKO-ROSYJSKIEJ

Pracowałem w stolarni. Z braku politury malowałem meble farbami olejnymi. Sala mieszkała razem z nami. Miła, mądra i piękna dziewczyna. Bardzo wrażliwa na zimno. Znów chorowała, wzięli ją do miejscowego szpitala. Fela siedziała przy niej całymi nocami, a rano prosto ze szpitala szła do pracy. Gdy jej stan zdrowia był krytyczny, poprosiła siostrę, aby w jej imieniu napisała list do matki, która została w Polsce u Niemców, i własnoręcznie oddała. Obie płakały. „Spotkaj się z moją mamą po wojnie. Opowiedz jej wszystko o mnie. Będziesz dla niej córką". Wszyscy byliśmy szczęśliwi, gdy jej stan zdrowia zaczął się poprawiać i wróciła do nas ze szpitala. Wkrótce po wyzdrowieniu przybyło jej wujostwo z Minoru i zamieszkali razem.

Nasza pierwsza syberyjska zima zaczęła mijać. Dzień się wydłużał, mróz słabł. Nasza grupa była mile widziana przez lokalną społeczność. Nasi krawcy i inni rzemieślnicy wyrobili sobie dobre imię. Byliśmy syci, ciepło ubrani. Za dobrą pracę dawali nam „złote bony". Były to pieniądze, które płacili górnikom za wykopane i oddane państwu złoto. Za te pieniądze można było kupić w specjalnym sklepie okazyjne i brakujące artykuły.

Budowali w Ałłach-Juń nowy budynek biurowy dla skupu złota. Zaczęli tam pracować rosyjscy malarze. Gdy się dowiedzieli o mnie, przenieśli mnie ze stolarni do pracy malarskiej na budowie. Metody pracy rosyjskich malarzy były mi obce. Sami robili pędzle z końskich ogonów. Sufit malowali pędzlem na długim kiju, stojąc na podłodze. Poprosiłem stolarzy, aby mi zrobili drabinę według mojego rysunku. Zawiasy do drabiny zrobili mi ślusarze. Gdy drabina była gotowa, wszedłem na nią i zacząłem z nią chodzić po całym pomieszczeniu. Kierownik stanął, rozszerzył nogi, podparł ręce po bokach, podniósł głowę do góry i z zadowoleniem powiedział: „To się nazywa technika". Gdy dyrektor wszedł do pokoju, który dla niego budowano, powiedział: „Szkoda, że nie można dostać dywanu". Blisko dwa tygodnie klęczałem na podłodze i malowałem dywan, a gdy pozwolili mu wejść, był zdziwiony, gdzie dostali tak piękny dywan.

Słońce coraz bardziej grzało, śnieg zaczął tajać. Z gór zaczęły spływać strumienie wody, zamieniając się w wodospady. Niektóre drogi w osiedlu zamieniły się w rzeki.

Znalazłem opuszczony domek za osiedlem, blisko lasu i szumiącego wodospadu. Poprosiłem przełożonych, aby nam pozwolili tam zamieszkać. Odnowiłem go, jak mogłem. Powiesiłem na ścianie obraz, który sam narysowałem i zamieszkaliśmy w nim z moją siostrą Felą oraz dwiema siostrami, które zabłądziły w nocy w tajdze z dwojgiem sań. My nazwaliśmy ten domek willą, a nasi przyjaciele nazwali go budą. Dwie siostry były niskiego wzrostu. Jedna

nazywała się tak jak moja siostra – Fela, a druga Róża. Fela miała piękne, kręcone, kasztanowe włosy, była wysportowana, mądra i zaradna. Pracowała razem z moją siostrą w artelu krawców. Moją siostrę nazwali dużą Felą, a ją – małą Felą. Jej siostra Rózia była cicha, dobroduszna i bardzo pracowita, stała się gospodynią domu.

Drewniany domek składał się z dwóch izb, drewnianej podłogi i ławki na podwórzu. W niedzielę, kiedy mieliśmy wolny dzień od pracy, zbierali się u nas prawie wszyscy nasi ludzie oraz rosyjscy przyjaciele. Ucztowaliśmy na podwórzu, śpiewaliśmy żydowskie i rosyjskie pieśni. Każdy z nas wspominał z tęsknotą rodziców, dom. I tak mijał czas. Śnieg znikł. Dni stawały się coraz dłuższe. Zazieleniło się dookoła. Nadchodziło krótkie lato. Nie mieliśmy żadnych wiadomości z domu. Znów napisałem listy do domu, do Berlfainów, do Emy. Gdyby choć Ema z rodzicami byli z nami, nie odczuwalibyśmy tak tej samotności i tęsknoty. Gdy nie mogłem spać, wychodziłem na podwórze, siadałem na ławce i myślami przenosiłem się do domu, do rodziców, do sióstr, do słodkiej, szczebioczącej Leale. Lubiłem spoglądać na piękny i dziki krajobraz, na wysokie, pokryte wiecznym śniegiem łańcuchy gór Dżugdżur. Tak miałbym ochotę wspiąć się na jeden z jego wierzchołków. Podziwiałem zachód słońca o godzinie jedenastej. O godzinie dwunastej trzydzieści słońce znów wschodziło, aby oświetlać ziemię przez dwadzieścia dwie i pół godziny.

W niedzielę jak zwykle przyszli nasi przyjaciele i tym razem poszliśmy do lasu „najeść się" zapachem sosen i podziwiać kwiaty i odrodzoną przyrodę. Rózia została

w domu. Brodziliśmy w miękkim mchu, siedzieliśmy na zwalonych pniach drzew. Jedliśmy wałówkę i opowiadaliśmy kawały. Rosjanin opowiadał, jak poluje się na niedźwiedzie. Trzeba znaleźć ścieżkę, którędy niedźwiedź chodzi pić wodę do rzeki. Trzeba się położyć na ścieżce i bez ruchu czekać. Gdy nadejdzie niedźwiedź, udawać martwego. Wówczas niedźwiedź najpierw z niedowierzaniem, a potem powoli podejdzie i zacznie cię obwąchiwać. Wówczas nabiera się powietrza do płuc i krzyczy z całych sił: „Puuuu". Niedźwiedź zaczyna się śmiertelnie bać. Dostaje ataku serca i szybko umiera. Wówczas wstaje się, pociąga go za nogi i kryje w krzakach. Jeśli chce się upolować jeszcze jednego niedźwiedzia, należy szybko pobiec na ścieżki i położyć się w tym samym miejscu, czekając na następnego niedźwiedzia. Rosjanin jeszcze nie skończył opowiadania, gdy usłyszeliśmy z daleka nawoływanie Rózi. Jej nawoływania i krzyki wzmagały się. Przedzieraliśmy się przez krzaki na skraj lasu, aby zrozumieć jej nawoływania. Widzieliśmy, jak wymachiwała rękoma i krzyczała, aby wrócić. Gdy pokaleczeni przez krzaki biegliśmy do domu, słyszeliśmy coraz wyraźniej, jak krzyczy: „Wojna z Niemcami – wojna z Niemcami".

KOPALNIA ZŁOTA W MINORZE

Tak jak woda z ogniem się zwalczają, tak nie może być pokoju między komunizmem i nazizmem. Umowa Ribbentropa z Mołotowem o nieagresji między Niemcami a Związkiem Radzieckim musiała pęknąć. Każdy z nas to przepowiadał. Pomimo tego byliśmy zaskoczeni i wstrząśnięci tą wiadomością. Radiowe głośniki na słupach w osiedlu nie przestawały zapowiadać: „Dziś, w niedzielę, 22 czerwca 1941 roku o godzinie czwartej nad ranem moskiewskiego czasu, niemieckie samoloty bombardowały Kijów. Wojska niemieckie zdradziecko przekroczyły granicę Związku Radzieckiego".

Co teraz będzie? – zaczęliśmy rozmyślać. Siedzieliśmy na podwórzu naszej willi i zaczęły się dyskusje. Gdy nas wieźli pociągiem przez Syberię, widzieliśmy dymiące kominy w lasach. Wiedzieliśmy, że tam produkują broń. Przypuszczaliśmy, że ta wojna nie potrwa długo. Radzieckie wojska przygotowywały się do wojny. Hitler nie wytrzyma długo pod naciskiem masowej i uzbrojonej armii rosyjskiej. Rozpoczęciem wojny Hitler podpisał swój upadek. Zorganizowaliśmy butelkę spirytusu, wypiliśmy za zdrowie i zwycięstwo armii radzieckiej. Zaczęliśmy się naradzać, czy nie warto zgłosić się dobrowolnie do armii.

Widzieliśmy już bliski powrót do domu, do naszych rodziców, do Emy.

Mijały dni. Chciwie wchłanialiśmy każdą wiadomość z frontu. Mówili o krwawych walkach, o zjednoczeniu narodu, o potrzebnym wysiłku w pracy, o wierze w ustrój sowiecki i Stalina. Nie słyszeliśmy o zwycięstwach. Gdy zwróciliśmy się do władz z zamiarem zwerbowania się do wojska, odmówili bez uzasadnienia dlaczego. Zmienił się stosunek NKWD do nas. Przestali spotykać się z nami. Zabronili nam zbierać się razem po pracy. Kazali nam po pracy siedzieć każdy u siebie w domu. Coś wisiało w powietrzu. Po dwóch tygodniach rozkazali nam spakować manatki i odprawili nas do Minoru. Moje sny, że wkrótce stanę przed naszym domem jako żołnierz na tanku zwycięskiej armii sowieckiej, pękły jak bańka mydlana. Wiadomość o wygnaniu nas do Minoru bardzo nas zaniepokoiła. Skończyły się dobre czasy. Dotąd uważali nas za dobrych i zdolnych pracowników, a nagle staliśmy się niepotrzebni. Stracili do nas zaufanie. Uważali nas za wrogów.

W pierwszych dniach lipca załadowaliśmy nasze manatki na konie. Spojrzeliśmy po raz ostatni na naszą willę, na Ałłach-Juń. Żegnajcie dobre czasy. Wracamy do naszych ludzi i znów będziemy razem. Czy znów będziemy głodować jak w Jurze?… Co nas tam czeka?… Uzbrojony urzędnik NKWD prowadził nas ścieżkami przez las. Właściwie nie pilnowali nas, bo dokąd można uciec? Tutaj tajga jest sędzią, a niedźwiedź prokuratorem (przysłowie rosyjskie). Moja siostra Fela jechała na koniu. Noga jeszcze się u niej nie wygoiła – mówią, że to dlatego, że

brakuje jej witamin. Słońce grzało. Zapachy drzew i kwiatów nas upajały. Krople rosy błyszczały w słońcu. Szemrały strumienie małych wodospadów. Małe motylki przelatywały z kwiatka na kwiatek. Duże zielone muchy brzęczały i tylko one nam dokuczały. Przyroda odżyła po srogiej zimie i widoczna była jej radość. Gdyby nam nie było tak ciężko na sercu, moglibyśmy się zachwycać pięknymi krajobrazami i cieszyć się razem z przyrodą. Wyszliśmy na polanę na wzgórzu. Widzieliśmy z daleka wielki obszar płonącego lasu. Linia ognia ciągnęła się kilometrami. Trzask płonącego drzewa dochodził do nas. Nikt nie gasił ognia, nikt tam nie mieszkał. Upał. Zeszliśmy na dół ze wzgórza do szemrzącego spokojnie lasu. Tam spokojnie i radośnie płynął sobie ruczaj, a po bokach cienka, świeża warstwa lodu, która taje podczas dnia, a w nocy znów zamarza. Droga nas męczyła. Fela jechała trochę na koniu, a trochę szła piechotą. Nieprzyzwyczajona jechać na koniu pokaleczyła sobie twarz gałęziami drzew. Piechotą też nie mogła długo iść. Szliśmy przez kłody leżących drzew, deptaliśmy po miękkim mchu i po błotach, a gdy nogi nam się ślizgały, czuliśmy wiecznie zmarzniętą ziemię. Noce były zimne i siedzieliśmy przy ognisku. Przez parę godzin dziennie spaliśmy na miękkim mchu. Po czterech dobach męczącej drogi przeszliśmy 120 kilometrów i ujrzeliśmy w dolinie między zalesionymi górami dymiące kominy drewnianych chatek osiedla Minor.

KOPALNIE ZŁOTA

Minor jest to osiedle większe i starsze niż Jur. Bardziej rozbudowane, bogate w pokłady złota. Jest tutaj państwowa kopalnia złota „Gos-Rozrez", która zatrudnia około 75% ludności. Przyjeżdżają tutaj również grupy Rosjan, którzy szukają szczęścia i przygód. Grupy te dostają zezwolenie od władz na kopanie złota. Sami wybierają sobie miejsce, gdzie uważają, że znajdą złoto. Zdejmują pierwszą warstwę 20–25 centymetrów ziemi, która odtajała w lecie. Następnie rozpalają ognisko i narzucają na nie kamienie na noc. Nazajutrz wykopują i odrzucają odtajałą ziemię, aż dochodzą do złotodajnej warstwy ziemi. Tę ziemię wykopują, myją w rzece w specjalnych, drewnianych, czterokątnych talerzach. Na dnie talerza zostają czyste ziarnka złota. Wydobyte złoto muszą sprzedać w sklepie państwowym. W zamian dostają „złote bony", za które można kupić trudne do zdobycia towary. Między innymi również spirytus. Niektóre grupy szybko się bogacą, wyjeżdżają do centralnej Rosji. Bardzo często dojeżdżają tylko do Jakucka, przepijają pieniądze, głodni i obdarci wracają od nowa szukać szczęścia.

Gdy nasi ludzie, mieszkańcy Minoru, dowiedzieli się o naszym przybyciu, pomogli, w czym tylko mogli. My

z siostrą, małą Felą i Rózią oraz czterema przyjaciółmi zamieszkaliśmy w małym domu. Po dziennym odpoczynku poszliśmy do pracy do „Gos-Rozrez". Tam spotkałem przyjaciół, z którymi rozłączyliśmy się przed około dziesięcioma miesiącami. Zacząłem pracować przy kopaniu ziemi. Brygadier odmierzył odcinek ziemi, wbił tyczkę do ziemi i powiedział: „Jeśli wykopiesz ziemię do tyczki (to jest norma), dostaniesz 800 gram chleba. Nie zrobisz normy, dostaniesz tylko 600 gram". Pracowałem bardzo ciężko. Kopałem ziemię i taczką odwoziłem na ruchomą taśmę. Do końca dnia nie zrobiłem nawet ⅔ normy. Podobnie następnego dnia. Dostałem wodnych pęcherzy na rękach, wszystkie kości mnie bolały. Na trzeci dzień sąsiedzi, którzy kopali obok mnie, doradzili: „Gdy brygadier odejdzie, przybliż tyczkę". Od tego dnia mniej pracowałem, a norma była wykonana. Moja siostra pracowała przy zrzucaniu kamieni z ruchomej taśmy. Przychodziła do domu zmęczona jak ja.

Nie mieliśmy tutaj tak dobrej pracy i stosunków jak w Ałłach-Juń, ale przynajmniej nie głodowaliśmy jak w Jurze. Po krótkim czasie przenieśli mnie do innej, ale też ciężkiej pracy. Pracowałem przy wydobywaniu próbek ziemi, które odnosiliśmy do laboratorium. Niekiedy znalazłem ziarnko złota, ale oddawałem je zaraz, bo bałem się. Powoli poznałem cały teren kopalni i widziałem, na czym polega proces wydobywania złota. Najpierw zdejmowano wierzchnią warstwę ziemi, która była nic niewarta. Następnie po kilku dniach, gdy odtaje, zdejmuje się następną warstwę ziemi i dochodzi się do złoża złota. Jest to warstwa

miękkiego, brązowego kamienia w rodzaju szczotki i między szczelinami tej szczotki można znaleźć ziarenka złota wielkości ryżu. Rzadko można znaleźć większe ziarna – samorodki – nawet do pół kilograma. Warstwę złotej szczotki zdejmuje się i na ruchomej taśmie idzie ona na wielkie serie rzeszot, gdzie za pomocą wody ziemia spływa, a na najniższej gęstej siatce zostaje czyste złoto.

Dostawa produktów była o wiele lepsza niż w Jurze. Nasi krawcy i szewcy znaleźli utrzymanie. Kilku naszych ludzi pracowało w stołówce i w piekarni, i starali się pomóc, jak mogli. W niedziele, w wolne dni od pracy, zbieraliśmy się w naszym domu. Śpiewaliśmy pieśni, tańczyliśmy, wspominaliśmy dom rodzinny. Słuchaliśmy radia, ale nic dobrego z frontu nie było słychać. Od czasu do czasu zbierano mieszkańców w domu kultury, gdzie politruk Polichranigin (Grek, który walczył w Hiszpanii przeciw generałowi Franco i przyjechał tutaj, aby pomóc budować socjalizm) przemawiał do nas i apelował o zwiększanie wydajności pracy, o jednoczenie się wokół komunistycznej partii i Wodza Narodu Stalina, aby zwyciężyć Hitlera. Była to tylko drętwa mowa, którą musieliśmy wysłuchać. Na mapie widzieliśmy, że armia radziecka w krwawych bitwach stale się cofa. Nadzieja na szybki powrót do domu znikła. Lato mijało. Złe wiadomości z frontu, ciężka praca i beznadziejność męczyły nas.

Pewnego dnia z końcem września wezwał nas naczelnik NKWD i oznajmił, że generał Sikorski podpisał w imieniu tymczasowego rządu polskiego na obczyźnie w Londynie umowę, na podstawie której wysiedleńcy, obywatele Polski,

będą mogli poruszać się swobodnie po terenie Związku Radzieckiego. Tworzy się armia składająca się z polskich obywateli, która będzie walczyć przeciwko bestii hitlerowskiej. Od dziś mieliśmy być wolni. Mogliśmy jechać i poruszać się swobodnie po terenie Republiki Jakuckiej i nawet dalej. Jeśli będą tacy, którzy zechcą wydostać się stąd, dostaną list od naczelnika z prośbą, aby władze miejscowe pomogły nam, w czym tylko będą mogły.

Jesteśmy wolni. Brzmiało to bardzo radośnie. Dotąd uważali nas za niepewny element, zesłany za niewiadome przestępstwa na Sybir. Teraz jesteśmy wolni.

Ale co z tą wolnością robić? Dokąd wyjechać? Jak się stąd wydostać? Jakimi środkami? Nikt nas nigdzie nie oczekuje. Wolność, o której marzyliśmy, nadeszła. I co dalej? Wrócić do Ałłach-Juń? Tam było nam dobrze. Wiele pytań bez odpowiedzi. Zaczęły się narady, pomysły, powątpiewania. Moja siostra zaproponowała: „Jedźmy do Jakucka. Bliżej komunikacji, bliżej domu". „Szalony pomysł – stwierdzili przyjaciele. – Do Jakucka jest prawie tysiąc kilometrów. Idzie ciężka zima. Utkwimy w drodze. Nie mamy pieniędzy". Ten pomysł jednak nie dawał nam spokoju. W Jakucku, stolicy Republiki, łatwiej można będzie dostać pracę. Miasto bardziej kulturalne. Kina, teatry. Poczta sprawniej działa. Może dostaniemy jakąś wiadomość od Emy, Berlfainów. Stamtąd mielibyśmy lepszy kontakt ze światem. Zdecydowaliśmy – wyruszamy do Jakucka. Powoli przyłączali się do nas przyjaciele. W końcu zebrała się sześćdziesięcioosobowa grupa. Postanowiliśmy płynąć z prądem łodziami po rzece Ałłach-Juń, do ujścia

rzeki Ałdan, a stamtąd może uda się nam okrętem dostać do Jakucka. Zamówiliśmy w pracowni u Rosjan trzy łodzie, każda z nich miała pomieścić dwadzieścia osób. Zamówiliśmy trzech przewodników, którzy znają dobrze drogę i potrafią prowadzić łódź po burzliwej rzece. W tym celu musieliśmy sprzedać prawie cały dobytek, który zdobyliśmy w Ałłach-Juń. Znając surową zimę, szczególnie trudno było nam się rozstać z watowymi kołdrami. Z pomocą naczelnika NKWD nagromadziliśmy trochę żywności na drogę, zaopatrzył on nas również w list polecający do władz miejscowych. Większość naszych ludzi spoglądała na nas jak na szaleńców i z politowaniem, życzyli nam, aby nas Pan Bóg miał w opiece. Opuszczaliśmy przyjaciół, dom, pracę i wyruszaliśmy w nieznane, ale z dobrą myślą.

Pożegnaliśmy się z przyjaciółmi z nadzieją, że jeszcze się spotkamy. Pierwszy raz od czasu, jak nas zabrali z domu Berlfainów, wyruszyliśmy w drogę z własnej woli, bez pilnujących nas władz.

CIORTOWA UŁOWA (SZATAŃSKA PUŁAPKA)

Nad ranem spojrzeliśmy na śpiące jeszcze osiedle i skierowaliśmy nasze kroki na sześciokilometrową trasę do Zwiozdeczki, miejscowości nad rzeką Ałłach-Juń. Spojrzeliśmy na pieniącą się i szumiącą rzekę. Wiedzieliśmy, że jest to dzika rzeka, która spływa z gór i że rokrocznie pochłania kilka ofiar. Wiedzieliśmy, że mamy przejechać przez Ciortową Ułowę, gdzie prąd jest bardzo rwący i bije na skałę. Jest tam silny wir wody, tak że jeśli płynie kłoda drzewa, to w tym miejscu staje dęba, wir wody wciąga ją do środka i dopiero po pięciuset metrach wypływa z powrotem na powierzchnię wody. Poza tym jest tam ostry skręt na prawo, tak więc jeżeli wir nie wciągnie do środka, to można rozbić się o skałę.

Spoglądaliśmy na rzekę i nagle zrozumieliśmy nasz awanturniczy wyczyn. Bez doświadczenia, bez znajomości terenu, bez środków żywnościowych wybieramy się w obcy, nieznany świat, gdzie po drodze czyha na nas śmierć. Radość, że jesteśmy wolni, zamieniła się w troskę. Weszliśmy do budynku, który służył jako poczekalnia, schron, jadalnia dla robotników. Wyjęliśmy z tobołków śniadanie i zaczęliśmy jeść, popijając kipiatok, który zawsze stoi na piecu. W kącie leżał jakiś skulony człowiek z małym dzieckiem.

Widział, że przyszła duża grupa ludzi, wstał, przyglądał się nam z początku, wziął chłopczyka na ręce i zaczął śpiewać *ciastuszki* (ludowe żartobliwe pieśni), następnie postawił dziecko na stół i kazał mu tańczyć. Chłopczyk, może czteroletni, z początku nieśmiało, powoli zaczął się kręcić na stole i postukiwać nóżkami według taktu, następnie zachęcony przez nas zaczął tańczyć *kazaciok*, przysiadając i robiąc akrobatyczne sztuki, podskakując w górę, przysiadając i kręcąc się na jednej nodze, i to wszystko według taktu pieśni. Ktoś z robotników już miał w rękach harmoszkę i akompaniował ojcu. Chłopczyk był jak w transie, zeskakiwał ze stołu i robił przysiady na podłodze, następnie drapał się na stół, skakał w ramiona ojca i razem dali niecodzienny koncert. Rozweselili nas wszystkich. Zapomnieliśmy o naszych kłopotach i wszyscy razem śpiewaliśmy i klaskaliśmy. Gdy chłopczyk się zmęczył, usiadł na stole i tylko żałośnie uśmiechał się do nas. Ojciec odwrócił swoją czapkę, podchodził do każdego i prosił o jałmużnę: „Pomóżcie nakarmić i wychować to dziecko". Każdy dał, co mógł, ten kawałek chleba, ktoś inny puszkę konserw albo pieniądze. Widoku tego nie mogłem zapomnieć. Otóż jesteśmy wolni jak ten ojciec z dzieckiem. Tak jak oni będziemy się wałęsać bez domu i nikomu niepotrzebni. Nareszcie przyszedł kierownik pracowni łodzi i zawołał nas, abyśmy odebrali trzy łodzie. Tam czekali już na nas trzej szyperzy (przewodnicy, którzy poprowadzą łodzie). Przewodnik naszej grupy był człowiekiem w średnim wieku, barczysty, siwiejący blondyn o niebieskawozielonych oczach, tak jak woda w rzece. Z łobuzerskim

uśmiechem powiedział: „Sprawdziłem naszą łódź – dobra, do Moskwy na niej dopłyniemy". Zaczęliśmy znosić nasze tobołki do łodzi. Pożegnaliśmy się z dwiema grupami, wsiedliśmy do łodzi, spojrzeliśmy na brzeg i z modlitwą na ustach odbiliśmy od brzegu.

Już pierwszego dnia prąd zaciągnął nas na płytkie miejsce i ugrzęźliśmy w środku rzeki. Ja i Heniek byliśmy pierwszymi ofiarami – musieliśmy się rozebrać, wskoczyć do lodowatej wody, wyrównać łódź i zepchnąć z mielizny. Następnie mocno trzymać się burty łodzi i skoczyć do środka, aby nie zostać w głębokiej wodzie. Skostniały drżałem z zimna. Siostra owinęła mnie szmatami, a gdy trochę się rozgrzałem, ubrałem się. W normalnych warunkach nie rozebrałbym się w obecności dziewcząt, ale w takich okolicznościach wstyd znikł. Wśród nas było więcej mężczyzn niż dziewcząt. Przewodnik stał w tyle łodzi, nie wypuszczał steru z rąk, spoglądał na wodę, zmieniał pary wiosłujących. Jego oczy zlewały się z wodą w rzece. Siwiejąca blond czupryna powiewała na wietrze. Barczysta postawa i basowy głos dodawały nam pewności. Szybko się z nami zaprzyjaźnił. Pomagał nam, w czym tylko mógł. Uczył nas wiosłować, ale najwięcej uczył Natana i Heńka. Oni, silni chłopcy, zawsze razem wiosłowali. Widać, że przewodnik ich polubił i zawsze mniej wiosłowali od innych.

Zaczęło to nas denerwować. Gdy dziewczęta zwróciły mu uwagę, dlaczego ich oszczędza, uśmiechnął się tylko i powiedział: „Ja tu jestem gospodarzem". Rzeka była pełna niespodzianek. Miejscami woda była prawie stojąca.

W innych miejscach była rwąca, pieniła się tak, jak gdyby złościła się na nas i szumiała tak, że nie słychać było nawet, jak krzyczeliśmy. Przeważnie w takich miejscach osiadaliśmy na mieliźnie. Wówczas prąd wykręcał łódź na szerokość rzeki, co groziło wywróceniem. Trzeba było szybko wskakiwać do wody, nieraz w ubraniu, wyrównać łódź, zepchnąć ją z mielizny i szybko skoczyć z powrotem do łodzi, ale w tym pomagały już dziewczęta. Gdy wskakiwaliśmy do środka, przewodnik kazał nam wiosłować, aby się rozgrzać. Zawsze po takim wyczynie drżałem i zęby szczękały mi z zimna, i rzeczywiście fizyczna praca wiosłami rozgrzewała. Wieczorem poszukaliśmy spokojnego zakątka, przybiliśmy do brzegu, aby przenocować przy ognisku i spożyć posiłek, rozgrzać się gorącą wodą i słuchać opowiadań o awanturniczych podróżach przewodnika.

Nazajutrz znów zepchnęliśmy łódź do wody i ruszyliśmy w dalszą drogę. Płynęliśmy między zalesionymi górami. Mniejsze i większe wodospady spływały z gór. Piękne i dzikie widoki. Nagle wszystkie oczy skierowały się na polanę, gdzie spokojnie pasł się duży jeleń z pięknymi rogami. Poczuliśmy silne uderzenie, łódź przechyliła się, na dnie łodzi zrobiła się szczelina i woda zaczęła się wlewać do środka. Zahaczyliśmy o ostry kamień. Sternik szybko opanował sytuację. Wskoczyliśmy do wody, zepchnęliśmy łódź z kamienia i płynęliśmy dalej. Zaczęliśmy wszystkimi naczyniami wylewać wodę z łodzi, pomimo to stale jej przybywało. Prąd był bardzo silny i nie można było przybić do brzegu, a łódź coraz bardziej zanurzała się w wodzie. Strach nas ogarnął. Sternik i wioślarze pracowali z całej

siły. Nareszcie przybliżyliśmy się do brzegu. Sternik zeskoczył na brzeg, trzymając mocno w rękach powróz przywiązany do łodzi, zahaczył o kamień i zatrzymał prawie tonącą już łódź. Byliśmy ocaleni.

Przez cały następny dzień naprawialiśmy łódź. Sternik okazał się dobrym fachowcem. Dwie łodzie z naszymi ludźmi nas wyprzedziły i tylko z daleka mogliśmy ich widzieć. Prosiliśmy sternika, aby przed Ciortową Ułową spuścił nas na brzeg, byśmy przeszli piechotą ten niebezpieczny odcinek, wtedy sternik przepłynąłby to miejsce i oczekiwałby nas na brzegu. Oczywiście to przedłużyłoby naszą podróż o cały dzień. Sternik się tylko uśmiechał i obiecał, że tak zrobi. Płynęliśmy dalej. Pogoda sprzyjała. Po drodze spotykaliśmy złamane łodzie. Wiedzieliśmy, że tam byli ludzie. To jest podatek, jaki ściąga ta rzeka. Miejscami rzeka się rozgałęziała i tylko sternik orientował się, w które koryto skręcić. Podziwialiśmy jego szybkość decyzji.

Zbliżało się południe, marzyliśmy o ciepłym posiłku, gdy mała Fela zauważyła z daleka wysoką skałę i zawołała: „Ciortowa Ułowa, Ciortowa Ułowa!". Wszystkie oczy skierowały się w tym kierunku, a następnie na sternika. „Przybij do brzegu, obiecałeś nas spuścić na ląd", a on tylko się uśmiechał. Zaczęliśmy wszyscy krzyczeć: „Spuść nas na brzeg!". Sternik spoważniał, przeczesał rękoma czuprynę, podrapał się po nieogolonej twarzy i stanowczym głosem zawołał: „To nie jest Ciortowa Ułowa i wy tutaj nie dajecie mi rozkazów. Od tej chwili nie chcę ani słowa od was słyszeć. Będziecie robić, co ja każę. Zmienić wioślarzy. Natan

i Heniek do wioseł". Mała Fela chciała jeszcze coś powiedzieć, ale on wrzasnął: „Milcz!". Jego twarz stała się dzika. Jego oczy rzucały błyskawice. „Mocniej wiosłować", rozkazał. Prąd rzeki się zwiększał. Z jego ust zaczęła się sypać wiązanka tłustych rosyjskich przekleństw, które zagłuszał szum pieniącej się rzeki. Łódź płynęła teraz z prądem w dół rzeki z szybkością pociągu, prosto na skałę. Między przekleństwami sternik dawał rozkazy wioślarzom i sam przesuwał ster na prawo albo na lewo przy silnym wysiłku fizycznym. Oczy wszystkich skierowane były na skałę i na lej wody przy skale. Wszyscy trzymaliśmy się kurczowo burty. Nikt nie rozmawiał, nawet przewodnik przestał przeklinać. W myśli już widzieliśmy, jak lej wciąga nas do środka albo rozbijamy się o skałę i to będzie nasz koniec. Nagle… o dziwo… łódź przelatuje w powietrzu… nad lejem. Następnie sternik skierował ster na prawo i… Ciortowa Ułowa pozostała za nami. Prąd wody był jeszcze dość szybki, ale niebezpieczeństwo minęło. Twarz sternika, która dotychczas była surowa, prawie dzika, złagodniała, uspokoiła się i lekki uśmiech pojawił się na jego wargach. Poczuliśmy, że ciężki kamień spadł nam z serca. Upłynęliśmy jeszcze prawie 4 kilometry, zanim mogliśmy przybić do brzegu.

ŚWIĘTA NA RZECE AŁDAN

Rozpaliliśmy ognisko, siedliśmy dookoła. Sternik zadowolony urwał kawałek gazety, skręcił w tubkę, wsypał machorkę, wyjął z kieszeni katuszę (dwa krzemienne kamienie i knot), wskrzesił ogień, zapalił skręconego, niemal dwudziestocentymetrowego papierosa, zaciągnął się dymem, podrapał się po nieogolonej twarzy i zaczął opowiadać: „Nie pierwszy raz przeprawiłem się przez Ciortową Ułowę. Cała sztuka polega na tym, aby płynąć trochę szybciej od prądu, wówczas wir nie wciąga do środka. Następnie trzeba umiejętnie skręcić, aby nie rozbić się o skałę. Wasze krzyki o mało mnie nie wyprowadziły z równowagi". „Dlaczego nie spuściłeś nas na brzeg, jak obiecałeś?", pytaliśmy. „Nie mógłbym sam przepłynąć przez wir. Musiałbym płynąć okrężnymi kanałami, co zabrałoby mi co najmniej dwa dni".

Dziewczęta sporządziły ciepły posiłek. Natan wyciągnął z worka butelkę wódki i zaczęliśmy ucztować. Rozweselony sternik zaczął śpiewać, tańczyć i opowiadać grube kawały. Pociągnął nas za sobą i razem śpiewaliśmy rosyjskie pieśni, aż zmęczenie nas zmogło. Tylko sternik nie spał. Usiadł w łodzi na brzegu. Sporządził prymitywny haczyk i łowił ryby. Nazajutrz, gdy znosiliśmy do łodzi

nasze manatki, znaleźliśmy tam kilka dość dużych ryb. Upiekliśmy je w ogniu i mieliśmy dobry posiłek.

Płynęliśmy dalej. Na brzegach spotykaliśmy teraz więcej złamanych łodzi. Heniek twierdził, że w jednej z nich widział kości ludzkie. Rzeka stała się szersza, mniej rwąca, największe niebezpieczeństwo mieliśmy za sobą, ale osiadanie łodzi na mieliźnie zdarzało się nadal. Nareszcie dotarliśmy do końca naszej podróży, do miejsca, gdzie Ałłach-Juń wpływa do rzeki Ałdan. Przyszła chwila rozstania ze sternikiem. Zaprzyjaźniliśmy się z nim, czuliśmy w nim opiekuna. On znał prawa tajgi. „Razem nie zginiemy. Jedź z nami dalej!". „Dostałem zezwolenie odwieźć was dotąd i teraz muszę wrócić do kopalni złota", odpowiedział. Wyładowaliśmy nasze rzeczy z łodzi na kamienisty brzeg. Tam oczekiwała nas już grupa z następnej łodzi. Trzecia łódź jeszcze nie nadeszła.

Po godzinie wrócił sternik na małym jakuckim koniu, którego dostał od miejscowych władz za naszą łódź. Serdecznie się z nami pożegnał. Prosiliśmy, aby przekazał ukłony naszym przyjaciołom w Minorze. Wsiadł na konia i zniknął w lesie. Poszliśmy do władz osiedla, przedstawiliśmy list polecający od NKWD z Minoru. Otrzymaliśmy zezwolenie na spożywanie obiadów w miejscowej stołówce i dostaliśmy przydział chleba. Podziękowaliśmy i wróciliśmy na brzeg rzeki. Z niepokojem spoglądaliśmy na rzekę, skąd powinna się pojawić oczekiwana łódź. Widzieliśmy przed sobą Ciortową Ułowę i bardzo się martwiliśmy. Pod wieczór wyłoniła się z rzeki trzecia łódź. Biegliśmy im naprzeciw i spotkaliśmy wszystkich zmęczonych,

ale zdrowych. „Co się z wami stało?", pytaliśmy. „Przekonaliśmy przewodnika, aby ominął Ciortową Ułowę. Płynęliśmy między krzakami. Były miejsca, gdzie musieliśmy przenosić łódź na barkach". Dwa dni nerwów i zmarnowanych sił zamiast dziesięciu minut strachu.

Nocowaliśmy na kamienistym brzegu. Zimno. Mgła w nocy zasłania niebo. Z niecierpliwością spoglądamy, czy na widnokręgu nie pojawi się okręt idący w kierunku Jakucka. Nasza grupa liczyła teraz sześćdziesiąt osób. Był między nami człowiek, który znał kalendarz i wiedział, że dziś wieczorem jest Rosz ha-Szana.

Drugie święto poza domem. Dwa lata rozłąki z rodzicami. Czy mogliśmy sobie wyobrazić, gdzie los nas zagoni? Rodzice na pewno myślą o nas i chcieliby wiedzieć co z nami. Może dostali nasz list z Ałłach-Juń i myślą, że dobrze nam. W nocy nie można spać. Zimno. Siedzimy przy ognisku ubrani we wszystkie szmaty, jakie mamy. Nad ranem nasz przyjaciel już stał owinięty w stary, zżółkły, długi tałes i czytał modlitwy z tak samo starej, zżółkłej księgi. Wysoki, chudy, wiatr powiewał końcami jego tałesu zaplamionego jakby rdzą. Miało się wrażenie, że to duch z zaświatów. Przyłączyłem się do modlitwy, tak jak i inni. Słuchałem jego przyjemnego głosu, który świadczył, że był kiedyś chazanem, ale moje myśli były daleko. Przypomniałem sobie, jak moja mama zapakowała mi *talit katan* i chciała, abym zabrał również *tefilin*. Wróciłem do naszych tobołków, znalazłem tałes, ubrałem go. Był już „pasul", bo mole zjadły *cicit*, ale dla mnie był drogocenną kameą i czułem, że matka jest ze mną. Po modlitwie, gdy

wszyscy siedzieliśmy przy ognisku, pijąc kipiatok z kawałkiem chleba, każdy opowiadał o swojej rodzinie, o tych, co zostali tam… w domu. Chazan opowiadał: „Gdy Niemcy zajęli nasze miasto, zatrzymali ojca, który szedł do synagogi, zmusili go biciem, aby ubrał tałes i *tefilin* na rynku i ku pośmiewisku zebranego motłochu nożem ścięli mu pół brody, kalecząc do krwi całą twarz. Wrócił do domu posiniaczony, zakrwawiony i złamany duchowo. Dostał ataku serca i po dwóch dniach umarł. Wówczas to postanowiliśmy, ja z żoną i córką, uciec do Rosji. Tałes, w którym się modlę, należał do ojca, a plamy na nim to zaschła krew ojca".

Tydzień czasu siedzieliśmy na brzegu. Całymi dniami spoglądaliśmy na rzekę, czy nie pojawi się nasz zbawienny okręt, który zabierze nas do Jakucka. Nareszcie na widnokręgu pojawiła się mała sylwetka i wymarzony okręt zbliżał się w naszym kierunku. Ciągnął za sobą trzy barki. Ale ku naszemu rozczarowaniu nie zbliżał się do brzegu. Minął Ust'-Ałdan i jechał dalej. Poszliśmy do miejscowych władz zapytać o przyczynę. Odpowiedzieli, że okręt płynie do pobliskiego osiedla wyładować towar i wróci.

Tej nocy było wyjątkowo zimno. Nikt nie spał. Rzeka zaczynała zamarzać tam, gdzie prąd był słaby. Może to ostatni okręt do Jakucka. Od samego rana wszystkie oczy skierowane były tam, gdzie zniknęła sylwetka okrętu. Nareszcie pojawiła się ciemna plamka na horyzoncie i denerwującym, wolnym tempem zbliżała się do brzegu. Spakowaliśmy nasze manatki i zawiązaliśmy worki. Widzieliśmy się już we wnętrzu barki. Okręt przybił do brzegu.

Marynarze spuszczali most. Z okrętu dochodziły nas dźwięki bałałajki, a dźwięczny tenor śpiewał nieznaną piosenkę.

Nareszcie można było wejść na okręt. Ale marynarze nas nie puszczali. Kapitan okrętu zszedł z okrętu i skierował swe kroki do osiedla. Podeszliśmy i prosiliśmy, aby nas zabrał do Jakucka. Spojrzał na naszą grupę – sześćdziesiąt osób. Pokręcił głową i odpowiedział: „Muszę dostać zezwolenie od miejscowych władz". Kilku naszych chłopców pobiegło do NKWD z listem polecającym. „Pomówimy z kapitanem", obiecali. Gdy kapitan wrócił, powiedział: „Pomóżcie wyładować towar i popłyniecie z nami do Jakucka". Miejscowi pracownicy już dźwigali skrzynie z produktami do magazynu. Przystąpiliśmy do pracy. Magazynier złościł się na Rosjanina, który upuścił skrzynię, przez co rozsypały się puszki konserw. Później widziałem, jak ten Rosjanin wyciągał – w kącie – kilka pudełek konserw z szerokich szarawarów (spodni) i chował je w krzakach. Postanowiłem też spróbować. Wróciłem do siostry, wziąłem duży słoik, a gdy dźwigałem na plecach worek cukru, poszedłem na bok, przedziurawiłem worek i wsypałem cukier do słoika, który następnie schowałem w krzakach. Magazynier był zajęty i nawet nie widział, że worek był dziurawy. Kapitan pospieszał, aby szybciej wyładowywać produkty i części do maszyn, by móc ruszyć w drogę. Po kilku godzinach ciężkiej pracy siedzieliśmy już w barkach, trzydzieści osób w jednej i trzydzieści w drugiej. Okręt ruszył w drogę do Jakucka. Od czasu, jak opuściliśmy Minor, pierwszy raz spaliśmy pod dachem, na podłodze pustej barki. Zmęczenie, kołysanie barki i ciepło zmogły nas.

Obudziłem się i zobaczyłem modlącego się chazana. „Dzisiaj *erew Jom Kipur*", powiedział. Sporządziliśmy wspólny obiad. Okazało się, że wielu z nas coś „zorganizowało" przy wyładowywaniu produktów do magazynu, tak że jedzenia wystarczy aż do Jakucka. Wieczorem chazan ubrał zgnieciony kitel, owinął się w zaplamiony tałes i przy kopciłce (butelka z naftą i zapalony knot) zmówił *Kol nidrei*. Cała barka napełniła się modlitwą. Głos chazana unosił się z barki na pokład i rozpływał nad rzeką Ałdan. Drugi Jom Kipur daleko od domu, w 1941 roku na barce na Sybirze. Miejsce, którego dwa lata temu nie znałem, nie mogłem sobie nawet we śnie wyobrazić, że los nas tutaj zagoni i to w tak nieludzkich warunkach. Wszyscy uczestniczyliśmy w modlitwie. Lecz każdy z osobna zajęty był swoimi troskami. Moje myśli unosiły się wysoko, przelatując nad tajgami Sybiru, przebijając góry Uralu. Lecą nad żyznymi polami Ukrainy i przez zamknięte okno wchodzą do domu moich rodziców. Widzę ich. Zmartwieni, wychudzeni, mają strach w oczach. Moje siostry: Miriam, Regina i malutka Lea siedzą smutne, nie uczą się w szkole. Widzę ich, ale rozmawiać z nimi nie mogę, bo to jest tylko moja wyobraźnia. Czuję, że również ich myśli unoszą się nad nami. Boże… tak chciałbym być teraz razem z nimi. Tak chciałbym ich wszystkich objąć. Do rzeczywistości przywraca mnie moja siostra Fela. Stoi przy moim boku i słabe światło kopciłki oświetla jej łzy, które cicho spływają po jej policzkach i błyszczą jak brylanty. Obejmuję ją i razem płaczemy. Słowa modlitwy, które drżącym głosem wychodzą z ust chazana: „Szma kolejnu… chus we-rachem alejnu"

(Posłuchaj nasze głosy… otocz nas i zlituj się nad nami), to najgorętsza prośba naszych serc. Po modlitwie każdy po cichu pościelił sobie w swoim kącie i nadal snuł swoje myśli. W domu nie byłem pobożny. Mama nie była zadowolona z tego powodu. Ojciec nie nalegał. Pamiętam jego słowa: „Widzę, że nie będziesz pobożnym Żydem. Jedną mam prośbę i to zapamiętaj – gdziekolwiek będziesz, w każdej sytuacji bądź uczciwym człowiekiem". Teraz w odległości szesnastu tysięcy kilometrów od rodziców wiem, że jak długo będę żyć, będę pościł w Jom Kipur. Choćby tylko dlatego, że tak chcieli moi rodzice.

Jom Kipur mijał. Na pokładzie mogliśmy oglądać ośnieżone już lasy w górach. Z komina okrętu unosił się dym. Załoga barki zaprzyjaźniła się z nami. Z początku spoglądali na chazana i na nas z pewnym lekceważeniem, ale powoli zaczęli wysłuchiwać naszych opowiadań i starali się nam pomagać.

Rzadko mijaliśmy jakieś małe osiedla. W nocy widzieliśmy, jak Jakuci łowią ryby. Siedzieli w drewnianej łódce. Na dziobie łódki palił się ogień ze smolnego drzewa. Jakut trzymał w ręce długi kij z ostrym końcem i spoglądał w wodę. Gdy ryba wypływała do światła, wówczas Jakut rzucał kij i ostrym końcem ją przebijał. Na przystankach pomagaliśmy ładować drzewo na okręt, które służyło jako siła napędowa dla okrętu.

Po dziesięciu dniach przybyliśmy do Jakucka. Okręt dostał za zadanie płynąć dalej na południe i kilku naszych ludzi postanowiło jechać dalej, aby być bliżej drogi kolejowej. Pięćdziesiąt parę osób wysiadło na brzeg.

W JAKUCKU

Siostra, ja, mała Fela i Rózia staliśmy na brzegu. Był już wieczór. Mróz szczypał w uszy. Nikt nas nie oczekiwał. Nie byliśmy nikomu potrzebni. Spoglądaliśmy na siebie z niemym zapytaniem: co dalej?

Z daleka migały światełka domów. Ja z małą Felą postanowiliśmy szukać noclegu w jednym z nich. Uszliśmy jakieś pięćset metrów i drżącą ręką zastukałem delikatnie do pierwszych drzwi. Otworzyła młoda kobieta. Z wnętrza wychodziło przyjemne ciepło. Stałem jak wryty. Nie wiedziałem, co powiedzieć, jak zacząć. Kobieta ze zdumieniem patrzyła na nas i spytała: „Kogo szukacie?". Mała Fela była bardziej odważna i powiedziała: „Przypłynęliśmy okrętem i nie mamy gdzie spać". Zaprosiła nas. Słabe światło lampy naftowej oświetlało jej piękną twarz. Złociste, grube warkocze oplatały jej głowę. Niebieskie oczy wyrażały smutek i zdziwienie. „Prosimy o nocleg tylko na jedną noc. Jutro pójdziemy szukać pracy". W kołysce dziecko bawiło się samo ze sobą. „Ciasno wam będzie u mnie, ale lepsze to niż spać na dworze". Pomogła nam przynieść nasze rzeczy. Siedzieliśmy w izbie na drewnianej ławce i gospodyni domu nalała nam kipiatok i zaczęła opowiadać: „Wołajcie mnie Katia. Mieszkam tu z dzieckiem. Męża

wzięli do wojska i posłali na front. Już dwa miesiące nie mam od niego listu". Położyła na stole pół bochenka chleba, który sama upiekła. W glinianym naczyniu przyniosła trochę mleka i z uśmiechem powiedziała: „Czym chata bogata". Mała Fela ukroiła – nożem zrobionym z piły – cztery cienkie kromki chleba, dolaliśmy trochę mleka do kipiatku i zaczęliśmy jeść.

Bieda wyglądała z każdego kąta. Podłoga gliniana, kilka niezgrabnie skleconych taboretów, stół, kufer, kołyska i łóżko – to całe umeblowanie. W kącie stał gliniany piec. Podziwialiśmy dobre serce Katii. Zaprosiła nas do swego domu, ugościła nas chlebem i mlekiem, które zapewne odebrała od ust sobie i dziecku. Nazajutrz przyszli sąsiedzi. Wszyscy gotowi pomóc, pomimo że nie mieli dużo więcej od nas. Poczuliśmy, że jesteśmy między serdecznymi ludźmi. Oczywiście wiedzieliśmy, że nie możemy wykorzystywać ich dobroci.

Mała Fela i ja udaliśmy się do miasta. Szliśmy piechotą około 8 kilometrów i podziwialiśmy całą drogę wyłożoną równo ułożonymi klockami drzewa. Takiej drogi jeszcze nigdzie nie spotkaliśmy. Mijały nas naładowane wozy z towarami, zaprzężone w małe, jakuckie konie, dążące w kierunku przystani okrętów. Widzieliśmy dziwne auta ciężarowe, które po bokach miały dwa kominy. Z czasem dowiedzieliśmy się, że te auta nazywa się „gazownikami" lub „połutorkami" (pojemność półtorej tony). Ich siłą napędową jest gaz ze spalonego drzewa w kominach. Nasze kroki skierowaliśmy do piętrowego, pięknego budynku NKWD. Tam zarejestrowano nas. Dali nam

skierowanie; dla siostry, małej Feli i Rózi – do artelu krawieckiego i mieszkanie w domu samotnych kobiet, a mnie skierowali do pracy na budowie, a spać w domu kawalerów oddalonym jakieś 3 kilometry od miasta. I tak rozdzielili mnie z siostrą. Pożegnaliśmy się z Katią. Mała Fela dała jej w podarunku kilka par jedwabnych pończoch, które miała jeszcze z domu. Katia z dzieckiem odprowadzili nas kawałek drogi i wróciła do domu.

Zacząłem pracować na budowie. Woziłem taczki z ziemią. Kopałem doły w zmarzniętej ziemi. Po pracy spotykałem się z siostrą i razem zjadaliśmy posiłek w roboczej stołówce.

Jakuck to ładne miasto. Kilka ładnych murowanych budynków. Jest tutaj opera, teatr, kino. Na ulicach piętrowe, ładne budynki urzędów państwowych. W centrum miasta jest duży i ładnie urządzony sklep, ale półki są prawie puste. Miejscowi ludzie mówią, że do niedawna można było dostać chleba, ile się chciało i niczego nie brakowało. Teraz skutki wojny doszły już do Jakucka. Pewnego dnia, gdy szukałem w sklepie czegoś do jedzenia, zobaczyłem kolejkę, która stała za żywnością. Stanąłem w kolejce i dostałem trochę suchych ciastek, które schowałem w kieszeniach. Gdy wychodziłem przez podwójne drzwi sklepu, poczułem czyjąś rękę w kieszeni. Odwróciłem się i złapałem złodzieja, który już trzymał kilka ciastek w ręce. Popatrzyłem na niego. Przestraszony, chudy tak jak ja. Pomyślałem: on też jest głodny. Puściłem jego rękę i uciekł z ciastkami.

O produkty było coraz trudniej. Codziennie rano szedłem piechotą 3 kilometry do pracy. Tam czekało na nas

otwarte ciężarowe auto i zabierało robotników do pracy. Jeden z robotników miał harmonię i jadąc, grał, a inni śpiewali, a gdy mu ręce zmarzły, przekazywał instrument innemu, i tak całą drogę (około 10 kilometrów) harmonia przechodziła z rąk do rąk.

Niedostateczne odżywianie osłabiło mnie. Często wymiotowałem w pracy. Przenieśli mnie do innej pracy. Pracowałem w nocy. Moim zadaniem było palić w piecach w niewykończonym budynku miejskiego teatru w Jakucku. Rano, po pracy, szedłem do sklepu i dostawałem swoją normę chleba – 800 gram. Zawsze szukałem na półkach, czy można dostać jeszcze coś do jedzenia w wolnej sprzedaży. Znów spotkałem tego, co ukradł mi ciastka z kieszeni. Uśmiechał się do mnie. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się. Uczył mnie wkładać niespostrzeżenie ręce do kieszeni. Oczywiście nigdy tego nie robiłem. Raz, gdy go spotkałem, miał szeroki uśmiech na twarzy – udało mu się ukraść porcję chleba. Wyjął zza pazuchy kawał chleba, przełamał na pół, zważył w ręce i oddał mi połowę.

Nadchodziła ciężka zima. Kierownik budowy polubił mnie. Postarał się dla mnie o szubę i walonki. Nadszedł listopad. Mróz w nocy dochodził już do 50°C. Paliłem w piecach w nocy, było mi ciepło. Mogłem rozmyślać. Już dwa lata, jak pożegnaliśmy się z rodziną. Po pracy jak zwykle kupiłem swoją normę chleba i szedłem do domu kawalerów. Byłem dobrze ubrany. Po drodze gryzłem po kawałku zmarzniętego chleba i spieszyłem się do domu, aby zdążyć wypić jeszcze kipiatok z resztką chleba, której nie zdążyłem zjeść po drodze.

Pewnego dnia chciałem skrócić drogę i szedłem przez zmarzniętą rzekę. Widziałem mgłę przed sobą i wiedziałem, że był *naled* (lód pękł i na wierzch wypływała woda). Ale uważałem, że woda zamarzła wystarczająco, by można było przejść po lodzie. Pomyliłem się. Lód był cienki i słaby. Wpadłem jedną nogą do wody. Wyciągnąłem nogę i zacząłem biec do domu. Czułem, że noga mi zesztywniała. Bałem się, że noga zamarznie i trzeba będzie ją amputować. Biegłem z całych sił. W domu współlokator Paweł pomógł mi ściągnąć zmarznięty walonek z nogi i okazało się, że noga jest ciepła i cała. Tylko walonek zamarzł. Miałem szczęście. Woda nie zdążyła przesiąknąć i natychmiast po wyciągnięciu nogi zamieniła się w lód.

Zaprzyjaźniłem się z Pawłem, który też mieszkał w domu kawalerów. Gdy opowiedziałem, że jestem z Polski, Paweł zbliżył się do mnie. Stale wypytywał o to, jak wygląda Polska, czy jest tam dość jedzenia, jaki jest klimat, kultura. Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy we dwójkę na jego pryczy, zaczął opowiadać po cichu, spoglądając, czy nikt nie słyszy: „Mój ojciec urodził się w Polsce. Został zesłany na Sybir za czasów carskiej Rosji razem z Józefem Piłsudskim i siedzieli w więzieniu w Kiereńsku" (Józef Piłsudski był Marszałkiem Polski od czasu odzyskania niepodległości w 1919 roku do jego śmierci w 1935 roku. Przychylnie ustosunkowany do Żydów, zwalczał antysemityzm). Polubiłem Pawła. Gdy wracałem z pracy, szukałem go i razem popijaliśmy kipiatok i dzieliliśmy się kawałkiem chleba. Lubiłem, gdy śpiewał. Miał piękny głos. Śpiewał rzewne rosyjskie pieśni. Ja śpiewałem mu polskie pieśni.

Tłumaczyłem mu słowa. Nie rozumiał po polsku. Marzył o Polsce. Chciał tam być. Pewnego dnia powiedział mi, że zawerbował się do pracy w kopalniach złota w Wierchojańsku (Wierchojańsk – najzimniejszy punkt świata, zimą mróz dochodzi do 70°C) i wkrótce wyjedzie tam z całą grupą. Minęło kilka dni. Pewnego wieczoru wstałem ze swojej pryczy i chciałem się ubrać do pracy, ale nie znalazłem walonków. Zginęła również moja szuba (kożuch), Pawła także już nie było. Podczas surowej zimy zostałem bez walonków, szuby i bez przyjaciela Pawła.

POŻEGNANIE Z JAKUCKIEM

Noce były długie. Mróz dochodził do 60°C. Na dworze gęsta mgła. Mój kierownik postarał się dla mnie o nowe walonki. Siostra znalazła i podszyła watą starą kurtkę. Starałem się być jak najmniej na dworze. Moje palce u rąk były nieczułe od mrozu. Twarde jak młotki, pomimo że miałem ciepłe, watowe rękawice.

Po trochu zaczęły przybywać do Jakucka nowe grupy naszych ludzi z Minoru i Jury. Nowo przybyli przeszli tysiąc kilometrów, częściowo piechotą, częściowo na saniach i na ciężarowych autach. Każdy z nich miał wprost niewiarygodne historie o nieludzkich warunkach podróży i przygodach.

Do domu kawalerów przybyli moi znajomi z Jury. Munk. Ojciec i syn. Ojciec znalazł trochę oliwy, zapalił prymitywnie zrobione świeczki chanukowe. Cieszyłem się, że mam z kim porozmawiać i dzielić się wspólnymi troskami. „Dziś Chanuka", powiedział i zaczął opowiadać o znaczeniu Chanuki. „Wierzę, że stanie się cud i wrócimy zdrowi do domu". W mroźny wieczór chanukowy siedzieliśmy i wspominaliśmy rodzinny dom. Opowiedziałem o swojej rodzinie. O tym, że ojciec sprzedał dwa worki mąki, abyśmy z siostrą mogli uciec od Niemców do Rosji. Czy

rodzice mają teraz co jeść? Na pewno teraz myślą o nas. Gdybym przynajmniej wiedział, że są zdrowi. I tak we wspomnieniach i rozmyślaniach mijał czas.

Codziennie rano dostawałem swoją porcję chleba. Od czasu do czasu dostawałem jeszcze jakieś produkty, ale zawsze byłem głodny. Na wolnym rynku można było dostać dodatkowe produkty, ale bardzo drogo i nie miałem na to pieniędzy. Często dostawałem zawrotów głowy i wymiotowałem. Lekarz zapisał mi nagrzewanie elektryczne, ale to nie pomogło. Niedostateczna ilość jedzenia, brak tłuszczów i witamin osłabiły mnie.

Pewnego dnia posłali mnie do pracy przy budowie budynku z lodu, który miał służyć jako chłodnia do przechowywania produktów w lecie. Kładliśmy wielkie (piłowane prostokątnie) bryły lodu, jedna na drugą. Szpary między bryłami zalewano wodą, która natychmiast z trzaskiem zamarzała. I tak zbudowano wielki budynek z lodowych ścian i lodowego sufitu. Zasypano go grubą warstwą trocin, a następnie ziemią. Wewnątrz wmontowano drewniane drzwi i półki. W azbestowych rurach przeciągnięto przewody elektryczne. Budynek był tak wielki, że do środka mogły wjeżdżać ciężarowe auta. Książkę *Przedwiośnie* Żeromskiego czytałem przed wojną. Ale dom z lodu widziałem pierwszy raz.

Niezwyciężona zima się przedłużała. Rzadko się spotykałem z siostrą, małą Felą i Rózią. One mieszkały we wspólnym domu dla kobiet. Ich warunki nie były lepsze od moich. Miały tylko o tyle lepiej, że stale pracowały w ogrzewanym pomieszczeniu. Ja pracowałem przy

opalaniu budynku jakuckiego teatru, ale niekiedy posyłali mnie na inne roboty. Praca przy ogrzewaniu budującego się teatru była nudna. Zostawałem całą noc w budynku i pilnowałem, aby piece się paliły, ale przynajmniej byłem w cieple. Pewnego ranka, gdy skończyłem pracę, widziałem, że malarze zaczynają pracować w budynku. Zaczekałem na kierownika budowy, a gdy ten przyszedł, powiedziałem, że jestem malarzem i chciałbym pracować w swoim zawodzie. Trochę się wahał, ale powiedział, że ktoś inny zastąpi mnie w nocy, a ja zacznę pracować jako malarz.

Mróz zaczął się zmniejszać. Pojawiły się pierwsze zwiastuny wiosny. Dni zaczęły się wydłużać. Pewnego wieczoru poszedłem do domu, gdzie mieszkała moja siostra z małą Felą i Rózią. Opowiedziały mi, że chcą przejść do innej pracy. Chcą pracować w hydrografii. Będą jeździć na łodziach motorowych po Lenie i oznaczać trasy dla okrętów, aby nie osiadły na mieliźnie, a Rózia zostanie w Jakucku razem z zamężną siostrą, która wraz z rodziną przyjechała z Minoru. Praca w hydrografii jest ciężka, ale dają tam dobrze jeść. Obecnie, gdy biorą wielu mężczyzn na front, kobiety muszą ich zamienić. Przejdą specjalne szkolenie i na wiosnę rozpoczną pracę na łodziach motorowych. Nie byłem zbytnio zadowolony z tego powodu. Siostra i mała Fela to młode i piękne dziewczęta. Będą pracować razem z Rosjanami. Martwiło mnie to, ale ufałem siostrze, tym bardziej że na łodzi pracują też rosyjskie kobiety. Zbliżała się wiosna. W dzień zaczął tajać śnieg. Pożegnałem się z siostrą, która przenosiła się wraz z Felą do Zatonu na czas przeszkolenia.

Praca w teatrze jakuckim była na wykończeniu. Wszyscy pracownicy, którzy przyczynili się do budowy teatru, dostali bilety na premierę w tym teatrze. Ja również tam byłem. Na otwarcie przyjechali przedstawiciele także z Moskwy. Niestety niewiele rozumiałem po jakucku, ale był tam obfity bufet, więc najadłem się, a część jedzenia zostawiłem dla siostry i zaniosłem jej do Zatonu.

Skończyła się praca w teatrze. Teraz pracowałem na budowie. Na obiad przywozili na budowę zupę. Łyżek nie dawali, więc każdy pracownik musiał mieć łyżkę. Rosjanie sami sobie robili łyżki z drzewa. Ja dostałem w sklepie aluminiową łyżkę. Po pracy szedłem do roboczej stołówki i tam znów dostawałem zupę. Kelnerka zauważyła, że z kieszeni wygląda mi łyżka. Podeszła, wyciągnęła łyżkę i powiedziała głośno: „Ukradł!", i zabrała łyżkę, by pokazać kierownikowi stołówki. Byłem bardzo zdenerwowany. Nie znałem jeszcze dobrze rosyjskiego, więc krzyczałem tylko na głos: „Nie ukradł – nie ukradł". Po paru minutach wróciła kelnerka z łyżką. Oddała mi ją i powiedziała: „To nie nasza". Byłem tak zdenerwowany, że wstałem, złamałem łyżkę i rzuciłem ją za nią na podłogę. Po chwili przyszedł kierownik i spytał, dlaczego złamałem sprzęt państwowy. Spojrzałem na niego, wstałem, wyszedłem ze stołówki i pomimo że zawsze byłem głodny, więcej tam nie wszedłem.

Nadszedł kwiecień. Ciepło. W nocy był jeszcze mróz, ale w dzień słońce już grzało, śnieg tajał. Rzeki jeszcze zamarznięte. Poszedłem do Zatonu odwiedzić siostrę, ale one już skończyły kurs i zamieszkały na łodzi. Nie widziałem

ich. Wracałem 8 kilometrów do Jakucka i postanowiłem, że również rozpocznę pracę na okręcie. Zwróciłem się do kierownika kadr GSMP (Główne Północno-Morskie Parochodstwo). Chciałem pracować na okręcie jako „kociegar" (palacz kotłowy). Kierownik Moszkin, niskiego wzrostu, spojrzał na mnie z dołu do góry, uśmiechnął się, palnął popularne przekleństwo i powiedział: „Jaki z ciebie będzie kociegar? Lekki wiaterek ciebie zdmuchnie z okrętu". Nie rezygnowałem. Nalegałem, aby mnie przyjął. Pozwolił mi usiąść i zapytał mnie, kim jestem. Opowiedziałem mu moją historię. Widocznie spodobałem mu się. Wydawało mi się, że wypowiedział jakieś słowo po żydowsku, ale ugryzł się w język. Pytał, dlaczego chcę pracować na okręcie. Odpowiedziałem, że słyszałem, że tam dają dobrze jeść. „Kociegar to bardzo ciężka praca, nie podołasz. Przyjmę cię do pracy jako marynarza", powiedział. „Ja chcę być kociegarem", odpowiedziałem. „Dlaczego?", „Bo kociegar pracuje cztery godziny i dwanaście godzin odpoczywa, a marynarz pracuje osiem godzin, odpoczywa osiem godzin i znów do pracy". Spuścił głowę, patrzył na jakiś papierek na stole. Myślał… „Przyjmę cię na okręt »Wierchojańsk«. Ten okręt popłynie 240 kilometrów do kopalni węgla i wróci do Zatonu. Jeśli podołasz, zostaniesz na okręcie. Jeśli nie, zejdziesz z okrętu i wrócisz do mnie". Umowa wydawała mi się rzeczowa. Zgodziłem się. Dał mi list do kierownika budowy, aby mnie zwolnił z pracy.

Mijały dni. Załatwiłem formalności. Zwolnili mnie z pracy na budowie. Zostałem bez chlebnych kartek. Zwróciłem się do Moszkina. Kazał mi czekać. Lody już

ruszyły. Okręt „Wierchojańsk" popłynął na południe. Wróci za dwa tygodnie. Powiedział, żebym był gotowy. Wróciłem do domu kawalerów. Nie pracowałem. Nie miałem przydziału chleba. Za zaoszczędzone pieniądze kupowałem produkty na czarnym rynku. Codziennie chodziłem do Moszkina. Nareszcie powiedział: „Jutro o godzinie dwunastej bądź w porcie w Zatonie". Dał mi list do kapitana okrętu „Wierchojańsk".

Były pierwsze dni czerwca. Dni stały się długie. Poranek był ciepły. Spakowałem swoje manatki, spojrzałem ostatni raz na mieszkanie kawalerów. Spojrzałem na pryczę, gdzie spał mój serdeczny przyjaciel Paweł. Od czasu, jak znikł, łóżko było osierocone. Uśmiechnąłem się gorzko. „Paweł – mówiłem do siebie – dobry przyjacielu. Byliśmy wspólnikami do śmiechu, radości i do pieśni. Dzieliliśmy się ostatnim kawałkiem chleba. Wprowadziliśmy się do zakątków naszych dusz. Uważam cię nadal za dobrego przyjaciela. Ukradłeś mi szubę i walonki, ale nie z radości czy złej woli. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Szkoda, że nie mogę cię objąć na pożegnanie".

Znów skierowałem kroki w nieznane. Dotychczas byłem razem z siostrą, z naszymi ludźmi, z przyjaciółmi. Razem dzieliliśmy nasz los. Teraz zostałem sam. Nawet pożegnać się nie miałem z kim. Nie mam tutaj nawet bliskiej duszy, aby mi życzyła szczęśliwej podróży. Moi najbliżsi są bardzo daleko i nie wiem nic o nich. Ale w myśli czuję ich błogosławieństwo na drogę. Wziąłem swój worek z manatkami na plecy, obejrzałem się jeszcze raz na swoje łóżko. Zamknąłem drzwi za sobą. Spojrzałem jeszcze raz na

miasto Jakuck i ruszyłem piechotą do Zatonu. Po drodze minąłem dom, gdzie mieszkała Katia. Ogarnęła mnie fala ciepła. Jednak mam się z kim pożegnać. Nabrałem otuchy. Skierowałem swoje kroki do drzwi. Zapukałem. Po chwili Katia stanęła w otwartych drzwiach. Spojrzała na mnie. Szeroki uśmiech rozpłynął się na jej twarzy, uwydatniając dołeczki na policzkach. „Dokąd to idziesz z tym workiem na plecach?", spytała. „Opuszczam Jakuck. Przyszedłem się pożegnać", powiedziałem.

Zaprosiła mnie do domu. Usiadłem na drewnianej ławce i poczułem, że znajduję się u serdecznej przyjaciółki. Katia postawiła na stole herbatę, usiadła naprzeciwko i zaczęła wypytywać. Opowiadałem o sobie, o siostrze i małej Feli. Przypomniałem jej, jak w chłodny wieczór wpuściła nas do domu, nie znając nas wcale. Pierwsze kroki, gdy wysiedliśmy z okrętu przed siedmioma miesiącami, skierowaliśmy do niej. Teraz, gdy opuszczam Jakuck, znów znajduję się u niej. Ona tylko uśmiechała się. Jej blond włosy były teraz rozpuszczone. Zgrabna, pociągająca, pełna wdzięku. Pytałem o jej córkę. Poszła na spacer z sąsiadką. A mąż? Już dawno nie mam żadnych wiadomości. Wyciągnąłem z worka trochę cukierków, które udało mi się dostać w sklepie oraz parę nowych rękawic, które dostałem na pożegnanie od kierownika budowy. Położyłem to wszystko na stole. „Tylko tym mogę się odwdzięczyć za twoje dobre serce", powiedziałem. Katia miała łzy w oczach. Wstała, podeszła i pocałowała mnie. Pocałowałem ją w policzek. Objąłem jej gibkie ciało. Nasze usta się spotkały. Ścisnąłem ją mocniej. Poczułem ciepło jej jędrnych piersi.

Staliśmy tak w objęciach. Moje zmysły przyćmiły wszystko dookoła. Byliśmy tylko Katia i ja. Jej ciało uległo. Oddała mi się. Ona była pierwszą kobietą, jaką poznałem. Miałem do niej pełny szacunek. „Katiu – nie zapomnę nigdy twojej szczerości i dobrego serca", powiedziałem na pożegnanie. Wstałem i chciałem odejść. „Siadaj – powiedziała. – To taki rosyjski obyczaj – aby ci się poszczęściło, siedź minutę w milczeniu". Siadła naprzeciw mnie i tylko nasze oczy rozmawiały. Następnie wstałem, pocałowałem ją i wyszedłem. Długo jeszcze stała przy otwartej furtce i patrzyła, jak się oddalam.

„WIERCHOJAŃSK"

Kilka okrętów i barek stało w przystani. „Wierchojańska" jeszcze nie było. W biurze powiedzieli, że wkrótce się pojawi. Okręt w końcu nadszedł, ciągnąc cztery barki. Zakotwiczył przy brzegu. Marynarze spuścili trap. Wszedłem nieśmiałym krokiem na trap. Z okrętu zszedł barczysty mężczyzna. Trap zaczął się uginać. Straciłem równowagę. O mało nie wpadłem do wody. „*Kuda*?" (dokąd), zwrócił się do mnie. „Do kapitana – mam skierowanie do pracy na okręcie", powiedziałem. Spojrzał na mnie, splunął, rzucił kilka grubiańskich słów i powiedział jakby sam do siebie: „Moszkin zwariował. Kogo on nam posyła?". I do mnie: „Co tu będziesz robić na parochodzie?". „Chcę pracować jako palacz". Jeszcze raz ironicznie spojrzał na mnie. „Na marynarza też się nie nadajesz". „Mam list i chcę rozmawiać z kapitanem", powiedziałem już głośniej. Pierwsze kroki na okręcie nie zwiastowały nic dobrego. Cyniczne odnoszenie się do mnie nie mogło budzić wielkich nadziei. Byłem wychudzony, nosiłem połataną marynarkę, jeszcze z domu. Od razu poznać, że nie jestem Rosjaninem.

Atleta zaprowadził mnie do kapitana. Na drzwiach był napis: „Kapitan Kiruszkin". Wszedłem do biura. Spodziewałem się spotkać umundurowanego i również atletycznie

zbudowanego kapitana, tymczasem zobaczyłem za biurkiem niskiego i nieznacznego człowieka. Na ścianie były rozwieszone mapy, zdjęcia kilku okrętów, duży plakat muskularnego robotnika, który palcem wskazywał na mnie, a pod nim napis: „A ty czym przyczyniłeś się do zwycięstwa nad wrogiem?". Nad głową kapitana wisiał obraz z czterema podobiznami – Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Kapitan zmierzył mnie wzrokiem i spytał: „W jakiej sprawie?". „Chcę pracować na okręcie jako kociegar". Kapitan jeszcze raz spojrzał na mnie. Otworzył zamknięty list, przeczytał, pomyślał i powiedział: „Kociegar – to jest bardzo ciężka praca. Ty nie jesteś zbudowany do takiej pracy. Przyjmę cię jako marynarza". Uparłem się, że chcę być tylko kociegarem. Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie. „Przyjmę cię na próbę. Popłyniemy po węgiel do kopalni oddalonej o 240 kilometrów i wrócimy do Jakucka. Jeśli się nadasz, zostawię cię, jeśli nie, odprawię cię z powrotem". Milczałem. „Twoje nazwisko?", spytał. „Berger Mosze". „Będziemy cię nazywać Michael Isakowicz albo Misza". Było mi to obojętne. Oddalił mnie z powrotem do tego atlety, który był bosmanem. Ten wprowadził mnie do bani (łaźni okrętowej), zabrał wszystkie moje manatki do dezynfekcji. Następnie zwrócił mi z powrotem ubranie. Tymczasem przyjemnie było się kąpać w gorącej wodzie. Następnie bosman sprowadził mnie po schodach do kajuty. Mały pokoik, dwa żelazne łóżka przy ścianach, stół, drewniana szafka, okrągłe okienko przez które wchodziło światło i dochodził plusk wody. „Zapoznajcie się", zwrócił się bosman do leżącego na łóżku mężczyzny, który czytał

jakąś broszurę. Wysoki, szczupły blondyn z nieogoloną twarzą wstał, uśmiechnął się do mnie, podał rękę i powiedział: „Nazywaj mnie Fiedia" (Fiedia to zdrobniale Fiodor). „Misza", powiedziałem swoje imię. „On będzie z tobą pracować – powiedział do Fiedii – zajmij się nim". Już łaskawiej spojrzał na mnie i wyszedł z kajuty. Fiedia wskazał mi miejsce w szafie na moje rzeczy. „Czuj się swobodnie, nie martw się. Damy sobie radę. Pomogę ci w pracy". Poczułem sympatię do tego chłopaka, może o pięć lat starszego ode mnie. „Odpocznij, ja wychodzę. Przyjdę cię zawołać do pracy".

Zbudziła mnie kucharka. Na stole stała już pachnąca miska zupy. Tłusta kucharka, niskiego wzrostu, fartuchem wytarła stół i siadła naprzeciw. „*Kuszaj*" (jedz), powiedziała. Zacząłem jeść. Byłem głodny. Zupa i duży kawał mięsa smakowały. Kucharka wypytywała, a ja odpowiadałem, nie odrywając oczu od miski. „U mnie się poprawisz. Dostaniesz dość smakołyków. Tutaj nie będziesz głodny. Wątpię jednak, czy podołasz w pracy jako kociegar".

Byłem zadowolony, gdy znów zostałem sam w kajucie. Położyłem się na łóżku i rozmyślałem. Czy spotkam się z siostrą? Ona i mała Fela są gdzieś na Lenie na łodzi motorowej nr 15. Znów wstałem, rozpakowałem worek i układałem rzeczy w szafie. Wyjąłem *cicit*, które mama mi zapakowała. Wyjąłem zdjęcie rodzinne i zdjęcie małej siostrzyczki Leale. Przed oczami widziałem nasz dom i cały przebieg wydarzeń od początku wojny. Pocałowałem zdjęcie małej siostrzyczki. Przypomniałem sobie, jak w pierwszy dzień wojny podczas strzelaniny wybiegła z domu, aby

mnie szukać. Pobiegłem do niej, położyłem ją na ziemi i nakryłem ją sobą. Co ona teraz robi? Gdzie jest teraz Ema? Gdzie nasza druga mama? Gdzie teraz Berlfainowie? Zostałem sam na okręcie, bez żadnych bliskich. W Minorze byliśmy razem, a teraz nie mam nikogo.

Fiedia zawołał mnie do głównego mechanika. Ten spojrzał na mnie, widać niezadowolony, i zwrócił się do Fiedii: „Niech jeszcze dziś odpocznie. Jutro wyjdzie z tobą na wachtę". Okręt ruszył na północ. Stałem z Fiedią na pokładzie. Patrzyłem, jak dwa wielkie koła po obydwu stronach biją płetwami w wodę, jak tworzą pieniące się fale, które ciągną się jak dwa ogony za okrętem. Okręt ciągnie za sobą pięć wielkich drewnianych barek, jak wyjaśniał mi Fiedia. Okręt płynie cztery do pięciu miesięcy w lecie. W zimie stoi przy brzegu, wówczas odbywają się remonty. Okręt przewozi na północ różne towary do osiedli rybackich, które są rozrzucone wzdłuż brzegów. Dość często zamiast barek okręt ciągnie za sobą tratwy z kłodami drzewa na północ, jako materiał budowlany, bo dalej na północy nic nie rośnie. Załoga okrętu powinna liczyć trzydzieści dwie osoby, ale teraz ze względu na wojnę zmniejszyli załogę, bo wielu mężczyzn biorą do wojska. Załoga musi teraz pracować więcej godzin. Dlatego marynarze odpoczywają tylko osiem godzin między jedną a drugą wachtą. Jeszcze przed rokiem kociegar nie ładował węgla na okręt. Teraz nie ma uprzywilejowanych. Dobrych pracowników w transporcie wodnym nie biorą do wojska, ale są zmobilizowani i nie wolno im opuścić pracy.

Fiedia zapoznawał mnie z załogą. Gdy powiedziałem, że będę pracował jako kociegar, patrzyli na mnie z niedowierzaniem albo z ironią. Zacząłem się namyślać, czy rzeczywiście zrobiłem głupstwo, że zawerbowałem się na okręt i to do najcięższej pracy. Z tymi rozmyślaniami usnąłem w ciepłej kajucie na prawdziwym, pościelonym łóżku.

„Misza, wstawaj do roboty!", wołał Fiedia. Obudziłem się z głębokiego snu. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Lecz po chwili zorientowałem się. Szybko założyłem ubiór roboczy, który Fiedia mi przyniósł, i byłem gotów. Zeszliśmy krętymi, żelaznymi schodami do kociegarki (kotłowni). Były tam dwa ogromne piece. Dużo rur, zegarów, kranów. Zmieniliśmy dwóch pracowników brudnych od węgla i sadzy. Od razu zdałem sobie sprawę, że to bardzo ciężka praca. Nie umiałem wrzucać węgla do pieców, więc podrzucałem łopatą węgiel z bunkru, aby łatwiej było Fiedii wrzucać do pieca. Po czterech godzinach pracy byłem skonany. Wykąpałem się w łaźni, wróciłem do kajuty i położyłem się spać.

Gdy się obudziłem, miałem na rękach wodne pęcherze od łopaty. Kucharka przyniosła jedzenie, ale ze zmęczenia apetyt znikł. Po odpoczynku wyszedłem na pokład podziwiać przyrodę. Na pokładzie kręcili się członkowie załogi. Patrzyli na mnie jak na jakiś niecodzienny okaz. „Co ty tu robisz?", pytali. „Jestem kociegarem", powiedziałem. Śmiali się tylko. Załoga liczyła 28 osób. Wszyscy, których widziałem, byli zdrowi, barczyści i muskularni. Tylko ja byłem chudy, z białą cerą, średniego wzrostu.

Po dwunastu godzinach znów zszedłem do kotłowni. Fiedia był dobrym chłopakiem. Właściwie on pracował za mnie. Ja tylko podrzucałem mu węgiel. On widział, że nie lenię się, tylko nie potrafię. Uśmiechał się do mnie i mówił: „Nie martw się. Przyzwyczaisz się, a jak nie, to zdechniesz" (popularne przysłowie rosyjskie).

Ręce mnie bolały. Gdy wstałem ze snu, z bólem wyprostowałem palce. Pęcherze wodne na rękach pękały i tworzyły bolesne rany. Doszedłem do wniosku, że nie potrafię być kociegarem. Postanowiłem, że po załadowaniu węgla w kopalni w Sangar, gdy okręt wróci do Jakucka, pożegnam się z Fiedią i załogą, i znów będę szukał szczęścia w Jakucku. Siła popędowa okrętu to węgiel. Siła maszyn to 600 sił końskich (tak mi powiedział Fiedia). Węgiel, który dostajemy, jest bardzo drobny – jak pył. Aby węgiel lepiej się palił, trzeba go trochę zamoczyć. Podczas czterech godzin pracy spalamy około czterech ton węgla. Do jednego pieca wrzuca się dziesięć pełnych łopat i tak samo do drugiego pieca. Drobny węgiel zagłusza płomień, trzeba więc otwierać syfon (rura z parą, która wygania dym z komina, ale razem z dymem unosi w górę pył węgla). Gdy otwieram drzwi pieca, fala gorąca spala spoconą twarz. Po takiej wachcie wlokłem się ostatnimi siłami do łaźni, zdejmowałem brezentowe rękawice. Gorąca woda zmywała brud i pot z popryszczonej od żaru twarzy i szedłem do kajuty, aby odpocząć na łóżku.

Straciłem humor i apetyt. Nie miałem się z kim podzielić swoimi troskami ani kogo poradzić. Kucharka przynosiła mi smakołyki. Nie mogłem jeść. Patrzyła na mnie

z politowaniem. Fiedia odnosił się do mnie po przyjacielsku. Większość pracy wykonywał on, ale to nie mogło długo trwać. Podjąłem decyzję, że wytrzymam aż do powrotu do Jakucka. Nie miałem dostatecznej siły, by wykonywać tę pracę.

Tymczasem kapitan dostał radiogram, aby jechać dalej na północ, do portu Tiksi przy Oceanie Lodowatym, 2300 km od Sangar. Ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Mogę zejść z okrętu w Sangar, ale jak się dostać z powrotem do Jakucka? Co robić na brzegu między Rosjanami i Jakutami, bez środków, bez przyjaciół i bez dachu nad głową? W Sangar naładowali nam barki z węglem i popłynęliśmy dalej na północ. Muszę się pogodzić z losem.

Nadal pracowałem i zacząłem się przyzwyczajać. Kucharka, kochana kobieta, starała się dla mnie, jak mogła. Załoga okrętu też przychylnie się do mnie odnosiła. Wypytywali o życie w Polsce. Co to są czereśnie, jak wygląda pociąg, czy w Polsce też są lasy, pojawiały się też inne, dla mnie dziwne pytania. Nawet barczysty bosman przesiadywał ze mną. Od niego słyszałem różne opowiadania o rzece. Lena jest najdłuższą rzeką w Azji. Jej długość to około 5500 kilometrów, dalej na północ jest bardzo rozległa, szeroka. Miejscami dochodzi do 40 kilometrów szerokości i w tych miejscach są różnej wielkości wyspy. Przy ujściu do morza jest rozgałęziona i tworzy deltę na 120 kilometrów. Rzeka ta jest bardzo bogata w ryby. Są w niej ryby, które dochodzą do 250 kilogramów wagi. Wzdłuż brzegu rozsiane są rzadkie osiedla, które zajmują się przeważnie

połowem ryb i myślistwem. W okolicy jest również hodowla srebrnych lisów. Przeciętna szybkość prądu wynosi 4–5 kilometrów na godzinę. Czasami rzeka jest bardzo burzliwa i niebezpieczna. Przy ujściu rzeki do morza niekiedy znajduje się kości mamuta. W latach dwudziestych zdarzyło się, że gdzieś dalej, na północy, oderwał się stromy brzeg, a w wiecznie zamarzniętej ziemi ukazał się zamrożony mamut – zachowany w całości. Gdy go wykopali, podobno psy z apetytem jadły jego mięso.

Siedziałem z bosmanem na pokładzie, słuchałem chciwie jego opowiadań i podziwiałem dziką i piękną przyrodę. Z jednej strony wznosiły się wysokie skały, które tworzyły różne legendarne postaci. Wierzchołki nakryte śniegiem, a z drugiej strony las. Ale im dalej na północ, tym las stawał się rzadszy i niższy.

Zacząłem przyzwyczajać się do swojej ciężkiej pracy. Rany na rękach zaczęły się goić. Polepszył mi się apetyt. Fiedia już dowierzał mi i pozwolił mi samemu wrzucać węgiel do pieców, a on teraz tylko mi go podrzucał. Czasami nawet zostawiał mnie samego i wychodził na pokład, aby ochłodzić się i wdychać świeże powietrze.

Noce stawały się coraz krótsze, a właściwie ściemniało się tylko na godzinę i znów niebo zaczynało się rozjaśniać. Czasami odpoczywałem na pokładzie, siedząc samotnie w jakimś kącie, wtedy moja wyobraźnia zaczynała mnie unosić. Gdy Fiedia odnajdywał mnie w takim stanie, prowadził do klubu okrętowego i grając ze mną w szachy, pocieszał swoim przysłowiem: „Nie martw się, przyzwyczaisz się, a jak nie, to zdechniesz". Czasami politruk

zwoływał załogę do klubu, przedstawiał sytuację na froncie. Dobrych wiadomości nie było. Zawsze mówił, że „wyrównali linię frontu" albo że „postępujemy według planu", ale na mapie było widać, że Niemcy coraz głębiej wkraczają w głąb Związku Radzieckiego. Politruk zawsze kończył słowami: „Musimy być bardziej wydajni, więcej pracować. Za ojczyznę, za Stalina. Pobijemy wroga i zwyciężymy". A później pytał, czy mamy jakieś pytania. Nikt się nie zgłaszał. Nikt nie pytał. Po takich wiadomościach nie mogłem się cieszyć.

Mijały dni, 22 czerwca 1942 roku czułem, że opanowałem pracę. Łopata szła jak u doświadczonego kociegara. Fiedia mógł już częściej odpocząć i zostawiać mnie samego przy kotłach. Czułem się coraz pewniej, humor także mi się poprawił. Najcięższą pracą było „szlakowanie pieców". Dwa razy w przeciągu wachty trzeba było oczyścić ruszt od szlaki (szlaka – płynna ognista lawa, która zalewa ruszt i nie dopuszcza powietrza). Długimi żelaznymi hakami oczyszcza się ruszt, aby od spodu dochodziło powietrze, a ognistą szlakę wyrzuca się hakami na żelazne płyty przed piecem. Jest to bardzo ciężka praca i żar rozpalonej szlaki uderza w twarz. Robotę tę trzeba wykonać jak najszybciej, bo gdy drzwi pieca są zbyt długo otwarte, obniża się w nich temperatura, a ciśnienie pary w kotłach spada. Przed rozpoczęciem tej pracy trzeba sprawdzić manometry, czy ciśnienie pary w kotłach jest w porządku (powinno być 14 atmosfer) i czy jest właściwa ilość wody w kotłach.

Pewnego razu przy oczyszczaniu pieca byłem zajęty przy wyrzucaniu szlaki i nie spoglądałem na wskaźnik poziomu

wody oraz ciśnienia w kotłach. Gdy skończyłem i wytarłem pot z twarzy, który zalewał mi oczy, i spojrzałem na manometry, zląkłem się. Ciśnienie pary wzrosło do 16½ atmosfer, a wskaźniki pokazywały, że woda w kotłach jest poniżej czerwonej kreski (czerwona kreska wskazuje najniższy dozwolony poziom wody w kotłach). Serce zaczęło mi bić jak młotem. Wiedziałem, że może dojść do wybuchu i okręt z załogą wylecą w powietrze. Pobiegłem do pomp, aby wpuścić wody do kotłów, ale woda nie spływała. Próbowałem jeszcze raz, ale nic nie pomagało. Zrozumiałem, że ciśnienie pomp jest słabsze od ciśnienia w kotłach, dlatego woda nie może spłynąć do środka. Byłem bezradny. Wybiegłem po żelaznych schodach na pokład i z całych sił wołałem: „Fiedia! Fiedia!". Przybiegł, zbiegł na dół do kociegarki, popatrzył na zegary, ale spokojnie powiedział: „Na pewno wskaźnik wody jest zatkany osadem z kamienia i niewłaściwie wskazuje". Otworzył więc kran z parą, który przeczyszczał wskaźniki wody, ale nic się nie zmieniło. Jeszcze raz otworzył i jeszcze raz, i nic. Woda jeszcze bardziej spadała, a ciśnienie wzrastało. Główny mechanik w oddzieleniu maszyn słyszał, że w kotłowni jest za dużo bieganiny i para, która przeczyszcza wskaźniki wody, za często syczy. Przybiegł. Spojrzał na zegary, a później na mnie. Rzucił przekleństwem *job twoju mać* i wybiegł do oddziału maszyn. Zadzwonił na mostek kapitański, puścił w ruch „czerwoną rączkę" (znak, że puszcza maszyny na najszybszy bieg, co robi się tylko w wyjątkowych wypadkach). Otworzył krany z parą do wszystkich zapasowych przyrządów i znów wpadł do kotłowni. Ciśnienie

pary zaczęło spadać. Odetchnąłem. Wynosiło już tylko 15 atmosfer i dalej spadało. Mechanik wszedł do oddziału maszyn, wyłączył „czerwoną rączkę" i znów przyszedł do kotłowni. Ciśnienie stale spadało. Przez ten cały czas nie wrzucałem węgla do pieców. Mechanik podszedł do iniektorów (pomp, które wtłaczają wodę do kotłów podczas postoju), otworzył i widać było, jak woda we wskaźnikach się podnosi i ciśnienie szybko spada daleko poniżej normy. Fiedia zaczął wrzucać węgiel do pieców. Mechanik jeszcze kilka razy wychodził i wchodził do kotłowni. Następnie zwrócił się do mnie: „Skończ pracę, umyj się w łaźni i przyjdź do kapitana". Wiedziałem, że to nie wróży nic dobrego.

W pokoju kapitana czekali już na mnie kapitan, mechanik i politruk. Widocznie prowadzili gorącą dyskusję, bo politruk wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Kapitan położył na stole arkusz papieru i urzędowym głosem zaczął wypytywać, zapisując każdą odpowiedź: „Czym zajmował się ojciec? Czym zajmował się dziadek? Kto mnie posłał do pracy na okręcie?". Odpowiadałem szczerze. Na pytanie, dlaczego chciałem pracować na okręcie, odpowiedziałem: „Słyszałem, że na okręcie dają dobrze jeść". „Czy wiesz, co mogło się stać przy nadmiarze ciśnienia w kotłach? W najlepszym wypadku aluminiowy korek bezpieczeństwa mógł się stopić, a pozostała woda mogła zalać ogień w piecach, a w najgorszym mogło dojść do wybuchu obydwu kotłów. Dlaczego to zrobiłeś?". „Byłem zajęty przy czyszczeniu pieców i wyrzucaniu szlaki – praca bardzo ciężka i trzeba ją zrobić szybko – więc nie zwróciłem uwagi na wskaźnik

wody w kotłach i na ciśnienie". Wszystko zapisał. Podpisałem się i kazali mi odejść. Przy wyjściu mechanik powiedział, abym nie wychodził na zmianę aż do odwołania. Wiedziałem, czym to pachnie. Posądzali mnie o sabotaż.

Siedziałem w kajucie. Mechanik przydzielił Fiedii innego partnera. Przygnębiony czekałem. Następnego dnia znów zawołali mnie do kapitana. Przede mną siedział człowiek w mundurze NKWD. Nie wiedziałem, kiedy i jak zjawił się na okręcie. Widocznie kapitan przekazał radiogram do władz. Oglądał mnie uważnie, kazał usiąść. Ze ściany spoglądali na mnie z obrazów: Marks, Engels, Lenin i Stalin. Z wielkiego plakatu na ścianie patrzył barczysty i muskularny robotnik, wskazując palcem na mnie. Na dole plakatu był napis: „A ty czym przyczyniłeś się do zwycięstwa nad wrogiem?". A mnie się wydawało, że wskazuje na mnie jak na sabotażystę – „wroga narodu".

Przedstawiciel NKWD wciąż mnie obserwował. Nareszcie zaczął śledztwo. „Pokaż paszport", poprosił. Wyjąłem z kieszeni swój bezobywatelski dowód osobisty i podałem mu. Uważnie czytał i spytał, dlaczego nie jest przedłużony. (Dodał, że wszyscy nasi ludzie otrzymali od władz NKWD bezobywatelskie dokumenty, które trzeba było przedłużać co trzy miesiące). Odpowiedziałem, że nie miałem możliwości – gdy trzeba było przedłużyć, pracowałem już na okręcie. Znów zaczął zadawać te same pytania, co wczoraj. Jego pióro skrzypiało na papierze, a ja czułem, jakby mi piórem skrobał w sercu. Odpowiadałem szczerze, bo nie miałem nic do ukrycia. Jego spokojne oczy przenikały mnie na wskroś. Skończył śledztwo, kazał

mi podpisać. Wyjął z szuflady kapitana pierwsze zeznanie. Porównywał podpis i wydawało mi się, że porównuje odpowiedzi wczorajszego i teraźniejszego zeznania. Schował obydwa zeznania do swojej teczki, jeszcze raz spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem i kazał mi odejść.

Czułem się samotny, przygnębiony. Moja siostra jest gdzieś daleko ode mnie. Nie mam się z kim podzielić swoim zmartwieniem i obawą, co będzie dalej. Czułem, że Fiedia i inni omijają mnie i nie chcą ze mną rozmawiać. Tylko kucharka, gdy przynosiła jedzenie, pocieszała mnie. Gdybym mógł zejść z okrętu i wrócić do Jakucka… Ale jak? Zrobiłem głupstwo, że przyszedłem pracować na okręcie. Mijaliśmy dzikie i niezaludnione tereny. Bardzo rzadko było widać jakieś biedne osiedle z kilku zlepionych jurt, w których mieszkają przeważnie Jakuci. Nie znam ich języka. Nie ma żadnej komunikacji, aby wrócić do Jakucka. Nie pracuję. Czekam. Na co? Co ze mną zrobią? Wszystkie swoje zmartwienia zapisywałem w moim dzienniku. Dziennik był moim jedynym przyjacielem. Tylko przed nim mogłem się wypłakać. Zastanawiałem się, czy nie warto byłoby poprosić kapitana, aby zmienił mi pracę i włączył do marynarzy. Ale i to nie jest rozwiązaniem. Nie pozostało mi nic innego tylko czekać na to, co czas przyniesie i całą moją gorycz przekazać dziennikowi. Pisanie dziennika też mogło mnie zdradzić. Pisanie dziennika w Związku Radzieckim nie było czymś wskazanym. Władze mogły mnie posądzić o szpiegostwo.

Po śledztwie u kapitana przyszedł do mnie główny mechanik Edward Kazimierzowicz Janczewski (nazwisko

zdradzało, że miał polskie pochodzenie). Otworzył mój dziennik na jakiejś stronie i kazał mi czytać. Nie wiem, czy wiele rozumiał po polsku, ale uważnie słuchał i patrzył mi prosto w oczy, czy nie jąkam się lub czy nie omijam jakiegoś zdania. Był u mnie kilka razy i często pod pretekstem jakiegoś wydarzenia na okręcie prosił, bym przeczytał, co o tym napisałem.

Minęła jeszcze doba i główny mechanik pozwolił mi wrócić do pracy. Byłem już bardziej ostrożny i Fiedia również uważał na mnie, abym nie zrobił jakiegoś nowego głupstwa.

Po każdej wachcie stawałem się pewniejszy w pracy. Czułem, że opanowałem ten zawód. Zacząłem szukać sposobów, jak ułatwić sobie pracę. Wszyscy palacze byli zdrowi, silnie zbudowani. Po wrzuceniu dziesięciu łopat węgla do każdego pieca otwierali kurek syfonu (rura z parą w kominie, która wypuszcza dym i powoduje szybsze i lepsze spalanie węgla) i mogli odpoczywać do czasu, aż węgiel się spali. Ja ważyłem 60 kilogramów. Byłem najchudszy spośród moich współpracowników. Zrozumiałem, że drobny węgiel, rzucony grubą warstwą, zagłusza ogień jak mąka (nawet, gdy oblewa się go wodą), a bez syfonu, który również używa dużo pary, nie pali się w ogóle. Zacząłem więc szukać sposobu, aby ulżyć sobie w pracy. Teraz wrzucałem do pieców mniejszą ilość węgla, rozsiewałem łopatą cienką warstwę węgla po całej płaszczyźnie pieca. Powietrze od spodu szybciej dochodziło, lepiej się paliło, i po trochu zmniejszałem ilość pary w kominie. W końcu razem z Fiedią doszliśmy do tego, że przestaliśmy używać syfonu. Używaliśmy mniej węgla, mniej siły i potu,

a ciśnienie pary w kotłach było utrzymane na dobrym poziomie (14 atmosfer). Główny mechanik przechadzał się po pokładzie i zwrócił uwagę, że nie słychać syczenia syfonu pary w kominie. Wiedział, że ja jestem na wachcie. Zrozumiał, że znów coś nabroiłem. Wpadł jak strzała do kociegarki. Złym okiem spojrzał na mnie. Spojrzał na zegary i wskaźniki wody w kotłach i… wszystko było w porządku. Rozejrzał się jeszcze raz i nie zrozumiał. „Okręt stoi?", spytał. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do oddziału maszyn, widział, że maszyny są w pełnym ruchu. Okręt posuwał się normalnym tempem. Ciśnienie pary w porządku i nawet z małą nadwyżką. Znów wszedł do kociegarki. Fiedia odpoczywał, siedząc na schodach kociegarki, a ja spokojnie wrzucałem po dwie łopaty węgla do pieców. „Co tu się dzieje?", spytał. Fiedia wytłumaczył, że zmieniliśmy system pracy. Mniej pracujemy, mniej się pocimy i mniej węgla spalamy, a ciśnienie pary jest normalne. Nazajutrz, gdy Fiedia i ja byliśmy na wachcie, znów przyszedł. Rozglądał się, jak pracujemy. Wieczorem wezwał wszystkich kociegarów do „Krasnego Ugołka" (świetlica, w której odbywają się zebrania, odczyty, gry, można posłuchać radia), przedstawił naszą metodę pracy, polecił zmierzyć, ile skrzyń węgla spala każda wachta przez cztery godziny. Okazało się, że ja z Fiedią spalamy 30–40% mniej węgla. Oczywiście wszyscy zaczęli pracować naszym systemem. Miało to jednak i ujemne strony. Rury, którymi przechodzi dym, częściej zapełniały się sadzą. Na postojach gasiliśmy jeden kocioł i szlauchem z parą przedmuchiwaliśmy rury. Była to paskudna praca. Najadaliśmy się sadzą i po

takiej czystce byłem czarny jak kominiarz, a współpracownicy docinali mi za mój nowy system pracy.

Pewnego dnia podziwiałem krajobraz na mostku kapitańskim i rozmawiałem z łocmanem (sternikiem). Zimno, wiatr, falista rzeka. Dziesiąta w nocy. Tutaj jeszcze jasny dzień. Ciągniemy cztery barki. Okręt się kołysze. Przyszedł kapitan. Widać, że dopiero wstał ze snu. Popatrzył na rzekę, spojrzał na niebo, powąchał nosem. Kazał zawołać radistę (pracownik, który nadaje i przyjmuje radiogramy, słucha radia i przekazuje informacje kapitanowi). „Co mówią o pogodzie na naszym odcinku?", spytał. „Nie podali żadnych zmian", odpowiedział radista. Kapitan splunął, zaklął, pociągnął za rączkę syreny na alarm. Zbiegli się wszyscy marynarze. Niektórzy zaspani, bo dopiero co skończyli wachtę. Kapitan dawał rozkazy przez tubę. Zaczęła się latanina na okręcie i na barkach. Cała załoga była na nogach. Umacniali liny. Zaczęła się burza. Wicher zerwał brezent z barki. Zaczął podrzucać statkiem jak piłką. Z trudem zszedłem do swojej kajuty. Obawiałem się, by nie wpaść do wody. Pierwszy raz zacząłem wymiotować. Miałem zawroty głowy. Trzymałem się mocno krawędzi łóżka, aby nie upaść. Gdy Fiedia obudził mnie, aby wyjść na wachtę, było już po burzy. Rzeka była spokojna, tylko dwie barki siedziały na mieliźnie. Cała załoga pracowała, by je wyciągnąć na głęboką wodę. Kapitan okazał się doświadczonym wilkiem morskim.

Na jednej z barek, które ciągnęliśmy, jechały dziewczęta, które zwerbowały się do pracy na rzece Oleniok. Stanęliśmy przy brzegu wyspy Wostok, składającej się z samych

kamieni. Na brzegu widać było kilka jakuckich lepianek. Gdzieniegdzie unosił się dym. Na brzegu walały się rozrzucone kłody drzewa – materiał budowlany. Zbudują tutaj rybacki kołchoz. Rzeka w tym miejscu była bogata w ryby. Kilka osób kręciło się na brzegu. Przybiliśmy do brzegu. Kilka dziewcząt z barki przesiadło się na okręt i przyniosły ze sobą nową atmosferę. Załoga okrętu, która składała się z mężczyzn (tylko dwie kobiety pracowały na nim, tj. lekarka i kucharka [żona mechanika]) – odżyła. W „Krasnym Ugołku" (świetlicy okrętu) słychać teraz śpiew kobiet, śmiechy, tańce, zabawę. Dziewczęta były wygłodzone. Nasi chłopcy z okrętu zapraszali je do kajut, karmili je chlebem i miłością. Weselej się pracowało. Przyjemnie było po wachcie wejść do kajuty, gdzie czekała uśmiechnięta dziewczyna, ładnie zaścielone łóżko i czysto wyprana bielizna.

Dziewczyna o piwnych, smutnych oczach, o ciemnoblond włosach, z dwoma grubymi warkoczami zaprzyjaźniła się ze mną, gdy się dowiedziała, że jestem z Polski. „Mój ojciec też był z Polski". „Dokąd płyniecie?", spytałem. „Na tej barce dopłyniemy do Tiksi, a stamtąd przewiozą nas do roboty na rzece Oleniok. Obiecują dobre warunki życia". Rozumiała trochę po polsku i marzyła, by kiedyś wrócić tam, gdzie urodził się jej ojciec, gdzie kwitnie bez i rosną soczyste gruszki. Tak opowiadał jej ojciec. Opowiadałem jej o łagodnym klimacie Polski, o pięknej wiośnie, kwitnącej czereśni, zapachu bzu i akacji. Czas przyjemnie uciekał, gdy razem marzyliśmy o powrocie do Polski. Jej ojciec umarł. Matka wyszła ponownie za mąż, a ona

wychowała się w sierocińcu. Nie zaznała wiele ciepła w życiu. Krótka była nasza przyjaźń. Musiała wrócić na barkę, bo kapitan zabronił pobytu dziewcząt na okręcie.

Na północy lody się jeszcze nie rozeszły na rzece i nie można było na razie płynąć do Morza Łaptiewów, do portu Tiksi. Przeto dostawaliśmy polecenia przez radio, aby przewozić barki z węglem albo materiałami budowlanymi z jednego osiedla do drugiego. Więc kierowaliśmy się na północ i z powrotem do kopalni węgla w Sangar. Mijaliśmy dzikie i piękne krajobrazy. Podziwiałem piękno natury. Miejscami rzeka była tak szeroka, że nie było widać drugiego brzegu. Czasami rzeka przepływała między wysokimi górami i echo maszyn odbijało się i wracało na okręt. Bardzo rzadko widać było jakieś biedne osiedle. Na brzegach widziało się jeszcze czasami całe góry brudnego lodu, które rzeka zostawiła, gdy poziom wody opadał. Często ukazywały się ośnieżone szczyty gór, wysokie skały o legendarnych kształtach. Niekiedy z rzeki wyłaniały się wyspy – gołe, skaliste i czerwone od blasku zachodzącego słońca.

W dzienniku opisałem wydarzenia tych dni. Przywołuję tutaj jego fragmenty:

23/6/42

Jedziemy na północ. Silny wiatr. Kołyszemy się. Zimno. Godzina wpół do dwunastej w południe. Ciągniemy dwie tysiąctonowe barki. Jedna barka napełniła się wodą,

znajduje się tylko 60–70 centymetrów nad wodą. Stoimy u brzegu. Pompy z naszego okrętu wyciągają wodę z barki. Stoimy u podnóża stromego brzegu. Skała równa – jak nożem uciął – unosi się jakieś 150 metrów nad brzegiem wody.

24/6/42

Wtorek. O trzeciej nad ranem wyruszyliśmy w drogę. Silny wiatr. O godzinie szóstej rano przystąpiłem na wachtę. Kołysanie okrętu jest tak silne, że z trudem utrzymuję się na nogach, gdy wrzucam węgiel do pieca. O wpół do ósmej rano stanęliśmy przy piaszczystym brzegu. Nie można płynąć przy takim wietrze. Na dzikim brzegu rosną tylko dwa drzewa i wyglądają jak strach na wróble na zasianym polu.

26/6/42

Czwartek. Przybyliśmy do Bułunu. Znów silny wiatr. Miałem wachtę od dwunastej w nocy do czwartej nad ranem. Właściwie nie ma tu nocy o tej porze roku. O dwunastej w nocy słońce świeci na północy, nisko na horyzoncie, tak że można czytać przy świetle dziennym przez całą dobę. Tylko tarcza zegara na okręcie, podzielona na 24 godziny, pozwala odróżnić, czy to południe, czy północ. W pewnej odległości od nas stoi okręt z ludźmi wysiedlonymi z Finlandii. Przeważnie kobiety. Wiozą je na północ, na połów ryb. Jadą tam również zwerbowani rosyjscy rybacy. Żal mi ich. W Bułunie ładowaliśmy węgiel na okręt. Nosiłem węgiel w workach na ramieniu z barki, do której

podpłynęliśmy. Jestem skonany. Pojechaliśmy do posiołka Kjusar oddalonego o 7 km od Bułunu. Tam przyczepili trzy puste barki, które powieziemy na południe – przeciw prądowi. Kjusur to piękna miejscowość – otoczona wysokimi wierzchołkami gór pokrytymi śniegiem. Z jednej strony piaszczysty brzeg, a z drugiej strony stroma jak nożem uciął skała spuszcza się do wody, w spokojnej wodzie widać jej odbicie. Nie mogę się oderwać od tak pięknego widoku.

Noc z 27 na 28/6/42

Godzina pierwsza w nocy. Piszę przy dziennym świetle. Kierujemy się na południe – 4–5 kilometrów na godzinę. O dwudziestej czwartej skończyłem wachtę. Nie chce mi się spać. Płyniemy blisko skalistego, wysokiego brzegu. Na wierzchu rośnie zielony las. Rzeka w tym miejscu jest bardzo głęboka i ma mniej więcej 4 kilometry szerokości (tak mówi łocman). Nad rzeką lecą mewy. Jest tu dużo ryb. Nie chciałbym tu być w zimie. Ostatnio często mi się śnią rodzice. Kiedy my do nich wrócimy? Obyśmy ich zastali zdrowych i mogli opowiedzieć nasze przeżycia stąd, miejsca znajdującego się tak blisko bieguna północnego. U nas w Polsce jest teraz piąta po południu. Rodzice nie śpią i ja nie śpię. Gdybyśmy się choć z daleka mogli zobaczyć… Czy oni też są syci jak ja? Gdy przypominają mi się rodzice, wciąż brzęczą mi w uszach słowa ojca: „Czy ich jeszcze zobaczę?…”.

3/7/42

Wczoraj byliśmy w Natary. Załadowaliśmy 45 ton węgla. Pomogli nam miejscowi robotnicy. Dziś piękna pogoda. Jedziemy blisko zalesionego brzegu. Pełno komarów różnych gatunków; podobne do motyli, to znów duże muchy i inne rodzaje. Ale najwięcej dokuczają nam te maleńkie komary. Wlatują do ust, nosa, uszu, za koszulę, do jedzenia. Jestem już cały pogryziony. W nocy palimy w kajucie kopciłką (szklany słoik z naftą z zapalonym knotem). To trochę pomaga, ale głowa boli i w nosie mam sadzę. Opanowałem już zupełnie czyszczenie pieców. Pomimo że teraz łatwiej czyścić nowym sposobem, to pot mi zalewa oczy. Słony pot. Mam czerwone oczy. Bolą mnie. Gdy Fiedia widzi, że jestem zmęczony, podchodzi, z uśmiechem odbiera ode mnie łopatę i mówi: „Odpocznij na pokładzie". Wyszedłem na pokład. Ładna pogoda, z brzegu owionął mnie zapach wiosny – jak w Polsce. Rozkoszny zapach. Na brzegu kwitną białe i różowe kwiatki. Pełno zieleni. Wysoka, zielona trawa. Tylko tych przeklętych komarów u nas nie ma. Dzika, niezaludniona, ale piękna jest Jakucja w lecie. Surowa i groźna w zimie. Niekiedy można przepłynąć 100 kilometrów i nie zobaczyć na brzegu ani jednego domku. A przecież główny trakt prowadzi po Lenie. Daleko od brzegu tereny są zupełnie niezaludnione. Nieraz można zobaczyć przy brzegu kilka jurt, w których mieszkają Jakuci. Jurta jest to coś w rodzaju pałatki ze skór zwierzęcych. We wnętrzu na ziemi również wyściela się skóry zwierząt. Śpią na ziemi i nakrywają się również skórami. Są również

domki innego rodzaju – oblepione ziemią, a wewnątrz skórami. W zimie wstawiają do środka piece. Dymu tam jest wiele, ale ciepło. Jakuci wędrują z miejsca na miejsce. Zajmują się przeważnie myślistwem i hodowlą jeleni. Są podobno bardzo gościnni. Wielu z nich choruje na jaglicę.

21/7/42

Wczoraj znów byliśmy w kopalni węgla w Sangar. Miejscowi pracownicy załadowali nam około 50 ton węgla. Jedziemy z prądem na północ. Niebo pogodne, ale zimno. Nie można wyjść na pokład bez kufajki. W tej okolicy słońce już zachodzi na godzinę. W nocy śnili mi się rodzice. Tatuś siedział w kącie, a mama coś robiła przy stole. Martwili się, że Fela nie ma butów. Powiedziałem im: „O nas się nie martwcie. Jakoś już blisko trzy lata żyjemy na poniewierce i nie chodzimy boso. Dbajcie o siebie. Wam trudniej żyć z Niemcami. Chciałbym, abyście wy mieli tyle jeść i byli przynajmniej ubrani jak my" i… przebudziłem się. Chciałem jeszcze raz usnąć, by ich choć we śnie zobaczyć, ale senność odeszła. Widzę ich w swojej wyobraźni – zmartwionych. Chciałbym ich pocieszyć, że Fela ma buty – ale jak…

Godzina jedenasta, wieczór. Piszę jeszcze przy dziennym świetle. Silny wiatr rozszalał się. Mocno się kołyszemy. Zszedłem do kajuty, aby opisać piękny i groźny widok. Zachodzi czerwone słońce. Ostatnim blaskiem oświeca spienioną, wzburzoną wodę. Jedziemy środkiem rzeki. Do brzegu mamy prawie 4 kilometry. Czerwono oświetlony

skalisty brzeg stwarza obraz jak gdyby tańczących diabłów, przy akompaniamencie szumu wzburzonej rzeki z czerwono pieniącym się grzebieniem. Fale podrzucają okręt, jak gdyby razem z diabłem tańczył piekielne tango. Trzymam się stołu, aby nie upaść.

31/7/42

Piątek. Rzeka staje się węższa. Po obu stronach brzegu wznoszą się wysokie kamienne góry. Las rzednie. Drzewa stają się podobne do krzaków. W szczelinach między górami leży śnieg. Natura stwarza legendarne kształty – jak gdyby rzeźbione w skałach. Wierzchołki gór zasłania gęsta mgła. Trzecia po południu. Na brzegu leżą grube kry brudnego lodu. Zaczyna padać śnieg. Mechanik mówi, że dziś jest pierwszy sierpnia. Trudno tu liczyć dni, gdy nie ma nocy.

2/8/42

Dwunasta – raczej dwudziesta czwarta w nocy, choć tu jest dzień. Stoimy. Gęsta mgła, nie można płynąć. Przed nami „Polarny Słup". Jest to wyspa wystająca z rzeki – ogromna skała niezarośnięta żadną roślinnością. Tak jak i inne – pochodzenia wulkanicznego. Na północ od tej wyspy jest już rejon polarny. Za cały czas pobytu na północ od tej wyspy będą nam płacić o jakieś 25% więcej pieniędzy. O siódmej rano mgła uniosła się trochę i popłynęliśmy dalej, i o dziewiątej stanęliśmy przy brzegu. Zostawiamy tutaj cztery

puste barki i wracamy na południe. Na pustym brzegu przebiegły cztery psy. Powiedzieli mi, że tutejsi mieszkańcy hodują psy, które zaprzęgają do sań i to jest jedyna komunikacja w zimie. Na brzegu spotkaliśmy Walę i inne kobiety, które były u nas na okręcie. Teraz inny okręt prowadzi ich barkę. Jedna kobieta z ich grupy umarła i pochowali ją na brzegu. Pożegnaliśmy się z Walą jak bliscy przyjaciele. Żal mi było tej dziewczyny. Nie wiadomo, jaki los ją czeka. Opowiadałem jej o mojej Emie i życzyliśmy sobie, aby nas los spotkał w drodze powrotnej do Polski. A w myśli powtórzyłem słowa ojca: „Czy ją jeszcze zobaczę?…". Wróciłem wraz z innymi chłopcami na okręt. Ruszyliśmy w swoją drogę. Silny wiatr wraz z ulewnym deszczem podrzucał naszym okrętem jak piłką. W kajucie iluminator (okrągłe okienko) nie był dobrze zamknięty i uderzenie fali otworzyło okno. Strumień wody wtargnął do kajuty, zalewając nasz dobytek. Widocznie przyroda opłakuje i złości się na surowy los tych kobiet, a może i na mój los.

5/8/42

Zbliżamy się do osiedla „Oleńka". Osada rybacka. Mamy tam zostawić 250 ton materiału budowlanego. Jakieś 10 kilometrów przed osiedlem mieszkańcy, ubrani świątecznie, witają nasz okręt jako pierwszy zwiastun świata. Idą po brzegu, tańcząc i śpiewając przy dźwiękach bajana (akordeonu) i witają nas, wymachując kolorowymi chustkami w kierunku załogi okrętu. Na brzegu, po wyładowaniu ładunku, ludność miejscowa ugościła nas piciem, rybami

i mięsem. Jesteśmy pierwszym okrętem, który tu zawitał po długiej, prawie dziesięciomiesięcznej zimie. Rzeka w tej miejscowości obfituje w ryby. Doświadczeni rybacy za jednym zarzuceniem niewodu wyciągają około jednej tony ryb. Są tu takie ryby, jak nelma albo nalim, których waga dochodzi do 250 kilogramów. Są również ryby bez ości, bardzo smaczne – sterledzie. Ich waga dochodzi do 100 kilogramów. Ale najpopularniejszą rybą jest kondiówka – mała, waży około jednego kilograma, bardzo smaczna. Kapitan kupił u miejscowej ludności mięso i ryby po taniej cenie dla załogi okrętu. Czerpiemy z rzeki słodką wodę do ogromnych kotłów, byśmy mieli co pić, bo zbliżamy się do Morza Łaptiewów – Oceanu Lodowatego.

10/8/42

Płyniemy Morzem Łaptiewów. Z prawej strony stromy górzysty brzeg, a z lewej tylko morze, pływają po nim wyspy lodu – lodowce – o różnych kształtach. Strach przybliżyć się do nich, bo tylko jedna trzecia jest na powierzchni, a dwie trzecie w wodzie. Pogoda wyjątkowo ładna. Bardzo rzadko się to tutaj zdarza. Woda gładka i niesłona. Kapitan mówi, że woda jest słona, gdy jest przypływ, co zdarza się dwa razy na dobę. Dziś mamy 8°C ciepła. W sierpniu, mówi kapitan, są tutaj najcieplejsze dni. Do portu mamy jeszcze około 30 kilometrów. Widać go już przez lornetkę. Okrętów morskich jeszcze nie widać, bo lód jeszcze się nie rozszedł.

11/8/42

Wczoraj po południu zakotwiczyliśmy w Tiksi. Dzisiaj wyjątkowo ciepło +1°C. Czyścimy kotły i ładujemy tutaj węgiel. Bardzo ciężka i brudna praca.

Po południu, zamiast odpocząć po ciężkiej pracy, chciałem zobaczyć miasto. Poszedłem więc na brzeg. Pochmurno, ale wyjątkowo ciepło. Spociłem się w kufajce. Port jest dość ładnie rozbudowany. Wysoki brzeg, jednopiętrowe, ładne domy. Wiele zakładów pracy. Ruch – jak to w porcie. Z jednej strony słychać stukot młota kowalskiego. Z drugiej strony dźwięki motoru radiostacji. Dalej ciężko dyszy auto, wspinając się pod górę. Na samej górze słychać piłę, która rżnie drzewo. Opodal lecą oślepiające iskry spod ręki spawacza. Grzechocą dźwigi podnoszące ciężary. Na ulicy ruch. Ludzie, spiesząc się, przechodzą koło mnie. Rozmawiają głośno. Klekoczą furmanki jadące do brzegu. Gdzieś słychać głośnik radiowy na słupie. Chodzę i czytam wszystkie szyldy. Szukam sklepu. Nareszcie, dopytawszy się ludzi, znalazłem magazyn. Oprócz dwóch paczek papierosów i kalendarza nic więcej nie mogłem dostać. Rozejrzawszy się w kalendarzu, zauważyłem, że niewłaściwie datuję dni w moim dzienniku. Łatwo się pomylić, gdy nie ma nocy i pracuje się cztery godziny, a odpoczywa dwanaście. Szukałem sklepu tylko po to, aby kupić zeszyt, bym mógł dalej pisać swój dziennik, ale niestety nie udało mi się go dostać. Zeszyty przydziela są tylko szkołom – powiedzieli. Idąc z powrotem na okręt, widziałem na centralnym placu dużą i ładną rzeźbę. Zmęczony i rozczarowany

wróciłem na okręt. Mam nadzieję, że nie obudzą mnie do dwudziestej czwartej.

14/8/42

Chwała Bogu jedziemy już z powrotem. W Tiksi prawie że nie odpocząłem. Gdy wróciłem na okręt po spacerze po lądzie w Tiksi, myślałem, że pośpię parę godzin, ale zaraz mechanik zawołał mnie i Fiedię do czyszczenia kotła. Mieliśmy również przykry wypadek. Jeden z naszych kociegarów zamiast wypuścić wodę z kotła pogaszonego pieca przez pomyłkę wypuścił wodę z oczyszczonego kotła, który był już pod ciśnieniem pary 3 atmosfer i tylko cudem nic się nie stało. (Dziękowałem Bogu, że to nie ja to zrobiłem). Musieliśmy ręcznie pompować wodę do jednego kotła, bo zostały pogaszone obydwa kotły.

Zdążyłem już trochę odpocząć. Teraz wszystko już w porządku. Jesteśmy przy ujściu Leny do morza. W tym miejscu rzeka rozdziela się na odnogi i tworzy deltę szeroką na około 120 kilometrów. Są tutaj jeziora, dokąd przylatują dzikie kaczki. Jest ich tu bardzo dużo. Kapitan opowiadał, że bywają takie okresy, gdy kaczki się pierzą i nie potrafią fruwać. Jakuci wykorzystują ten okres. Płyną po jeziorze łódką i długim kijem łowią kaczki na mięso. Kapitan kupił dla załogi kilkanaście takich kaczek. Kucharka ma teraz pełno roboty z nimi. W tej okolicy nic nie rośnie. W Tiksi pośliznąłem się i czułem lód pod nogami.

27/8/42

Wróciliśmy na południe do kopalni węgla w Sangar. Pozwolili nam zejść na brzeg. Jakoś dziwnie i niepewnie się chodzi po lądzie po długim przebywaniu na okręcie. Miejscowi pracownicy ładują węgiel na nasz okręt. Poszliśmy do sklepu. Można kupić tylko spirytus, zapałki i kiełbasę. Ja oczywiście kupiłem kiełbasę, a nasi chłopcy spirytus.

Po powrocie na okręt zaczęli pić, biesiadowali w świetlicy. Przyprowadzili z brzegu dziewczęta. Harmonia była w ruchu. Dziewczęta śpiewały i tańczyły. Następnie rozeszły się do kajut. Dopiero o północy przyszedł kierownik portu i wyganiał je z łóżek na brzeg. Nad ranem ruszyliśmy znów na północ. Nasz okręt wraz z okrętem „Szczecinkin" ciągnie teraz długą tratwę z pni drzew, długą prawie na 500 metrów. Tratwa wije się po rzece jak olbrzymi legendarny wąż. Nasze okręty właściwie dają tylko kierunek, aby nie rozleciała się na skalistym brzegu. Na tratwie mieszka w domku z desek załoga składająca się z czterech osób i w razie potrzeby odpychają tratwę długimi drągami od brzegu. Tratwa płynie z szybkością prądu. Przejeżdżaliśmy na odcinku rzeki, gdzie pracuje na motorówce moja siostra. Stałem długi czas na mostku i spoglądałem w nadziei, że może ją zobaczę, ale nie udało się. Nie mam żadnych wiadomości od niej i małej Feli. Chcę wierzyć, że u nich wszystko w porządku. Tęsknię za nimi.

Staje się zimno. Tutaj nadchodzi zima. W nocy jest już ciemno i codziennie zmrok zapada o dwadzieścia minut wcześniej.

ZORZA POLARNA

10/9/42

Minęliśmy „Polarny Słup". Znów zbliżamy się do portu Tiksi. Termometr na mostku kapitańskim wskazuje +2°C, a w nocy −2°C. Temperatura wody w rzece +7°C. Dobrze, że w kociegarce ciepło. Skończyłem pracę w nocy i poszedłem spać. Obudził mnie Fiedia. „Misza, wstawaj, wyjdź na pokład, zobaczysz zorzę polarną". Wyszedłem na mostek kapitański, spojrzałem w niebo i wydawało mi się, że niebo drży. Coś jak gdyby przeźroczyste firanki, falami przesuwają się po niebie w ciemnoniebieskim kolorze. Z komina unoszą się do nieba czerwone iskry. Dużo ich. Rozsiewają się jak gwiazdy po niebie i nikną. Za nimi następują inne. Gwiazdy dziwnie migocą. Ten sam widok widzę pode mną w wodzie. Stoję jak wryty. Piękno i strach. Słyszę bicie własnego serce. Koledzy mówią: „Spóźniłeś się, zorza minęła, ale może się wznowić". Stoję i patrzę na niebo, które powoli zaczyna się uspokajać. Gwiazdy świecą. Niedźwiedzica wydaje mi się bliższa niż u nas w Polsce. Zimno. Zamierzałem już zejść do kajuty, gdy nagle od północy zaczęła się do nas zbliżać czerwona, przeźroczysta chmura. Zasłoniła okręt. Spojrzałem na kolegów. Ich

twarze czerwone. Moje ręce czerwone. Gwiazdy na niebie także czerwono świecą. Oczy bolą. To samo zjawisko jest w wodzie. Nade mną i pode mną w wodzie groźny, a jednocześnie wspaniały widok. Tylko skalisty brzeg rzeki świadczy o tym, że jestem na ziemi. Powoli czerwona chmura unosi się w górę i mija nas. Za nią od bieguna nadchodzi błękitna, przeźroczysta zasłona, a za nią żółta, fioletowa i inne, które wznoszą się ku niebu. Kolor twarzy kolegów, gwiazdy na niebie, iskry z komina nabierają koloru przeźroczystej chmury. Świetlne, kolorowe zasłony jak fale mijają okręt, wznoszą się w górę i nikną na południe. Teraz całe niebo zasłonięte jest kolorowymi, świetlnymi zasłonami. Jasne na północy od bieguna i coraz ciemniejsze na południu nieba. Kolorowe niebo i gwiazdy drżą. Jak gdyby ogromna kolorowa korona zasłaniała półkołem niebo od północy. Drżę ze strachu, piękna i zimna. Sam sobie nie wierzę. Czy żyję? Czy śnię? Czy tylko moja dusza to widzi? Powoli, powoli, niebo zaczyna ciemnieć i nastaje normalna, gwiaździsta, ciemna noc. Wtem z północy wznosi się ku niebu świetlisty pas, jak gdyby okręt reflektorem szukał czegoś na niebie. Następnie nadchodzi świetlny pas, trzeci, dziesiąty, setny. Teraz całe niebo od północy oświetlone jest takimi reflektorami. Staje się jasno na tyle, że można czytać książkę. Następnie światła zaczynają falować na niebie. Wygląda to tak, jakby ktoś rzucił kamień do spokojnej wody w jeziorze – woda zaczyna kołami falować – tak promienie światła falują na niebie. Oczy bolą od tego widoku. Niebo faluje nade mną, a moje serce bije w rytm tych fal. Widzę piękne zjawisko natury, którego człowiek

nie jest w stanie opisać – jego majestatu, piękna i własnego uczucia strachu. Powoli niebo ciemnieje i nastaje zwykła, ciemna noc. Stoję jeszcze jak przygwożdżony i słucham kapitana. W tych okolicach, gdy zaczynają się noce albo w zimie, gdy noce trwają ponad miesiąc, pojawiają się zorze. Są to słoneczne, magnetyczne fale, które biegun północny przyciąga. Podczas zorzy polarnej strzałka kompasu nie wskazuje prawidłowo północy. Strzałka po prostu tańczy po tarczy kompasu jak pijany człowiek. Są również zakłócenia radiowe. W radiu słychać tylko trzaski i zgrzyty. Okręt na morzu nie ma żadnego kontaktu ze światem. Zmarznięty, pod wrażeniem zjawiska natury zszedłem do ciepłej kajuty, by za dwie godziny znów wyjść na służbę.

JOM KIPUR NA OKRĘCIE W KRĘGU POLARNYM

Jesteśmy już trzeci raz w porcie Tiksi. Za pierwszym razem byliśmy tu 10 sierpnia. Nie było jeszcze morskich okrętów. Drugim razem byliśmy 5 września. W porcie stały duże okręty morskie, a dookoła oblepione barki. Wyglądało to jak kura z kurczętami. Dźwigi pracowały, zgrzyt, nawoływanie. Rzadko było widać z daleka lodowce. Trzecim razem weszliśmy do portu 12 września. Port Tiksi jest czynny tylko jeden albo półtora miesiąca, a przez resztę roku woda jest zamarznięta. Podczas gdy port jest czynny, przypływają tu amerykańskie okręty przez Cieśninę Beringa oraz okręty z zachodu Morza Północnego. Amerykańskie okręty odprowadzają do portu łamacze lodu. Przeważnie przywożą dla Związku Radzieckiego sprzęt technologiczny i wojenny oraz produkty. Barki, które sprowadza się do portu z materiałem budowlanym albo węglem, wrócą stąd naładowane nowoczesnym sprzętem wojennym, ciężarowymi autami firmy Chevrolet i Studebaker i innymi nowoczesnymi maszynami oraz białą mąką, cukrem i konserwami. Podprowadziliśmy puste barki do ogromnych okrętów morskich. Zazdrościłem załodze amerykańskiego okrętu, że są ładnie ubrani, uśmiechnięci i wolni. Zabraliśmy naładowane barki, przeważnie nakryte brezentem.

Wiedzieliśmy, że tam są tanki albo inny tajny sprzęt wojenny. Życzyłem sobie w duchu, aby ten dotarł na front i pomógł Stalinowi pokonać Hitlera.

Nareszcie okręt podniósł kotwicę i ruszyliśmy w powrotną drogę do Jakucka. Więcej w tym roku nie będziemy w Tiksi. Nadchodzi zima i trzeba się spieszyć, aby dopłynąć do Jakucka przed zamarznięciem rzeki.

Na wierzchołkach gór leżał już tegoroczny śnieg. Stale jeszcze podziwiałem piękno natury. Miałem już swój kącik na mostku kapitańskim, gdzie lubiłem spoglądać na wodę, na dwa pieniste pasy fal, które okręt zostawiał za sobą, na kolory gór, które świadczą o znajdujących się w nich niewykorzystanych minerałach. Kapitan Kiruszkin polubił mnie i chętnie ze mną rozmawiał. Kapitan opowiadał, że w tych okolicach, w latach dwudziestych, gdy na rzece ruszyły lody, oberwał się brzeg i bryła zamarzniętej ziemi runęła do wody. Na spadzistym, oberwanym brzegu stał w ziemi zamarznięty mamut. Podobno psy jadły z apetytem jego mięso. Mamut zachował się w nienaruszonym stanie dziesiątki tysięcy lat. Podobno wiele kości z mamutów znajduje się w tej okolicy. W muzeum w Jakucku widziałem szkielet mamuta wykopany w tej Republice. Są tam również różne rzeźby z kości mamuciej, które wyrabiają Jakuci. Jeden z naszych kociegarów opowiadał, że dwa lata temu pracował na okręcie na rzece Oleniok i z kolegą znaleźli kość mamuta. Chcieli ją zabrać na okręt, ale droga do okrętu przez krzaki i błota była uciążliwa, zostawili więc tę kość z myślą, że następnym razem, jeśli będą w tej okolicy, zabiorą ją na okręt.

Dwudziestego pierwszego września mieliśmy uszkodzenie w maszynach i zmuszeni byliśmy zakotwiczyć okręt przy brzegu osiedla „Bykownego". Wiedziałem, że mieszkają tu Żydzi zesłani z Litwy. Dostałem zezwolenie wraz z dwoma kolegami, by zejść na brzeg. Byłem ubrany w kufajkę, watowane spodnie i czapkę ze spuszczonymi nausznikami – wyglądałem jak prawdziwy Rosjanin. Weszliśmy do drewnianego domku. Kobieta zdjęła z ręki pierścionek, pokazała koledze i zaczęli się targować o cenę. W końcu kobieta powiedziała po żydowsku do męża „Chapt im der lajwel. Gib im awek" (Oddaj mu i niech się wynosi). Uśmiechnąłem się. Kobieta spojrzała na mnie, jak gdyby chciała oczami wejść do mojego serca, i spytała: „Amchu?" (Nasz?). „Amchu", odpowiedziałem. Wszystkie zasłony spadły. Zaczęliśmy rozmawiać po żydowsku. Kto ty jesteś? Skąd przyjechałeś? Co tu robisz? Odpowiedziałem na wszystkie pytania. Pierwszy raz spotykają Żyda nie ze swojej grupy. Z kolei zacząłem słuchać ich opowiadania. Zesłali ich jako kapitalistów. Sowieci zabrali im cały dobytek i zesłali tutaj – na koniec świata. Nic tu nie rośnie. Brak witamin. Wielu z nich choruje na szkorbut, dyzenterię i tyfus. Tylko ryby tu można łowić w lecie.

Sąsiedzi dowiedzieli się, że jest w osiedlu Żyd z Polski, przyszli zobaczyć to dziwo. Rozmawialiśmy po żydowsku i czułem bliskość z tymi ludźmi. Łączy nas wspólny los. Opowiadali, że w zimie posłali dwóch chłopaków z milicjantem na wyspę „Polarny Słup", oddalonej o około 80 kilometrów, aby postawić tam znaki dla okrętów. Szli po zamarzniętej rzece. Zrobiła się straszna zawierucha i śnieg

ich zasypał. Tylko jeden wrócił, na wpół żywy. Zabrali mnie do chaty, abym go zobaczył. Leżał w łóżku, spuchnięty. Tylko oczy patrzyły na mnie. Coś bełkotał, ale nie rozumiałem. Zgarbiona i pomarszczona matka opiekowała się nim. „Zobacz, co z nim zrobili. Jeśli przeżyje, będzie kaleką". Zbliżyła się do mnie. Chwyciła mnie za rękaw, podniosła głowę, spojrzała mi w oczy i powiedziała: „Jeżeli jeszcze będzie świat, opowiedz, co zrobili z moim synem". Pożegnałem się i wyszedłem ze łzami w oczach.

Żydzi odprowadzili mnie na brzeg do okrętu. Nie wiedziałem, kiedy w tym roku wypadają święta, jednak musiał już zbliżać się ten czas. Teraz miałem okazję dowiedzieć się. Wiedziałem, że są tutaj też pobożni Żydzi. Spytałem jednego, który mówił, że codziennie modli się i odmawia kadisz po matce. „Dzisiaj jest *erew Jom Kipur*" (dzień przed Sądnym Dniem), odpowiedział. Jakiś dzwon alarmowy zadzwonił mi głowie. Nie dochodziły już do mnie ich opowiadania. Moje myśli były już daleko. Tam, gdzie była moja rodzina. Tam, gdzie grasują teraz hitlerowscy zbrodniarze. Pożegnałem się z moimi towarzyszami niedoli i wróciłem na okręt do swojej kajuty. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Co myślą teraz moi rodzice? Co porabiają moje siostry? Miriam, Regina i mała Leale? Gdzie teraz znajduje się Ema? Gdzie teraz Berlfainowie? Gdzie cała rodzina? Gdzie moja siostra Fela? Zostałem sam jeden. Daleko. Blisko bieguna północnego. Prawie na końcu świata. Nie mam się z kim podzielić moim bólem, tęsknotą i myślami. Już blisko trzy lata. Trzy lata wałęsania się w obcym, surowym i nieznanym mi świecie. Już

trzeci Jom Kipur poza domem. Moje myśli i serce są tam… z nimi. Przypominam sobie, jak szliśmy z ojcem w noc przed Jom Kipur do synagogi na *slichot* (modlitwy przebaczenia). Przypominam sobie ten uroczysty nastrój połączony z trwogą, nadzieją i modlitwą o korzystny, przyjazny, dobry wyrok. O zdrowy i dobry rok dla całej rodziny i świata. Przypominam sobie, jak w *erew Jom Kipur* szliśmy za miasto na cmentarz, aby prosić o przebaczenie nad grobami dziadka i babki ze strony mamy, jak stałem nad grobem wujka Moszego, który umarł przed moim urodzeniem i ja noszę dla pamięci jego imię. Przypominam sobie, jak z podziwem oglądałem stare groby sprzed kilkuset lat. Błądziłem między dzikimi zaroślami i zdawało mi się, jak gdyby kamienne groby obrosłe zielonkawym mchem wyrastały z ziemi razem z wyrytymi literami żydowskimi. Żydowski cmentarz w Olkuszu jest starszy od żydowskiego cmentarza byłej stolicy Polski – Krakowa. Umarłych Żydów z Krakowa sprzed kilkuset lat sprowadzali i chowali na cmentarzu w Olkuszu – opowiadała mama. Mama – teraz dopiero rozumiem, ile ciepła, troski, trudu i miłości mieści w sobie to jedno słowo. Mamo, gdzie ty jesteś? Jedyną modlitwę wznoszę w ten Jom Kipur do Boga. Obyśmy się w nadchodzącym roku spotkali wszyscy razem w domu. Żywi i zdrowi. Obyśmy mogli opowiadać nasze przeżycia.

Przypomniałem sobie ostatni Jom Kipur w domu, kiedy to po raz pierwszy modliliśmy się z ojcem przy zasłoniętych oknach w domu. Poza domem była przerażająca cisza, którą od czasu do czasu zakłócały odgłosy butów hitlerowskich wojaków. Dwa lata temu odmawialiśmy modlitwę

Kol nidrei, głodni, zziębnięci w dzikim lesie, w drodze do posiołka Jur. W ubiegłym roku modliliśmy się w Jom Kipur we wnętrzu barki, na rzece Ałdan, w drodze do Jakucka. Tam byłem przynajmniej z siostrą. Teraz jestem na okręcie – syty, ale samotny. Nigdy nie lubiłem pościć. Pamiętam jeszcze, jak cztery lata temu zawołał mnie kolega w synagodze i powiedział na ucho: „Chodź ze mną do parku, schowałem tam dobrą wałówę. Pokrzepimy się". Nigdy nie byłem pobożny i jeżeli mogłem się wymigać, to wolałem spędzać czas z kolegami niż siedzieć na twardej ławce w synagodze i modlić się w niezrozumiałym mi języku.

Kucharka przyniosła obiad. To będzie ostatnia moja biesiada przed postem. Za dwie godziny mam wyjść do kociegarki – na wachtę. Opowiedzieć mojemu przyjacielowi Fiedii? A może lepiej powiem o święcie głównemu mechanikowi? I co ja im powiem? I co oni z tego zrozumieją? Naprawili maszyny. Okręt ruszył w dalszą drogę do Jakucka. Wyszedłem z Fiedią na wachtę. Zamiast odmawiać *Kol nidrei* zacząłem rzucać łopaty węgla do pieców w kociegarce. Za każdym razem, gdy otwierałem drzwi pieca, odmawiałem modlitwę, którą się mówi, gdy otwiera się szafę w synagodze, gdzie znajduje się Tora: „Ptach szaarej szamaim le-tfilatejnu" (Otwiera niebieskie bramy przed naszymi modłami). Lecz gdy otwieram drzwi, aby wrzucić węgiel, z wnętrza lecą iskry, wesoło trzaskają, a mnie się wydaje, że to taniec diabłów w piekle. Minęły cztery godziny ciężkiej pracy, modłów, rozmyślań i marzeń. Umyłem się w łaźni i wróciłem na łóżko do kajuty. Na stole czekała na mnie kolacja. Nie tknąłem jej. Usnąłem. We

śnie widziałem swojego ojca, a dookoła języki ognia plujące iskrami, które zamieniają znów płomienie, rozlewając się i paląc wszystko dookoła. Ojciec wygląda jak spalony szkielet. Z oczu rozpryskują się ogniste iskry. Z trudem wyciąga zwęglone dłonie i kładzie je nad moją głową, a z rąk unoszą się płomienie. Otwiera usta, nie ma zębów. Z trudem wymawia słowa błogosławieństwa. Jąka się, płacze. Nie rozumiem słów. Tylko wrzaski, trzask ognia i płacz dookoła. Biegnę do niego, chcę go objąć, ale moje ręce i nogi są bardzo ciężkie. Nie mogę się ruszyć. Ojciec oddala się w płomieniach. Jego ręce się wydłużają. Jeszcze mówi, błogosławi, ręce oddalają się razem z nim. Unosi się w górę, ku niebu, w ognistej karecie, jeszcze wyciąga ku mnie ręce. Krzyczę: „Tato, tato, gdzie mama? Gdzie wszyscy?". Czuję, że ktoś mną potrząsa. Otwieram oczy. Nade mną stoi uśmiechnięty Fiedia, który dopiero co wrócił z gry w karty. „Krzyczałeś, rzucałeś się. Co ci się śniło?". „Miałem niedobry sen", powiedziałem. Bo cóż mogłem mu powiedzieć. Zmrużyłem oczy. Nakryłem się razem z głową watową kołdrą. Drżałem z zimna. Jeszcze miałem straszny sen przed oczyma. Ojciec mnie błogosławił, tak było zawsze przed Jom Kipur. Ale dlaczego w ogniu? Dlaczego spalony? Dlaczego nie miał zębów? Co tatuś chciał mi zwiastować? Całą noc nie mogłem zasnąć. Różne myśli krążyły mi w głowie. Rano kucharka przyniosła śniadanie i widziała, że nie tknąłem kolacji. „Żołądek mnie boli", powiedziałem, aby ją odprawić. Wstałem i poszedłem do pracy. I znów ogniste języki w piecach nie dają mi spokoju. Fiedia mówi do mnie, a ja nie odpowiadam. „Gdzie ty

jesteś? – pyta. – Wydaje mi się, że twoja głowa jest gdzie indziej". Jom Kipur, a ja pracuję. Bardzo osłabłem przy tej ciężkiej pracy bez jedzenia. Jeszcze parę godzin i skończy się post. Nasi ludzie w Jakucku modlą się teraz razem. Moja siostra – gdzieś tam, też na Lenie, na pewno myśli o mnie i o rodzinie. Jej jest lżej, bo przynajmniej jest z małą Felą. Po południu wróciłem do kajuty. Dobra i serdeczna kucharka przygotowała mi dietetyczne jedzenie, a widząc, że nic nie tknąłem, zawołała do mnie lekarkę. Lekarka zbadała mnie i postanowiła, że mam zatrucie żołądka. Przyniosła mi jakieś lekarstwo do picia, a gdy odeszła, wylałem je przez okienko do wody. Wieczorem, gdy kucharka przyniosła mi ryżową kaszę, zdziwiła się, że spałaszowałem wszystko i talerze były puste. Stwierdziła, że lekarstwo mi pomogło. Minął trzeci Jom Kipur na obczyźnie.

SPOTKANIE Z SIOSTRĄ

Płynęliśmy pełnymi obrotami na południe. Kapitan ponaglał, aby dojechać do Jakucka przed zamarznięciem rzeki. Przystawaliśmy tylko na przystaniach, gdzie stały barki z węglem. Dziewiątego października mogłem skończy moją karierę w lodowatej wodzie Leny. A było to tak. Późno w nocy przycumowaliśmy do barki z węglem. Kapitan zmobilizował całą załogę, aby jak najszybciej załadować opał na okręt. Rosjanie – zdrowe chłopy – nosili na ramieniu siedemdziesięciokilogramowe worki z węglem. Ja walałem wozić węgiel taczkami. Ponieważ barka była już prawie pusta, była mniej zanurzona w wodzie, stała wyżej od okrętu. Z barki na okręt był położony (jak zwykle) wąski trap (most). Reflektor okrętu oświetlał pochyły mostek. Wszedłem z taczką z węglem na mostek, a ponieważ było pochyło, taczka jechała niemal sama. Ja nią tylko kierowałem. Byłem zaspany. Reflektor oślepiał. Prowadziłem taczkę przez pochyły trap, niechcąco uderzyłem krawędzią taczki o arkę okrętu, taczka się przechyliła i wraz ze mną wpadła do wody między burtami barki i okrętu. Nasi chłopcy to zauważyli i pobiegli po koła ratunkowe. Jeden kociegar krzyczał, bym złapał koniec worka. Złapałem, ale on nie dość mocno trzymał drugi koniec i wyśliznął

mu się z ręki. Syrena okrętu huczała na alarm. Reflektor skierowali do wody – na mnie. Rzucali koła ratunkowe na sznurach, ale reflektor oślepiał i nie mogłem złapać żadnego z nich. Tymczasem prąd ciągnął mnie już za okrętem. Byłem ubrany w watową kufajkę i takież spodnie. Dopóki wata nie nasiąkła wodą, mogłem się utrzymać na powierzchni. Ale zanurzałem się coraz bardziej i prąd oddalał mnie od okrętu. Widziałem już śmierć przed oczyma. Jeden z marynarzy odwiązywał łódkę, aby podpłynąć do mnie. Inni rzucali koła. Jeden rozbierał się, by wskoczyć do lodowatej wody. Nareszcie rzucili *bagor* (długą żerdź, która służy jako sprzęt przeciwpożarowy), który spadł koło mojej ręki i złapałem się żerdzi. Podciągnęli mnie sznurem do łódki. Byłem tak ciężki, że łódka zaczęła tonąć razem ze mną. Ale ludzie już byli na miejscu i wciągnęli mnie na pokład. Główny mechanik rozebrał mnie do naga na pokładzie. Ubranie kazał położyć na kotłach, by wyschło, a sam wziął mnie na ręce jak małe dziecko i zaniósł do łaźni. „Myj się", powiedział, a sam otworzył parę; zabrał kurek ze sobą i zamknął drzwi. Łaźnia szybko napełniła się parą. Zrobiło mi się gorąco. Zaczęło mnie szczypać w uszy. Podszedłem do drzwi, aby je otworzyć, ale były zamknięte, a za drzwiami stał główny mechanik i tylko się śmiał. „Otwórz, otwórz! *Job twoju mać*", krzyczałem a on nic tylko się śmiał. W końcu otworzył. Para trochę wyszła, wszedł do środka i wtedy zamknął parę. Owinął mnie szmatami, wziął na ręce i zaniósł mnie do łóżka w kajucie. Zawinął mnie kołdrą, otworzył parowe ocieplenie i wyszedł z kajuty. Za parę minut wrócił z butelką

i powiedział: „Lekarka posłała ci 200 gram spirytusu jako lekarstwo". „To dla ciebie. Raczej tobie się należy" powiedziałem. Śmiał się. „Przeszedłeś morski chrzest. Teraz należysz do marynarskiej rodziny". Dostałem gorączki. Kucharka mnie pilnowała. Zmuszała mnie co pół godziny do picia herbaty. Przynosiła mi przysmaki. Po dwóch dniach wstałem z łóżka i wróciłem do pracy.

Nadeszła zima. Na pokładzie mróz. Rzeka zaczynała zamarzać przy brzegach. Dni były krótkie. W nocy mróz dochodzi do 15°C. Nareszcie 13 października 1942 roku zakotwiczyliśmy przy brzegu w Zataju – niedaleko Jakucka. Tu mamy zimować do następnej nawigacji. Poprosiłem o zezwolenie na zejście na brzeg. Już cztery i pół miesiąca nie widziałem się z naszymi ludźmi. Chciałem usłyszeć, jakie są nowiny. Podczas nawigacji byłem odcięty od świata. Niestety – nie pozwolili mi pojechać do Jakucka, bo dostali polecenie popłynąć na północ, by pomóc okrętom przywieźć załadowane barki. Staliśmy parę godzin. Napisałem list do naszej cioci, siostry ojca, która wraz z rodziną zdążyła jeszcze przed wojną wyjechać do Palestyny. To był już trzeci list napisany do niej. Cieszyłem się, że chociaż ich rodzina zdążyła zagospodarować się na roli w Kfar Banach, w słonecznym kraju naszych ojców.

Znów ruszyliśmy na północ. Siedziałem w kajucie i obojętnym wzrokiem spoglądałem z okna na mijający nas krajobraz. Woda była gładka. Monotonne stukanie płetw kół w wodzie odbijało się od brzegu i wracało głuchym echem. Na pokładzie ktoś grał na harmonii i śpiewał pieśń o smutnej doli kociegara, a w mojej duszy panowała

pustka i beznadziejność. Przyszedł główny mechanik i zaproponował, abym z nim zagrał partię szachów w świetlicy. Chętnie się zgodziłem i wyszedłem z nim na pokład. Z daleka zauważyłem łódź motorową wykonującą prace hydrograficzne, która płynęła w naszym kierunku. Zatrzymałem się. Powiedziałem głównemu mechanikowi: „Na jednej z takich łodzi pracuje moja siostra". Łódź zbliżyła się na tyle, że mogłem zauważyć numer łódzi – 15, na której pracowała moja siostra. Nie spuszczałem oczu z motorówki. Nagle zauważyłem na pokładzie przebiegającą małą Felę. Krzyczałem z całych sił: „Fela, Fela!". Usłyszała, odwróciła się w moim kierunku. Pomachała rękami ku mnie, coś wołała i popłynęli dalej.

Byłem tak blisko siostry i nie widziałem jej. Już nie miałem w głowie gry w szachy. Przeprosiłem mechanika i pobiegłem do kapitana okrętu. „Tam, na motorówce, która nas minęła, pracuje moja siostra! – krzyczałem. – Nie mogłem jej zobaczyć". „Zaczekaj u mnie", powiedział i zszedł do kajuty, gdzie są urządzenia radiowe. Za parę minut wrócił. „Motorówka podpłynie do nas i pomoże nam przepłynąć przez wąskie koryto w tej okolicy", powiedział z chytrym uśmiechem. Nie minęło pół godziny, gdy podpłynęła i przyłączyła się do nas motorówka hydrografii nr 15. Moja siostra i mała Fela weszły po drabinie na pokład. Padliśmy sobie w objęcia, całowali i płakali z wielkiej radości. Załoga okrętu przyglądała się nieoczekiwanemu widowisku, gdzie brat z siostrą spotykają się po blisko pięciomiesięcznej rozłące w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Załoga okrętu i łodzi motorowej

patrzyła na nas i podziwiali piękno mojej siostry. Kapitan okrętu zaprosił głównego mierniczego z łodzi na mostek kapitański, a ja z siostrą i małą Felą zeszliśmy do mojej kajuty. Wypytywałem je, jak radzą sobie w pracy. Okazuje się, że większość załogi ich łodzi to kobiety, bo mężczyzn wzięli na front. Radzą sobie dobrze, nauczyły się obsługiwać motory, pracują przy nich i przełożony jest zadowolony z ich pracy. Opowiadałem o swoich przeżyciach i pytałem, czy mają jakieś wiadomości o naszych ludziach w Jakucku. Okazuje się, że nie wiedzą więcej ode mnie. Przyszedł Fiedia. Żartobliwie opowiadał, jak wpadłem do wody, jak niezdarnie łapałem rzucone koła ratunkowe, jak mechanik parzył mnie w łaźni. Przyszła kucharka, przyniosła smakołyki. Mechanik chwalił mnie, że szybo opanowałem pracę i jestem przodującym palaczem. Spotkanie szybko się skończyło. Zdążyły jeszcze mi powiedzieć, że zrobiły już pewien zapas sucharów i innych produktów na zimę. Pożegnałem się z nimi z nadzieją, że wkrótce spotkamy się w Jakucku, gdy rzeka zamarznie.

W połowie października zawiadomili kapitana, że nasz okręt dostał pierwszą nagrodę za ekonomię paliwa i za ilość przewiezionych towarów. W Jakucku czeka nas nagroda. Płyniemy teraz na południe. Ciągniemy za sobą dwie nowe amerykańskie metalowe barki z wmontowanymi dźwigami (lichtery). Są to pierwsze nowoczesne barki na Lenie. Stałem na pokładzie i oglądałem się dookoła. Okręty spieszyły na rzece na południe. Przed nami okręty ciągnęły za sobą nowe pasażerskie barki, jakich nie widziałem dotychczas, cysterny na naftę. Za nami okręty

ciągnące naładowane barki nakryte brezentem, nowe łodzie motorowe oraz inny sprzęt i maszyny, których nie znam i nie wiem, do czego służą. To wszystko pochodzi z Ameryki. To wszystko przywiozły amerykańskie okręty do północnego morskiego portu Tiksi, dla Związku Radzieckiego. Część tego nowoczesnego sprzętu posłuży dla fabryk zbrojeniowych i dla frontu. Nie biorą nas do wojska. Ale czuję, że ja także biorę udział w wojnie dla zwycięstwa Armii Czerwonej nad bestią hitlerowską. Wszystkie okręty spieszyły na południe. Widziałem również łodzie motorowe wykonujące prace hydrograficzne i wiedziałem, że jedną z nich płynie moja siostra.

Zima na karku. Woda przy brzegu już zamarza. Cienka warstwa wysepek lodu płynie z prądem na północ i rozbija się o kadłub okrętu. Spotykamy coraz więcej tych lodowych wysp. Coraz trudniej płynąć przeciw prądowi. Kapitan przynagla. Maszyny pracują na pełnych obrotach. Kotły muszą dać więcej pary, a ja muszę jeszcze więcej pracować. Na pokładzie zimno. W południe termometr wskazuje −5°C. Siedemnastego października przybiliśmy do brzegu w Zatonie, niedaleko Jakucka. Znajome mi miejsce. Tutaj okręt zakotwiczył, gdy nas wieźli na Jur. Tu wstąpiliśmy na ląd, gdy przybyliśmy z Minoru do Jakucka. Tu wstąpiłem na okręt „Wierchojańsk". Nie pozwolili nam jednak tu zimować.

Odczepiliśmy barki i próżno popłynęliśmy do Zataju, miejscowości oddalonej o około 10 kilometrów od Zatonu. Lód już nakrył prawie całą rzekę. Tylko w miejscach, gdzie prąd był silniejszy, widać jeszcze było wodę. Przód

okrętu oraz koła rozbijały lód. Posuwaliśmy się bardzo powoli. Okręt silnie się kołysał. Zima w pełni. Wszystko dookoła nakrył biały śnieg. Przy brzegu w Zataju stały już rzędem okręty i barki zamarznięte w lodzie. Przycumowaliśmy do brzegu. Mechanik polecił zgasić piece. Nawigacja się skończyła. Teraz trzeba czyścić kotły, rozbierać maszyny, zamieniać uszkodzone części. Żmudna i nieciekawa praca. Przeniosłem swoje manatki do wspólnego domu kawalerów i tam zamieszkałem z większością naszej załogi.

Po kilku dniach dostaliśmy zaproszenie do jakuckiego teatru na uroczyste zakończenie nawigacji i rozdanie nagród. Załoga naszego okrętu została wyróżniona. Ja dostałem pierwszą, kapitan drugą, a mechanik trzecią nagrodę. Wzięliśmy pierwsze miejsce w przewożeniu towarów i ekonomii paliwa. W przemowach chwalili mnie, opowiadali, jakim laikiem byłem, gdy wstąpiłem na okręt, jak szybko opanowałem zawód i nauczyłem innych lżej pracować i spalać mniej węgla. Podczas biesiady siedziałem obok głównego mechanika Edwarda Kazimierzowicza, a gdy już był pod gazem, po kilku kieliszkach, zwrócił się do mnie: „Mnie masz do zawdzięczenia tę nagrodę i to, że tu siedzisz razem ze mną. Pamiętasz – spytał – wypadek, kiedy o mało nie wysadziłeś nas wszystkich razem z okrętem w powietrze? Chcieli cię zdjąć z okrętu i sądzić za sabotaż jako wroga narodu, a wiesz, co za to dają. Ja wstawiłem się za tobą, przekonywałem NKWD, że to pomyłka. Ja podpisałem, że będę odpowiedzialny za ciebie, że za najmniejsze przewinienie oddam cię w ręce NKWD". Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego tak interesował się moim

dziennikiem. Dlaczego kazał mi czytać i patrzył mi prosto w oczy, sprawdzając, czy nie omijam zdania albo czy się jąkam. Nie wiem, czy wiele rozumiał, gdy czytałem mój dziennik pisany po polsku. Ale on czytał z mojej twarzy. „Jestem ci rzeczywiście wdzięczny i nie wiem, jak ci dziękować", powiedziałem. „*Irunda* (głupstwo). Jestem szczęśliwy, że się nie pomyliłem względem ciebie". Koledzy gratulowali i zazdrościli. Fiedia, mój najlepszy przyjaciel i nauczyciel, zwrócił się do mnie: „Mówiłem ci przecież: »Przywykniesz – przyzwyczaisz się, a jak nie, to zdechniesz«. I oto dostajesz nagrodę 2000 rubli" (blisko czteromiesięczny zarobek). Po uczcie trzeba było kilku pijanych i nieprzytomnych wrzucić do auta i wrócić do domu. Pisali o mnie w gazecie „Polarny Boleszewik" – i mówili w radiu o moim doświadczeniu i przyczynieniu się do bardziej ekonomicznego spalania węgla. Stałem się uznanym pracownikiem. Nawet niski kierownik kadr Moszkin wezwał mnie do biura w Jakucku i z chlubą przedstawił mnie całemu kierownictwu.

ZIMA W ZATAJU

Syberyjski mróz daje się we znaki. Zima w pełni. Mieszkam razem z sześćdziesięcioma mężczyznami w jednym pomieszczeniu. Dwupiętrowe łóżka. W pomieszczeniu ciepło. Kapitan i główny mechanik naszego okrętu jeszcze nie dostali przydziału mieszkania. Śpią na moim albo na innym wolnym łóżku, podczas gdy my pracujemy. Nie mam nawet intymnego kąta, gdzie mógłbym pisać mój dziennik. W dodatku mamy tu plagę pluskiew. Pełno ich. Gryzą, nie dają spać. Walczymy z nimi, ale nic nie pomaga. Wszędzie się gnieżdżą. W siennikach, w ścianach, w ubraniu. Niekiedy lądują z sufitu prosto do miski z zupą. W dodatku pojawiły się również wszy. Pluskwy, wszy i mróz doprowadzają mnie do rozpaczy. Pewnego wieczoru wypowiedzieliśmy pasożytom walkę na śmierć i życie. Wszystkie sienniki i manatki wynieśliśmy na mróz, drewniane ściany oblewaliśmy wrzątkiem, a gdy po skończonej akcji siedziałem przy piecu, słuchałem opowiadania starszego brodatego współlokatora: „Gdy byłem jeszcze młodzieńcem, mieszkaliśmy w okolicy Tunguska. Pracowałem z ojcem przy wyrębie lasu. Nagle nastąpił straszny wybuch, który wstrząsnął ziemią. Niebo stało się czerwone. Następnie czarny dym uniósł się ku niebu i las zaczął się palić.

Biegliśmy z ojcem do chałupy. Wszyscy mieszkańcy śmiertelnie przestraszeni biegali w różne strony. Zwierzęta w lesie uciekały razem z ludźmi. Zapanowała straszna panika. Ojciec krzyczał, że nadszedł koniec świata. Padł na kolana i zaczął się modlić. Ale nic się więcej nie stało. Słychać było tylko trzask palącego się lasu, dym i zapach smalonej sosny. Z czasem wszystko się uspokoiło. Ludzie wracali do domów". Wiedziałem, że w latach dwudziestych w Tungusce spadł meteor. Współlokator opowiadał dalej: „Po dwóch latach uczestniczyłem w delegacji naukowców – zobaczyłem to miejsce. Chcieli zbadać, co spowodowało wybuch, ale większość sprzętu ugrzęzła w błocie w drodze na miejsce". Wrócili więc do Moskwy z niczym. Nadal nie zbadano tego groźnego zjawiska.

W soboty po pracy jeździłem do Jakucka do siostry. Przez znajomości Moszkina dostałem dla siostry, małej Feli i Rózi wspólne mieszkanie razem z jeszcze jedną rosyjską rodziną. Zapas produktów, który zaoszczędziłem podczas nawigacji, zawiozłem do siostry. Ale ich zapas razem z moim szybko się zmniejszał. Znów nastały ciężkie czasy. Pewnego razu przyjechałem do siostry, zjedliśmy wszyscy razem bardzo skromną kolację. Byliśmy głodni. Aby zapomnieć o tym, poszliśmy do kina. Na dworze panował silny mróz. Byliśmy ciepło ubrani. Gęsta mgła zasłoniła wszystko dookoła. Nie widzieliśmy drogi. Szliśmy jak niewidomi. Orientowaliśmy się tylko według dotyku ścian domów. W kinie było ciepło, przyjemnie. W poczekalni był bufet, ale można było dostać tylko lody. Kupiliśmy, bo to też trochę zaspokaja głód. W drugiej sali grała

orkiestra i występowali przyjezdni artyści leningradzkiego teatru. Można tam było czytać czasopisma, grać w szachy – aż do rozpoczęcia filmu. Mała Fela się śmiała. „Gdy wrócimy do domu i opowiemy, że w zimie przy 50°c mrozu jedliśmy lody – nie uwierzą". „Byłabym szczęśliwa – powiedziała mi siostra Fela – gdybym wiedziała, że rodzice mają co jeść. Gdybyśmy mogli im przesłać część zapasów, ale mogę tylko się martwić, a nie pomóc". Gdy już siedzieliśmy i oglądaliśmy film, moje myśli były tam, daleko – na wzgórzu, przy krzyżu, na drodze do Krzeszowic. Żegnam się z rodzicami. Czy ich nie pożegnałem na wieki? Czy ich jeszcze zobaczę? Czy jeszcze wrócę do mojego rodzinnego miasta? Czy jeszcze będziemy razem odpoczywać w lesie na Czarnej Górze? Nadzieja słabsza niż w ubiegłym roku. Ale serce mówi, że tak, że wrócimy wraz z siostrą.

Pracowałem przy remoncie okrętu i przygotowywaniu się do nowej nawigacji. Pewnego razu przeczyszczałem benzyną pewną część maszyny na nieopalonym okręcie. Przez nieostrożność rozlałem benzynę na watowane rękawice, w które byłem ubrany. Rękawice przesiąkły i od razu poczułem straszny ból w palcach. Wiedziałem, że odmrażam ręce. Zbiegłem z okrętu na brzeg. Zdjąłem rękawice i zacząłem silnie pocierać palce śniegiem i w ten sposób uniknąłem odmrożenia.

Z czasem przenieśli mnie do innej pracy. Paliłem w piecach w pomieszczeniach mieszkalnych. Było mi przynajmniej ciepło.

Przy brzegu stoją trzy okręty i szereg barek zamarzniętych w lodzie. Ludzie codzienne kopią rowy dookoła barek

i okrętów, aby z nadejściem wiosny, gdy zacznie się odwilż, mogły łatwo oderwać się od lodu. Po rzece można teraz przejść piechotą przez całą szerokość. W miejscach, gdzie prąd wody jest silny, rzeka zamarzła dopiero w listopadzie.

Pomimo że mróz dochodzi do 60°C, lepiej znoszę tę zimę niż poprzednie. Nasi wszyscy ludzie z Jury i Minoru przybyli już różnymi drogami do Jakucka. Wszyscy po trochu urządzają się i znajdują swoje miejsce w różnych przedsiębiorstwach. W Jakucku jest podobno synagoga i cmentarz żydowski. Pobożni ludzie z naszego transportu uczą dzieci religii żydowskiej. Są nawet nowo nawiązane małżeństwa i porody. Ja przyjeżdżam do Jakucka tylko w niedzielę i to nie każdą. Wolne dni spędzam z moją siostrą i nieczęsto spotykam naszych przyjaciół. Pewnego razu Fela opowiedziała mi, że mój przyjaciel Josef, samotny chłopak, nie może znaleźć sobie miejsca pracy i często głoduje. Gdy wróciłem do Zataju, zwróciłem się do kapitana z prośbą, aby przyjął mojego kolegę do pracy na okręcie. Zgodził się. Teraz będę miał z kim dzielić się wspólną dolą i rozmawiać o wspólnych marzeniach i troskach.

Zima powoli mijała. Minął luty, dni zaczęły się wydłużać. Dzień mijał w pracy, a po pracy w kolejce za przydziałem chleba i w stołówce przy skromnym obiedzie. Wieczorami siedziałem na swoim łóżku albo przy piecu z chłopcami i dziewczętami z sąsiedniego pomieszczenia, a gdy nie mogłem zasnąć, polowałem na pluskwy i wszy. W połowie marca znów zacząłem pracować na okręcie przy przygotowaniach do nowej nawigacji. Noce były nadal mroźne, ale w południe, gdy było pogodnie, zaczęły

już zwisać sople z dachów. Teraz kapitan często przychodził na okręt i doglądał prac. Zamawiał niezbędny sprzęt, który należało zamienić.

Wiosna nadchodziła. Na brzegu panował większy ruch niż w warsztatach. Ludzie stali się weselsi. Przyroda wracała do życia. Śnieg zaczynał tajać, lecz jakże niepodobna jest tutaj wiosna do naszej w Polsce. O tej porze wieśniak już chodzi w polu za pługiem, skowronki wzbijają się pionowo ku niebu i śpiewają pieśń wiosny. Motylek unosi się z kwiatka i białymi skrzydełkami wesoło pisze w powietrzu: „Wiosna, wiosna". Bociany wracają z ciepłych krajów i szerokim wachlarzem skrzydeł witają ojczystą ziemię. Na polach wiosna ścieli zielony dywan, coraz zieleńszy i coraz większy i szerszy. W sadach zakwitają białe kwiaty czereśni, a nowo narodzone liście drzew otwierają się jak dłonie ku wiosennemu słońcu. Moja mama już wczesnym rankiem sadzi kwiaty w ogródku, a ja z tatą wynosimy do ogrodu kilkuletnie drzewo cytrynowe zasadzone w małej drewnianej beczce. To drzewko zasadziła jeszcze babcia. Na zimę wstawiamy je do domu, a na wiosnę wynosimy do ogrodu. Nigdy nie dało owoców ani nawet nigdy nie zakwitło, ale gdy się pociera listek, czuć zapach cytryny – zapach ziemi naszych praojców.

Wieczorami zima jeszcze zagraża, buduje sople u dachów, rysuje jeszcze mrozem szyby okien, pokazuje jeszcze swoją obecność, ale nad ranem słoneczko się uśmiecha, topi i łamie sople lodu, zmywa lód na oknach i zagląda do mieszkań, zwiastując odrodzenie przyrody i nadzieję.

Nadzieja – jaka to jest potężna siła. Tylko dzięki niej potrafimy pokonać wszystkie trudności. Oby nas tylko nigdy nie opuściła. Zbliża się święto Purim. Święto zwycięstwa Żydów nad złym Hamanem. W sobotę pojechałem do Jakucka, aby w święto, które wypada w niedzielę, być z siostrą. Ona wraz z małą Felą uczą się na kierowników łodzi motorowych wykonujących prace hydrograficzne. Wieczorem spotkaliśmy się z całą grupą naszych chłopców i dziewcząt u wujostwa Sali (która u nas mieszkała w Ałłach-Juń). Wujek czytał z modlitewnika Megilat Ester (Zwój Estery). Bardzo wesoło spędziliśmy wieczór, a szczególnie zadowolony byłem z przebywania w gronie naszych ludzi. Wspominaliśmy nasze przeżycia w Jurze, w Minorze, Ałłach-Juń. Oczywiście nie zapomnieliśmy wspomnień z domu oraz sytuacji na frontach i pomimo niepowodzeń wojsk Armii Czerwonej wróżyliśmy szybki upadek armii hitlerowskiej. Na razie władze NKWD zamieniają nam bezobywatelskie zaświadczenia na dowody obywatelstwa sowieckiego. Jeden z naszych ludzi odmówił i wsadzili go do więzienia. Moja siostra dostała już sowiecki paszport ważny przez pięć lat. Mnie jeszcze nie wzywali. Minęło czwarte święto Purim poza domem. Do Zataju wróciłem razem z kolegą z Minoru, Josefem, który będzie pracować na naszym okręcie – też jako palacz.

Koniec marca 1943 roku był ciepły. Rano termometr wskazuje jeszcze 28°C zimna, ale w południe jest ciepło, nie można już chodzić w walonkach, bo przemakają w błocie, a trzewików nie mam, bo oddałem je do naprawy. Co

prawda dostałem zezwolenie na kupno pary butów w magazynie, ale tam na razie ich nie mają. Zaczynam chorować na cyngę (szkorbut). Zęby mi się chwieją, dziąsła krwawią i puchną. Dostałem butelkę octu owocowego amerykańskiej produkcji. Piję go z przyjemnością, kilka łyżek dziennie, i to mi pomaga.

W niedzielę 25 kwietnia 1943 roku znów byłem u siostry. Mamy święto Pesach. Siostra kupiła karasie i ugotowała je – jak w domu. Karasie przypominały rodzinę, a czarny chleb rzeczywistość – wygnanie.

Już jest ciepło. Śniegu już nie ma. Władze przestały wydawać sowieckie paszporty. Teraz będą wydawać polskie paszporty. Wkrótce zacznie się nawigacja i może następnym razem spotkamy się z siostrą na rzece. Przeprowadzamy się na okręt.

IDZIEMY Z LODEM

Nadszedł maj. Mieszkam już w swojej kajucie na okręcie razem z Josefem. Szykujemy się do nawigacji. Kapitan robi ostatnie przygotowania. Mechanik sprawdza, czy wszystko w porządku. Nasza kochana kucharka znów nas będzie karmić. Cieszymy się. W rzece przybywa wody. Nasz okręt oderwał się już od lodu i teraz stoi w wodzie. Trzeba tylko czekać, aż przybędzie na tyle wody nad lodem, aby można było wpłynąć do zatoki, a następnie czekać aż lody ruszą na północ, by móc wypłynąć na rzekę czystą od lodów. Wówczas zaczyna się nawigacja. Lód rusza w dniach 20–22 maja. Tak bywa prawie co roku. W tym roku przepowiadają wczesne ruszenie lodów. Okręt jest już gotowy. Kotły stoją pod ciśnieniem. Uczę Josefa ciężkiego zawodu kociegara.

W dniu, gdy wpłyniemy do zatoki, będzie święto, które wszyscy godnie uczcimy. Kapitan już zorganizował na ten cel dostateczną ilość spirytusu. Kucharka szykuje królewską ucztę. Mechanik w oddzieleniu maszyn zaciera ręce i z nieukrywaną radością mówi: „Maszyny i cała aparatura – jak nowe. I w tym roku będziemy pierwsi we współzawodnictwie". Radość jest zaraźliwa. Do świetlicy zapraszamy dziewczęta z brzegu. Słychać pieśni, tańczą *ciastuszki*.

Harmoszka przechodzi z rąk do rąk – wesoło u nas. Nawet i ja zapomniałem o swoich troskach. Teraz mogę się porządnie umyć w naszej łaźni, wyparzyć ubrania na kotłach i pozbyć się nareszcie pluskiew i wszy. W dodatku mam z kim dzielić się wspomnieniami i troskami. Czwartego maja zapowiedzieli przez radio, że lody już ruszyły na południu od Jakucka i spodziewają się, że jutro ruszą u nas. Czekamy na dostateczny przypływ wody nad lodem, abyśmy mogli wpłynąć do sztucznej zatoki, gdzie nie ma lodu.

O godzinie ósmej rano wyszedłem na zmianę wraz z Fiedią. Ciśnienie pary w kotłach – norma. Wszystko czyste, błyszczy. Oczekujemy rozkazów. Mechanik wchodzi do kociegarki. Rozgląda się dookoła – widać zatroskany, bo wody nie przybywa. Brakuje jeszcze z 30 centymetrów, aby oderwać się od lodu. O godzinie dziewiątej znów przyszedł. Źle. Wody nie przybywa. Nie możemy ruszyć się z miejsca. Za godzinę, dwie spodziewamy się, że lody ruszą. Na pokładzie słychać lataninę. Kapitan coś krzyczy przez tubę. Godzina dziewiąta. Ja z Fiedią czekamy w napięciu. Do naszych uszu dochodzi lekki szum, który coraz to wzrasta. Mechanik wpada blady. Wszystko przepadło. Lód idzie. Nie możemy wejść do zatoki. Szum wzrasta. Nie słyszę, co Fiedia krzyczy do mnie. Trzask. Bryły lodu piętrzą się, z trzaskiem zasłaniają okna w kociegarce. Mechanik biega jak zwariowany do oddziału maszyn, do kapitana, do kociegarki. Lód oderwał barkę od brzegu, stanęła w poprzek i lód popycha ją na nasz okręt. Nagle… silny wstrząs. Okręt jak gdyby skoczył do góry na dwa metry. Lód nas ściska, miażdży. Popycha nas z prądem. Trzaski,

okręt silnie się kołysze. Fiedia, który wyszedł na pokład zobaczyć, co się dzieje, krzyczy. Naprężona stalowa lina o średnicy około 8 centymetrów, do której okręt był przywiązany do brzegu, zerwała się, złamała żelazny hak o wadze 200 kilogramów i wyrzuciła go w powietrze nad okrętem. Spadł do lodu – jakieś 200 metrów od brzegu. To było powodem wstrząsu.

Okręt idzie razem z lodem na północ. Czułem, że zbliża się nieszczęście. Barka, która była przymocowana do brzegu przed okrętem i która stanęła w poprzek, zbliżyła się, werżnęła się w prawe skrzydło okrętu, zmiażdżyła całą nadbudowę. Teraz razem ściśnięci posuwamy się z prądem. Mechanik rozkazał gasić piece, aby uniknąć dodatkowego nieszczęścia. Nasza nawigacja, której jeszcze nie rozpoczęliśmy, skończyła się. Szum pękającego lodu nie ustaje. Ogromne kry piętrzą się, łamią i ciągną ze sobą wszystko, co znajduje się na rzece. Po pewnym czasie szum lodu ucichł. Lód przestał się posuwać. Nastała groźna cisza. Wyszedłem na pokład. Nasz okręt ściśnięty w lodach upłynął jakieś 500 metrów na północ, daleko od brzegu. Przed nami i za nami podobny widok. Wszystkie barki stoją teraz w górach spiętrzonego lodu. Nie można zejść na lód. Prawie niemożliwością jest dostać się na brzeg. Lód może znów za chwilę ruszyć. Straszny widok. Jesteśmy w rękach losu. Po pewnym czasie znów słyszę znany, zbliżający się szum. Lód znów rusza. Tym razem stoję na pokładzie i przypatruję się okropnemu żywiołowi. Słońce świeci. Pogodny dzień. Idziemy z lodem na północ. Kapitan i cała załoga są bezradni. Ale o dziwo, lód, który idzie z prądem,

ciągnie nas w kierunku brzegu. Barka, która wcisnęła się w prawe skrzydło, znów miażdży. Lód zaczyna odwracać ją tyłem do przodu, odrywa się od nas i idzie z lodem na północ. Jesteśmy już daleko od Zataju. Ogromne kry lodu piętrzą się, tworzą groźne kształty ruchomych gór. Zasłaniają barki, to znów padają zdruzgotane. Tworzą się inne góry i wszystko razem groźnym rykiem dąży z prądem na północ. Lód nadal pcha nas do brzegu. Czuję, że okręt zaczyna ocierać się o dno rzeki. Przechyla się na bok. Lód staje. Znów cisza. Mechanik twierdzi, że zrobił się zator na północy i to jest przyczyną tymczasowej przerwy. Patrzę dookoła na morze spiętrzonego lodu. Moją uwagę zwraca daleki gwizd syreny okrętowej wzywającej pomocy. Patrzę na południe. Widzę rozsiane okręty, barki i łodzie, dużo ich. Po niebie krąży samolot. Obserwuje, gdzie jest zator. Nagle widzę go – wpada do lodu, po czym znika pod wodą. Tylko ogień i dym uniósł się ku niebu i znikł na horyzoncie.

Lód znów rusza. Lewe koło okrętu wrzyna się w brzeg. Okręt coraz bardziej przechyla się na bok. Środkiem rzeki mijają nas barki i okręty. Niektóre jeszcze dymią i wzywają pomocy. „Piatiletka", największy okręt na Lenie, idzie tyłem naprzód. Syrena cały czas alarmuje. Ale kto im pomoże. Na pokładzie kręcą się ludzie. Nikt nie może przeciwstawić się ogromnej sile żywiołu. Okręty, barki i łodzie mijają nas i idą dalej z losem. Okręt coraz bardziej wrzyna się w stromy brzeg. Przechyla się tak, że trudno chodzić na nogach. Znów cisza. W kociegarce cisza. Żużel wyrzucony z pieców już ostygł. Nie można go wyrzucić, bo iluminator jest zakryty lodem. Łopaty leżą na stosie

węgla – niepotrzebne. Ja i Fiedia też nie jesteśmy już potrzebni. Idziemy do łaźni wykąpać się, dopóki jest jeszcze gorąca woda i dopóki lód stoi. Gdy ubieramy się po łaźni w kajucie, znów słyszymy groźny szum ruszającego lodu. Nagle napierający lód wyłamuje zawiasy w oknach i bryły lodu razem z wodą zalewają pochyłą podłogę, łamią stół i niszczą cały nasz dobytek. Biegniemy ku drzwiom, aby otworzyć i wybiec na pokład. Ale… o Boże! Nie możemy otworzyć drzwi ściśniętych pod naporem lodu. Bryły lodu biją nas w nogi. Szum zagłusza nasze krzyki o pomoc. Nareszcie wspólnym wysiłkiem wyłamaliśmy drzwi i razem z Fiedią biegniemy po schodach na pokład. Jeszcze nie zdążyłem się uspokoić, a już mechanik wita nas wiązką brzydkich słów, a to dlatego, że szukał nas na całym okręcie i martwił się o nas.

Okręty i barki ciągle jeszcze nadchodzą z południa, z Zatonu. Widzę nowe barki, które dopiero w ubiegłym roku nadeszły z Ameryki. Lód znów stoi. Około jednego kilometra od nas stoi okręt „Szewielow". Jakiś człowiek schodzi na lód. Rozgląda się dookoła i wraca. Po pewnym czasie widzimy, że ktoś zszedł z okrętu, ciągnie deskę i idzie w stronę brzegu. Za nim drugi z workiem na plecach. Widocznie okrętowi grozi zatonięcie. Oby tylko lód nie ruszył. Do brzegu daleko. Ludzie wyruszają w niebezpieczną drogę do brzegu. Przeskakują z kry na krę, wspinają się, pomagają sobie deską, która miejscami służy im jako most. Widać cała załoga opuszcza okręt. Stoimy na pokładzie, a w sercu prośba do Boga: „Oby tylko lód nie ruszył. Oby szczęśliwie dobrnęli do brzegu". Widocznie

Bóg nas wysłuchał. Lód stoi. Ludzie z brzegu idą im naprzeciw. Pomagają jak mogą. Pierwsi są już blisko brzegu.

Po niebie leci eskadra samolotów. Lecą bombardować miejsce, gdzie jest zator lodu. Przednia część okrętu „Szewielow" zanurza się w wodzie, a tylna część podnosi się. Komin przechyla się do przodu. Wygląda jak ogromna lufa armatnia, która zaraz wystrzeli do nieba. Ale nie. Komin już dawno nie dymi. A ludzi na okręcie widocznie już nie ma. Gdzie jest moja siostra i mała Fela? Czy są w Zatonie, czy lód je pociągnął na łodzi na północ? Jestem bardzo zmartwiony i nie mogę się niczego od nikogo dowiedzieć.

Zapada wieczór. Załoga „Szewielowa" widocznie już szczęśliwie dobrnęła do brzegu. Lód znów ruszył. Napiera na nas i wrzyna nas w stromy brzeg. Okręt przechyla się coraz bardziej. Mamy szczęście, że jesteśmy przy brzegu. W razie niebezpieczeństwa skoczymy na ląd. Wczoraj przygotowywaliśmy się na ucztę, a dziś taka katastrofa. Godzina ósma wieczór. Lód złamał komin i teraz widać tylko wystającą tylną część okrętu.

Nad ranem nie było już śladu po okręcie „Szewielow". Nasz okręt przechylony jest o około 30°. Przenieśliśmy koce na brzeg i spaliśmy przy ognisku. Trudno i niebezpiecznie być na okręcie. Kucharka również przeniosła garnki i produkty na brzeg. Na widnokręgu wciąż jeszcze przesuwają się statki na północ. Rzeka zaczyna się oczyszczać. Tam, gdzie prąd jest silniejszy, widać już wodę. Jesteśmy bezradni, odcięci od świata, ale na brzegu, skąd obserwujemy nieszczęście.

Trzynastego maja 1943 roku nie było już lodu na rzece. Dookoła pola zalane wodą i nie ma mowy, aby dostać się do Jakucka, by dowiedzieć się czegoś o mojej siostrze. Jestem bardzo niespokojny o nią i nie chcę dopuścić złych myśli. Siostra to jedyna bliska mi dusza. Ona jest teraz całą moją podporą duchową. Jestem odpowiedzialny za nią przed moimi rodzicami.

Poziom wody spada. Okręt coraz bardziej się przechyla i teraz tylko część okrętu jest w wodzie, a reszta na skośnym brzegu. Okazuje się, że w Zatonie zostało jeszcze kilka okrętów, które uratowały się w zatoce. Po kilku dniach zaczęli zrywać nasz okręt z brzegu i pociągnęli na remont do Zatonu.

Zezwolili mi pojechać do Jakucka. Z bijącym sercem i drżącymi rękoma otworzyłem drzwi mieszkania siostry. Fela była w domu. Gdy ją obejmowałem, wybuchnęła głośnym płaczem. Mała Fela i Rózia uspokajały ją. Nie do opisania była nasza radość. Widocznie Bóg czuwa nad nami. Okazuje się, że siostra i mała Fela pracują teraz na brzegu w Zatonie i wcale nie były na łodzi, gdy lody ruszyły. Widziały, jak spiętrzone lody ciągną ze sobą prawie całą flotę Jakucji… Wiedziały, że na jednym takim okręcie jestem ja. Moje zjawienie się było dla nich cudem. Byłem chory na cyngę i dostałem zwolnienie na kilka dni z pracy, więc mogłem nacieszyć się siostrą.

Dniem i nocą pracowały załogi specjalistów, których posłali samolotem z Irkucka. Nareszcie nasz okręt był odremontowany. Znów zapaliliśmy piece.

Byłem na służbie, gdy komisja badała sprawność okrętu. Mechanik z pewnym zadowoleniem przedstawił mnie komisji i z dumą opowiadał o moim usprawnieniu. Dostaliśmy zezwolenie, by wypłynąć na rzekę i płynąć aż do Oceanu Lodowatego, do portu Tiksi.

DO AMERYKI?

Śniegi stajały. Świeża zieleń pokryła brzegi. Drzewa z podważonymi korzeniami od naporu lodów chyliły się w kierunku rzeki, jak gdyby się kłaniały i witały nadchodzący okręt, który uratował się od katastrofy lodowej. Upłynęliśmy około 250 kilometrów i dotarliśmy do miejsca, gdzie był zatopiony największy okręt rzeczny „Piatiletka". Pracowała tam już załoga specjalistów przy wyciąganiu go z wody. Tylko komin był widoczny na powierzchni. Przed Zagańskiem przywitali nas na brzegu śpiewami i tańcami świątecznie ubrani mieszkańcy i odprowadzali nas aż do przystani. Okazuje się, że jesteśmy pierwsi w tym roku w tej okolicy. Na brzegach widać wyrzucone przez lód rozbite łodzie, brudne góry lodu oraz pnie drzew wyrwane z korzeniami. Słońce nie zachodzi. Ciągniemy za sobą trzy barki naładowane solą z pobliskiej kopalni „Wiluj", które są przeznaczone dla kołchozów rybackich do solenia ryb.

W tym roku zmniejszyli przydział produktów dla załogi i jemy więcej ryb, które kupujemy u Jakutów. Mijamy znane osiedla, które rozbudowały się. Powstały nowe kołchozy rybackie. Rozmawiałem z zesłanymi Żydami z Litwy w Bułunie. Wielu z nich kuleje, chorują na szkorbut. Są też wypadki tyfusu i dyzenterii. Opieka lekarska jest

tutaj bardzo marna. Josef, mój przyjaciel, przyzwyczaił się już do ciężkiej pracy. Często z nim gram w szachy, rozmawiamy po żydowsku, razem wspominamy dom rodzinny i marzymy o powrocie. Mijamy „Polarny Słup", zbliżamy się do miejscowości Titary odległej o około 2000 kilometrów od Jakucka.

8/7/43

Przy brzegu widzimy złamaną barkę, którą lód zaciągnął aż tutaj. Miejscowi ludzie opowiadają, że barka (a na niej załoga) ściśnięta lodami przepływała blisko brzegu i miejscowi ludzie pomogli ludziom dotrzeć do brzegu. W nocy okrążyły nas kry lodowe, które nie zdążyły dopłynąć do morza. Psia pogoda, gęste mgły, deszcze, zimno. Ważyłem się – 60 kg w ubraniu (w zimie ważyłem 64 kg). Podczas tegorocznej nawigacji nie pracuję już z Fiedią. Uczę już trzeciego dryblasa. Oczywiście większość pracy wykonuję sam. Do portu Tiksi jeszcze nie możemy popłynąć, bo lody się jeszcze nie rozeszły. Jeden kociegar, który wrócił z brzegu w Bułunie, opowiada, że tam wielu zesłańców umarło i wielu choruje. W jego obecności przywieźli do miejscowego szpitala czternaścioro dzieci chorych na dyzenterię. Dostaliśmy zezwolenie, by wpłynąć do portu, ale parę godzin później dostaliśmy nowy radiogram, aby nie płynąć do portu, bo krąży tam niemiecki okręt wojenny. Po dwóch dniach zezwolili nam zawinąć. Dwudziestego czwartego lipca 1943 roku weszliśmy do portu w Tiksi. Tam opowiadano, że niemiecki okręt wojenny utopił

rosyjski okręt towarowy, a drugiemu okrętowi udało się umknąć podczas mgły na płytsze miejsce, gdzie wojenny okręt nie mógł wpłynąć. Miejscowi ludzie mówią, że był to prawdopodobnie japoński okręt, bo to prawie niemożliwe, aby niemiecki okręt dopłynął niespostrzeżenie aż do Oceanu Lodowatego.

W tym roku i w Tiksi wcześniej rozeszły się lody. Widać już pierwsze okręty morskie. Zimno, 8°-12°c powyżej zera. Zimny wiatr od morza. Stąpam po lądzie, pod nogami czuję lód, który nigdy nie taje. Miałem okazję rozmawiać z amerykańskim marynarzem. Podziwiałem jego ładne marynarskie ubranie. Gdy byliśmy sami, opowiedziałem mu moją historię. Zaproponował mi (w sekrecie), że może mi przynieść amerykański mundur i przeprowadzi mnie na ich okręt, ukryje mnie, aż wyjedziemy poza granice Związku Radzieckiego. Zastanawiałem się. Może to jest zasadzka. Wielkie ryzyko. Ale propozycja mnie kusi. Przypomniałem sobie, że przecież mam siostrę. Jeśli nawet uda mi się ten wyczyn, to powiedzą Feli, że utonąłem. Na samą myśl, że zostawię siostrę samą, bez mojej opieki, zatroskaną – podziękowałem i odmówiłem.

Płyniemy na południe. W południe 27 lipca minęliśmy „Polarny Słup". Często pada deszcz pomieszany ze śniegiem. Na wysokich brzegach widać już gdzieniegdzie małe krzaczki, podczas gdy w Tiksi jeszcze nic nie rośnie.

6/8/43

Przystanęliśmy przy jakimś osiedlu na południe od Żagańska. Mamy pierwszy ciepły dzień – +23°C. Zszedłem z Josefem na brzeg do lasu. Brodziliśmy w dzikim lesie, stąpając w miękkim mchu. Wspominałem las u nas na Czarnej Górze i gorący piasek na Mazańcu. Ileż miłych chwil spędziłem na Kamyku. Jak uroczo spędziłem świąteczne dni w basenie na Bukownie. Wspomnieniami szybko tam wracam, ale ja sam?… Przede mną rzeczywistość i surowe warunki życia. Nie mogę jednak oderwać swoich myśli, które znów plączą się po skałach wsi Uliny. W wyobraźni widzę legendarne boginie wychodzące w nocy na brzeg utworzony z pieczar skalnych. To znów pieczemy kartofle na ognisku podsyconym zebranym suchym kałem krowim. Razem z innymi chłopcami uganiamy się za pasącymi się krowami, które idą w szkodę (wchodzą w zasiane pole). Zrywamy zielony groszek w polu. To wszystko zdarzyło się w dzieciństwie. Teraz jestem już dorosłym młodzieńcem w kwiecie życia. Ale ten kwiat nie może rozkwitnąć i więdnie za wcześnie. Czyż moja młodość tak przepadnie na marne? Czy mój los pokaże mi kiedyś i przyjazne oblicze?…

Tymczasem kapitan wypożyczył w kołchozie niewód i wezwał Josefa i mnie, abyśmy razem z częścią załogi łowili ryby. Trzej chłopcy na łódce, jadąc od brzegu do środka rzeki, spuszczali do wody niewód, a gdy ten się skończył, wracali półkolem do brzegu, ciągnąć długi sznur uwiązany do końca niewodu. Teraz pozostało tylko ciągnąć sznurami niewód do brzegu. Im bardziej matnia (duży wór ze

sznurów) zbliżała się do brzegu, plusk trzepoczących ryb się zwiększał. I tak w przeciągu kilku godzin nałowiliśmy około 400 kilogramów ryb. Rybacy opowiadają, że są okresy i miejsca, gdzie za jednym zapuszczeniem niewodu wyciągają motorami około tony ryb. Pomimo słonecznego dnia zmarzłem, stojąc w lodowatej wodzie, i trząsłem się z zimna, gdy wsiadałem do łódki, aby dopłynąć do okrętu. Nagle usłyszałem krzyki na brzegu. Okazuje się, że z lasu wybiegł mały niedźwiadek i rozkoszował się wyrzuconymi przez nas zabrakowanymi rybkami. Złapali go do worka i w łódce przywieźli na okręt. Statek był już w drodze, gdy z lasu wybiegła z rykiem duża niedźwiedzica. Biegła brzegiem, wchodziła do wody, płynęła za okrętem, w końcu znikła gdzieś w lesie.

Niedźwiadek na okręcie był zabawką dla całej załogi. Kucharka dbała o niego. Dostawał słodycze od kucharki, podczas gdy załoga prawie ich nie widziała. Marynarze uczyli go różnych sztuczek. Pewnego razu dali mu młot w przednie łapy. Młot upadł mu na łapy i skowyczał z bólu. Niedźwiadek rósł i widocznie czuł się dobrze między ludźmi. Z czasem oswoił się i czuł się gospodarzem na statku. Wdrapał się w kuchni na zimny piec, poprzewracał garnki, wylał zupę, otwierał przednimi łapami drzwi kajut, otwierał nocne szafki przy łóżkach, wyrzucał całą zawartość, zjadał smakołyki schowane przez członków załogi. Z początku przebaczono mu jego wybryki, ale przebrał miarę. Pewnego razu, gdy marynarz wszedł do swojej kajuty, złapał niedźwiadka na gorącym uczynku, gdy ten rozrywał mu spodnie, by wyciągnąć schowane w kieszeni cukierki.

Marynarz złapał kij i zaczął gonić za nim po całym pokładzie. W końcu niedźwiadek wpadł do wody. Widziałem jeszcze, jak niedźwiadek płynie, ale nikt go nie ratował. Statek szedł dalej. I tak skończyła się krótka kariera niedźwiadka na statku.

20/9/43

Godzina wpół do siódmej. Grałem w szachy. Przeciwnik już mi przygotował mata, gdy poczuliśmy, że statek zwolnił bieg. Z ciekawości wyszliśmy na pokład zobaczyć, co się stało. Jedna z barek, które ciągnęliśmy za sobą, werżnęła się w płytkie miejsce. Zrywali ją na głębsze miejsce. Statek zaczął przechylać się na bok do tego stopnia, że zalewało okna kajut. Istniała obawa, że okręt wywróci się na bok. W ostatniej chwili odczepili stalową linę, do której była przywiązana barka. Statek jak piłka wyprostował się. O mało nie wpadłem do wody. Puścili pompę do wyciągania wody z korpusu statku. Statek stanął. Zmarzłem i zszedłem do kajuty.

21/9/43

Zerwali barkę na głęboką wodę. Płyniemy dalej. Mieliśmy piękny pogodny dzień, choć trochę mroźny… Godzina wpół do drugiej w nocy. Jestem na służbie. Maszyny pracują pełnym wysiłkiem. Z trudem utrzymuję normę ciśnienia w kotłach. Pot zalewa mi oczy. Co chwilę przybiega mechanik do kociegarki, patrzy na zegary, nic nie

mówi i wychodzi – widać zadowolony. Przejeżdżamy miejsce, gdzie jest bardzo silny prąd i z trudnością posuwamy się naprzód. Przez sześć godzin pokonaliśmy może 2 kilometry.

22/9/43

Jedenasta w nocy. Na północy jaśnieje zorza polarna. Rzuca promienie po niebie jak reflektory, promienie to słabną, to jaśnieją i zmieniają kierunek. Piękna zorza, ale w ubiegłym roku widziałem znacznie piękniejszą na morzu. Skończyłem służbę, zamiast się umyć i pójść spać, zostałem, siedząc na pokładzie, lubując się pięknem natury. Zorza zgasła. Płetwy kół monotonnie stukają. Ciemne gwiaździste niebo nas osłania. Ze wschodu wychodzi na niebo cienki rąbek księżyca. Echo szumu wody i stukotu kół odbija się od ciemnego, stromego brzegu.

23/9/43

Wyjątkowo ciepły dzień. Do Sangar zostało nam około 50 kilometrów. Jutro tam będziemy. Wczoraj kapitan kupił od Jakutów *sochoje miaso* (mięso dzikiego, dużego jelenia). Zamierzałem też kupić z dziesięć kilogramów i zasolić, aby przywieźć dla siostry na zimę. Ale bałem się, że się zepsuje, tak jak ryby, które sami nałowiliśmy tam, gdzie znaleźliśmy niedźwiadka.

24/9/43

Wyjechaliśmy z Sangar. Jedziemy do Jakucka. Cieszę się. Czy pozwolą mi zejść na brzeg? W Sangar transporter załadował nam węgiel, ale ja musiałem przemywać parą rury w wygaszonym kotle. Gdy skończyłem, poszedłem się umyć i spojrzałem w lusterko. Byłem czarny od sadzy jak murzyn. Tylko oczy i zęby błyszczały.

25/9/43

Dwieście sześćdziesiąt cztery kilometry do Jakucka. Marynarze na pokładzie myją ściany. Mostek kapitański aż błyszczy. Do Jakucka trzeba przyjechać „z szykiem". W świetlicy gra patefon. Za ścianą grają na bajanie (harmonii). Słychać śpiew i stepowanie. To nasi chłopcy zabawiają się po skończeniu służby. Na pokładzie zimny wiatr przejmuje do kości. Mój sąsiad czyta książkę, a ja przed chwilą odłożyłem swoją. Moje jedyne zajęcie teraz to książki. W szachy nie gram. Dałem sobie słowo, że do 29 września nie spojrzę na nie. Bo moi partnerzy spokoju mi nie dają. Przychodzą w dzień i w nocy – kiedy im się zechce. Spać mi nie dają, póki nie zagram. Oddałem im szachownicę i oznajmiłem, że tydzień czasu nie gram. Teraz mogę się wyspać.

26/9/43

Smutno mi na duszy. Teraz jest okres świąt, ale daty nie znam. Pierwszy raz w moim życiu nie wiem, kiedy będą święta. W ubiegłym roku dowiedziałem się o *erew Jom Kipur* od zesłańców żydowskich z osiedla „Bykownego" i pościłem. A w tym roku… Moje myśli są teraz w domu. *Erew Jom Kipur*. Zakładam nowe ubranie. Zbieramy się do modlitwy. Mama już skończyła świąteczne przygotowania. Mieszkanie nabrało świątecznego wyglądu. Mama zapala świece (*lebedike licht*). Tata zbiera rodzeństwo, kładzie ręce na głowy i błogosławi. Ze łzami w oczach mówi cicho słowa modlitwy. A my, dzieci, czujemy uroczystą atmosferę i jesteśmy wdzięczni rodzicom i w duchu życzymy im szczęśliwej starości.

…Tak było kiedyś. Dawno. To są tylko wspomnienia. Przez Polskę przeszedł huragan, który rozproszył ludność. Przegonił na wschód i po całym świecie, niszcząc, depcząc, zrywając wszystko, co było święte – co było rodziną. Nas zagnał na daleką północ. Oderwał od całości. Oderwał od rodziny. A teraz rodzina to tylko smutne, ale wciąż wracające wspomnienia. Zdaje się, że z biegiem czasu rodzina powinna się zatrzeć w pamięci. Minęły już blisko cztery lata i wspomnienia są jak żywe. Nie mogę zapomnieć. Czuję teraz, że ojciec błogosławi nas. Czuję dotknięcie jego rąk na mojej głowie i słyszę słowa modlitwy. Wspomnienia. Wspomnienia. Czy te wspomnienia przemienią się kiedyś w rzeczywistość? Czy mnie tata jeszcze pobłogosławi? Zostawiłem starych rodziców. Czy ich jeszcze zobaczę?

28/9/43

Wczoraj w nocy znów widziałem zorzę polarną. Trwała ona od dziesiątej do pierwszej w nocy. Najpierw zaczęło się od tańca reflektorów świetlnych ze strony bieguna. Najpiękniejsza była o jedenastej w nocy. Niebo na północy dostało seledynowego koloru i takiegoż koloru reflektory świetlne, następnie niebo stało się żółte, a potem różowe. Każda zorza, którą widziałem, była inna. Wszystkie piękne. Ale najpiękniejsza była w ubiegłym roku na północ od „Polarnego Słupa" na Morzu Łaptiewów. Mój kolega Josef zaczął grać w karty. Stale chwalił się, że wygrywa. Wygrał już podobno ładną sumkę rubli. Ostrzegałem, aby przestał. To do dobrego nie prowadzi.

Zbliżamy się do Jakucka. Okręt jest czysty. Wczoraj czyściliśmy kociegarkę. Zegary i wszystkie rury błyszczą jak nowe. Sprzątaczka wymieniła nam pościel, która wygląda teraz jak nowa. Zastąpiłem jednego kociegara na służbie, w zamian obiecał mnie zastąpić, jeśli mi pozwolą zejść ze statku i pójść do miasta.

29/8/43

Dziewiąta wieczór. Jesteśmy w Jakucku. Niestety kapitan nie pozwala zejść na brzeg, bo będzie pogróżka węgla. Zszedłem jednak z okrętu i w biurze przypadkowo spotkałem znajomą Feli. Posłałem przez nią list i prosiłem, aby obie Fele przyszyły do mnie do portu w nocy. Chciałbym

bardzo się z nimi zobaczyć i przekazać im trochę produktów, które zaoszczędziłem.

2/10/43

Mróz, zimno. Prószy śnieg, ale wesoło na duszy. Moja siostra Fela i mała Fela z jej szwagrem przyszli do mnie na statek o drugiej w nocy. Dowiedziałem się, że nie pracują. Szyją prywatnie w domu. Zarobiły i kupiły sobie ręczną maszynę do szycia. Dostaliśmy list od wujostwa z Palestyny. Jest to odpowiedź na list, który wysłałem zimą w ubiegłym roku. Dobre wiadomości. Czytałem kilka razy ten list, tak że znam go na pamięć. Ciotka dziwi się, że nie jesteśmy z rodzicami i dlaczego przebywamy tak daleko. Wujostwo mają ładnie urządzone gospodarstwo. Kuzyn, który uczył się na uniwersytecie w Jerozolimie, ożenił się i ma córeczkę. Kuzynka, którą pamiętam z czasów, gdy była mała i dokuczała mi, wyszła za mąż, ma już rocznego chłopczyka. Mają również ładne gospodarstwo rolne. Cieszę się, że nawiązaliśmy kontakt z krewnymi, że ktoś z bliskich wie o naszym istnieniu. Fela już odpisała dwoma listami. Cieszyłem się bardzo, że obie Fele sobie radzą. O piątej nad ranem pożegnałem się z nimi i oddałem zaoszczędzone produkty. W Jakucku załadowaliśmy węgiel i ruszyliśmy do Sangar. Węgiel niedobry, źle się pali, z innej kopalni, z „Kangałas" (okolice Jakucka).

4/10/43

W Sangar załadowaliśmy węgiel i znów wracamy do Jakucka. Mróz. Temperatura wody +6°c. Wiele statków spotykamy po drodze. Wszystkie wracają do Jakucka. Statek „Szczecinkin" idzie z nami na wyścigi. To przegania nas, to znów my przeganiamy jego. Statek „Karol Marks" zostaje w tyle. Z daleka widać statek „Piatiletka". Te wyścigi kosztują nas dodatkowy pot. Podczas tej nawigacji wyuczyłem dwóch kociegarów. Młodszy szybko się nauczył. Obecnie mnie zastępuje. Teraz on się poci za mnie. W Sangar jeden z naszych kociegarów wpadł do wody. Nikt nie widział kiedy. Prąd go ciągnął w dół rzeki. Watowe ubranie utrzymało go na wodzie. Jakimś cudem złapał się drewnianego słupa mostu i wydostał się na brzeg. Czapka mu wpadła do wody, a w zębach trzymał cygarniczkę. Gdy dostał się mokry i drżący z zimna z powrotem na statek i opowiedział sową historię, pytaliśmy, dlaczego nie wołał na pomoc. Odpowiedział: „Nie mogłem krzyczeć, bo szkoda było wypuścić cygarniczkę do wody".

9/10/43

Sobota wieczór. *Mocej Jom Kipur* (o dacie świąt dowiedziałem się od szwagra Feli Honig, gdy byli u mnie na okręcie w Jakucku). Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo narazili się siostra i mała Fela ze szwagrem, gdy przyszli do mnie piechotą wśród nocy z Jakucka. Chwała Bogu, że nic im się nie stało.

MIĘDZY JAKUTAMI

16/10/43

Stoimy u brzegu w Zataju. Tu będziemy zimować. Do Jakucka 18 kilometrów. Jest już porządny mróz, a szugi jeszcze nie ma (szuga – małe wysepki lodu, które gęsto pokrywają rzeki i płyną z prądem na północ). W ubiegłym roku o tej porze rzeka już zamarzała. Mechanicy coś tam naprawiają w oddziale maszyn. Politruk wezwał wszystkich wolnych od pracy do świetlicy. Opowiadał o sytuacji na frontach, o naprężeniu między Związkiem Radzieckim i Japonią, o krwawych walkach Ameryki z Japonią i jak zawsze zakończył słowami: „Musimy lepiej pracować, dać większą wydajność dla ojczyzny, dla Stalina. Czy są pytania?". Nikt o nic nie pytał. Po każdym takim zebraniu ogarniał mnie smutek. Nie widać końca wojny, nie widać kresu naszej włóczęgi. Krwawe walki na frontach, wojska radzieckie się cofają, a ze wschodu grozi Japonia. Świetlica zaczęła się opróżniać. Ja zostałem jeszcze z głównym mechanikiem i zagraliśmy w szachy. Ktoś włączył patefon. Śpiewał Lemenszew arię z opery *Kniaź Igor*. Stara igła patefonu skrzypi. Moje myśli są daleko. Smutno mi na duszy. Gdzie moja rodzina? Czy nie cierpią głodu? Oni na pewno

teraz martwią się o nas. Nasze myśli mijają się w drodze. Gdybym im mógł przynajmniej powiedzieć, że nam jest dobrze. Jemy do syta. Moje myśli przerywa mechanik: „Ty śpisz czy grasz?". „Nie mogę się skupić". Mechanik atakuje, szachuje. Bronię się, ale nadaremnie. Wtem drzwi się otwierają i wchodzi mój przyjaciel Josef, a razem z nim moja siostra Fela i mała Fela. Wstaję od szachownicy. Mechanik złości się, że nie zdążył mi dać mata. Padliśmy sobie w objęcia z siostrą. Witamy się bez słów. Dusi mnie w gardle. Siostrze ciekną łzy z oczu. Wyjmuje z kieszeni kufajki pocztówkę i podaje mi ją. Kartka adresowana na moje imię i nazwisko do Ałłach-Juń. Patrzę na nadawcę… z Olkusza… z Polski… od moich rodziców… Ręce mi drżą. Robi mi się ciemno w oczach. Nie mogę czytać. Tymczasem wchodzą do świetlicy jeden za drugim członkowie załogi. Chcą zobaczyć dwie piękności. Mechanik już zamienił starą płytę i z patefonu unoszą się teraz dźwięki *ciastuszki*. Zaczynają tańczyć. Mięsista kucharka zwinnie przeplata nogami. Jej pełne piersi podnoszą się i opadają do taktu. Jej mąż, mechanik z oddziału maszyn, z tupetem tańczy *kazaciok*. Fiedia zachęca moją siostrę do tańca. Sprytna mała Fela odmawia, ale w końcu i ją wciągnęli do koła. Zjawił się już harmonista i słychać skoczne dźwięki bajanu, oklaski i śmiechy wypełniają świetlicę, przedzierają się przez okno i zwiastują na brzegu, że na parachodzie „Wierchojańsk" jest wesoło. Ja przeciskam się do kąta, wyjmuję jeszcze raz z kieszeni pocztówkę i czytam: „Cieszymy się, że macie co jeść i jesteście ciepło ubrani. Trzymajcie się razem i bądźcie zdrowi. O nas się

nie martwcie". W imieniu rodziców pisze nasza koleżanka ze szkolnych lat – Bluma. Dlaczego?… Dlaczego ktoś z rodziny nie pisze? Przecież tato, mama i siostry umieją pisać… Dlaczego Bluma?… Dlaczego pocztówka, a nie list? Dlaczego jest inny adres, a nie z naszego domu? Nasuwa mi się wiele pytań, a odpowiedzi nie mogę się domyślić. A na sali bractwo nie przestaje śpiewać i tańczyć. Ktoś zorganizował trochę spirytusu, kucharka przyniosła lepioszki (coś w rodzaju pączków). Moja siostra pokroiła na malutkie kawałeczki miodownik, który przyniosła dla mnie. Gwarno i wesoło w świetlicy, a w mojej duszy rozczarowanie i smutek. Powoli ludzie zaczęli się wysuwać z świetlicy, ktoś do roboty, a ktoś na odpoczynek. Nareszcie mogliśmy przejść z Felami i Josefem do mojej kajuty. Okazuje się, że ta pocztówka doszła do Ałłach-Juń, a stamtąd do Minoru. Tam odebrał pocztówkę nasz przyjaciel Wajs, bo nas już tam nie było. Dopiero w Jakucku, dwa i pół roku później, dostaliśmy pierwszą i ostatnią wiadomość od naszej rodziny. Pocztówka była pisana jeszcze przed rozpoczęciem wojny rosyjsko-niemieckiej, w odpowiedzi na nasz list z Ałłach-Juń.

Nadchodzi ciężka zima. Szesnastego października zakończyliśmy nawigację. Mamy już 20°c mrozu. Cztery dni później ugasiłem ogień w kotłach. Ja byłem tym, który zapalił ogień przed ruszeniem lodów i ja zgasiłem ogień na postoju zimowym w Zataju. Podczas lata pogłębili zatokę i teraz statki zimują już w zatoce, a nie jak w ubiegłym roku przy brzegu rzeki. Nie ma już teraz obawy, że wiosną lód pociągnie statki na północ. Podczas nawigacji wyuczyłem

dwóch nowych kociegarów tego ciężkiego zawodu. Kierownictwo przyznało mi premię pieniężną za dobrą pracę. Chwalili mnie w gazecie „Polarny Bolszewik" za ekonomię paliwa i wzorową pracę.

Opuściliśmy zimny, martwy statek i zamieszkaliśmy w kolektywnych pomieszczeniach. Ciasnota – trzypiętrowe łóżka. Ja dostałem miejsce na trzecim piętrze. Wchodziłem na swoje „posłanie" po drabinie. W pomieszczeniu było ciepło. Piec nie przestawał palić. Kapitan naszego statku nie dostał jeszcze pomieszczenia i spał na moim łóżku, podczas gdy ja pracowałem. W naszym pomieszczeniu byli sami mężczyźni, a w sąsiednim – same kobiety. W szczelinach ścian gnieździły się całe armie pluskiew. W dzień nie było ich widać, ale w nocy wychodziły z kryjówek i atakowały nas ze wszystkich stron i piły naszą krew, nie dając nam spać po całodziennej ciężkiej pracy. Mieliśmy jeszcze jedną plagę – złodziei. Niedaleko nas była szkoła, gdzie uczyli zawodu. Posłali tam młodzież i dzieci mieszkające w bursie. Uczniowie nie dostawali dostatecznej ilości jedzenia i odzieży. Jeszcze zanim nauczyli się zawodu, znali już różne wymyśle sposoby kradzieży. Dość często łapali ich na gorącym uczynku, w stołówce albo w mieszkaniach, i pomimo nałożonych kar liczba kradzieży żywności, odzieży i pieniędzy się nie zmniejszała.

Zataj oddalony jest od Jakucka o około 17 kilmetrów. Podczas krótkiego lata osiedle dość ładnie się rozbudowało. Mamy już tutaj wspólną łaźnię (trzeba przyjść tam z własną miednicą). W domach już jest elektryczne światło. Przy

brzegu wybudowali kilka nowych warsztatów. Jest tutaj więzienie, które jest pilnie strzeżone.

W kolektywnym pomieszczeniu nie miałem swojego kąta, gdzie mógłbym kontynuować mój dziennik. Jedynie łoże było własnym kątem. Na łóżku leżał mój cały dobytek. Tam można było porozmawiać z kolegą, zjeść przydzielony kawałek chleba i głęboko w sienniku schować zdjęcie mojej kochanej najmłodszej siostrzyczki i trochę zaoszczędzonych pieniędzy. Byłem więc szczęśliwy, gdy rosyjski kolega zaproponował mi zamieszkanie razem z nim w opuszczonej ziemiance po strażniku więzienia, znajdującej się na stromym brzegu zamarzniętej zatoki. Trzy ściany były wkopane w ziemi. Jedna ściana była sklecona z belek, z otworem na okno. Drzwi z desek. Zabraliśmy się do remontu naszej twierdzy! Wyrąbaliśmy płytę lodu, wstawiliśmy w otwór i oblaliśmy szczelnie dookoła wodą, która natychmiast zamarzła. Jedyną zewnętrzną ścianę oblepiliśmy warstwą wilgotnego śniegu. Dach z kory drzewa zasypaliśmy śniegiem. Z daleka widać było tylko sterczący komin z blachy. Wewnątrz stały dwie sklecone prycze, stół z nieheblowanych desek i żelazny piecyk. Okno z lodu przepuszczało słabe światło. Biedne pomieszczenie, ale za to mieliśmy spokój. Po pracy opowiadaliśmy sobie z kolegą stare dzieje, siedząc na pryczy przy kopciłce (bańce z naftą i szmacianym knotem) przy rozgrzanym piecu. Do północy paliliśmy w piecu. Ale rano wstawaliśmy zmarznięci. A jeśli zostawiliśmy szklaną bańkę z wodą, to rano zamieniała się w lód, a bańka pękała.

Mróz się wzmagał. Syberyjska zima w pełni. Pracowałem przy rąbaniu drzewa. Następnie przenieśli mnie do pracy przy remoncie maszyn. Pewnego razu pracowałem na zimnym pokładzie statku. Niechcący rozlałem trochę benzyny na rękawice. Momentalnie palce u rąk tak mi zmarzły, że biegłem do ciepłuszki (ogrzane pomieszczenie dla odpoczynku robotników), aby je ogrzać. „Dobrze, że nosisz rękawice z jednym palcem. Gdybyś nosił rękawice z pięcioma palcami, mógłbyś zostawić zmarznięty palec w rękawicy", śmiali się ze mnie współpracownicy, gdy nacierali mi ręce śniegiem.

Poznałem Żyda zesłanego na Syberię za trockizm. Bardzo inteligentny człowiek. Jest inżynierem budowy maszyn. Tutaj pracuje jako buchalter. Jego rodzina została w Leningradzie. Każdy list, który otrzymuje, przychodzi otwarty – kontrolowany. Nazywa się Gonciarow. Wieczorami gram z nim w szachy. Przeważnie przegrywam. Zesłali go w 1935 roku i już trzy razy zmienili mu miejsce pobytu.

W soboty po pracy jechałem do Jakucka, do siostry. Nie było regularnego transportu i stale szukałem okazji. Były to przeważnie amerykańskie ciężarówki Studebakery i Chevrolety. Gdy szofer chciał zapalić motor, musiał robić ogień pod autem, aby rozgrzać auto. Oblewał szmaty benzyną i kładł je pod motorem. A jeśli zapaliło się wiadro z benzyną, siadał na wiadrze i próbował zdusić ogień. Spotkałem już dwóch szoferów z odmrożonymi palcami u rąk.

W poniedziałki nad ranem wracałem od siostry do Zataju – przeważnie piechotą. Pewnego razu wracałem do pracy o godzinie czwartej nad ranem. Noc. Silny mróz.

Gęsta mgła – nic nie widać. Zabłądziłem. Sam w tajdze. Ścieżka pod nogami mi zginęła. Chodziłem po śniegu i nie wiedziałem, o co się potknę przy następnym kroku. Jedynym dźwiękiem było skrzypienie śniegu pod nogami. Żadnego głosu dookoła. Bardzo przykre uczucie. Musiałem być w ruchu, aby nie zamarznąć. Straciłem orientację. Nie wiedziałem, czy idę w dobrym kierunku, czy wracam do Jakucka. Na moje wołanie nikt nie odpowiadał. Byłem już ze dwie godziny w drodze. Ogarnął mnie strach. Muszę być w ruchu, aby nie zamarznąć. Potknąłem się o jakiś pień drzewa. Poruszałem się teraz z wyciągniętymi rękoma jak ślepiec. Nie było widać metra przed sobą. Nareszcie usłyszałem daleki turkot jakiegoś samochodu. Skierowałem się w tym kierunku. Wyszedłem na jakąś drogę. Idę drogą – żadnego ruchu. Znowu nie wiem, czy wracam do Jakucka, czy idę do Zataju. Najważniejsze, aby być w ruchu, aby nie zamienić się w słup lodu. Zaczęło świtać. Nie było słychać żywej duszy dookoła. Ogarnęła mnie rozpacz. Moja siostra już zapewne wstała i poszła do pracy, zadowolona, że zdążyła wyprać i wysuszyć na mrozie moją bieliznę i naprawić porwaną kufajkę. A ja jestem zadowolony, że nie wie o tym, że ja błądzę we mgle i mrozie. Nareszcie usłyszałem zbliżający się tupot konia. Zacząłem nawoływać. Z mgły wyłoniły się sanie i stanęły przede mną. Człowiek otulony od stóp do głowy w ciepły kożuch spytał zdziwiony: „Dokąd ty idziesz?". „Do Zataju", odpowiedziałem. „Gdzie ty, a gdzie Zataj", odpowiedział, dodając popularne przekleństwo. „Siadaj na sanie, dowiozę cię do Morchy, a stamtąd dasz sobie radę". Zdjął z kolan skórę jelenia, owinął

mnie i po półgodzinie sanie zatrzymały się przed stołówką w Morsze. Wszedłem do ciepłej stołówki i ku mojej radości spotkałem dziewczynę z naszego transportu, która tam pracowała. „Zorganizowała" dla mnie kieliszek spirytusu, nakarmiła i napoiła mnie. Odpocząłem trochę. Opowiedziała mi, że są pogłoski, że odeślą nas w lecie na Kaukaz. Razem marzyliśmy, aby tak się stało. Mgła opadła. Dziewczyna i Rosjanin wskazali mi drogę i znów maszerowałem po skrzypiącym śniegu.

Do Zataju wróciłem zmęczony już przed południem. Zdziwiłem się, gdy spotkałem ziemiankę zamkniętą na kłódkę. Mój współlokator widocznie też nie był w domu w niedzielę. Musiałem zdjąć rękawicę, aby kluczem otworzyć drzwi. W ziemiance panował mróz jak na dworze. Widocznie od soboty nie była opalana. Musiałem się przebrać i pójść do roboty. Zdjąć ubranie jeszcze potrafiłem, ale ubrać się już nie mogłem. Ręce skostniały. Naciągnąłem spodnie, ale nie mogłem się zapiąć. Narzuciłem na siebie kufajkę i trzymając spodnie w rękach, nie zamknąwszy ziemianki, pobiegłem do ciepłuszki. Stałem się pośmiewiskiem dla wszystkich tam obecnych. Rosjanie pomogli mi zapiąć spodnie i ubrać, rozgrzałem się trochę i poszedłem zameldować się do pracy. Spotkałem się z nieprzyjaznym spojrzeniem urzędnika. „Za spóźnienie do pracy u nas sądzą", powiedział. Nie chciał nawet słuchać mojego usprawiedliwienia. Na szczęście znalazłem się w pobliżu kapitana naszego okrętu i ten załagodził sprawę.

Nadal pracowałem na brzegu przy różnych robotach. Zima w pełni. Mrozy dochodzą do 60°c. W soboty po

pracy starałem się jeździć do siostry i tam razem z małą Felą i Rózią marzyliśmy o jabłkach, a nawet winogronach, które będziemy jeść na Kaukazie. Ale na razie trzeba wytrzymać zimę.

Pewnego dnia mechanik posłał mnie do Nancy. Osiedle oddalone o około 90 kilometrów, na brzegu Leny. Miałem tam zawieźć jakąś część do turbiny, która wyrabia prąd elektryczny. Nauczyli mnie, jak ją zainstalować i uruchomić. Całe osiedle Nancy pozbawione było prądu elektrycznego. Warsztaty unieruchomione. Aby jak najszybciej przekazać tę część, postanowili, że Jakut zawiezie mnie na miejsce na saniach zaprzężonych w psy. Jakut zaprowadził mnie do jurty. Schyliłem się, aby przejść przez wąski otwór. Jakut posadził mnie na skórze zwierzęcej. Dookoła pieca siedziała cała rodzina, palili tytoń z liści w porcelanowych fajkach. Ugościli mnie mocną herbatą bez cukru. Pytali, czy chcę, aby mi wsypali trochę pieprzu do herbaty. Wewnątrz czuć było dym i dziwny zapach skór zwierzęcych. Na zapytanie, dlaczego dzieci palą, odpowiedzieli, że tytoń i pieprz w herbacie rozgrzewają ciało. Tymczasem gospodarz zaprzągł do prymitywnych sań siedem psów, wyciągnął z jurty kilka kożuchów i skór. Odział mnie w ciężki tułub (ogromny kożuch, który zakrywa całe ciało). Zabrał ze sobą chłopczyka (może sześcioletniego). Powiedział coś do obecnych po jakucku i wyczołgałem się z jurty. Z trudnością wgramoliłem się na sanie. Chłopczyk uśmiechał się do mnie. Gospodarz pobiegł do pierwszego psa, zaczął krzyczeć po jakucku, psy ruszyły w drogę, a Jakut skoczył na sanie. Jechaliśmy wzdłuż brzegu rzeki.

Słońce świeciło nisko na horyzoncie. Dookoła biało. Słychać tylko skrzypienie śniegu, poszczekiwania psów i echo odbijające się gdzieś daleko w lesie. Chłopczyk schował się cały w skórzanym worku i widocznie zasnął. Jakut odpowiadał na moje pytania. Większość Jakutów zajmuje się myślistwem. Polują na białe i srebrne lisy oraz dzikie jelenie (sochaty). Mięso jedzą, a skórę oddają państwu za znikomą cenę. W okolicach Jakucka sanie ciągną przeważnie renifery (jelenie), bo te znajdują sobie same pokarm w lesie. W zimie nogami rozgrzebują w lesie śnieg i jedzą zamarznięty mech, którego jest tutaj pełno. Natomiast psy trzeba karmić mięsem albo rybami. Na północy koło ujścia Leny nic nie rośnie, natomiast rzeka obfituje w ryby, dlatego tam jedynym środkiem lokomocji są psy.

Sanie szybko przesuwały się po białym, oślepiającym od promieni słońca śniegu. Ciekawy byłem opowiadania Jakuta i nie zauważyliśmy, że chłopczyk wypadł z sań. Ja pierwszy spostrzegłem, że nie ma na saniach worka z dzieckiem. Jakut skoczył z sań, pobiegł i zatrzymał pierwszego psa, zawrócił w powrotną drogę, siadł do sań i jak gdyby nic się nie stało, dalej opowiadał o życiu Jakutów. Ujechaliśmy może z 5 kilometrów, aż zauważyliśmy na śniegu zagubiony worek. Jakut zarzucił worek z dzieckiem na sanie, znów zawróciliśmy i podążyliśmy w drogę. Byłem bardzo niespokojny, czy dziecko nie zamarzło. Potrząsnąłem mocno workiem, aż dziecko obudziło się i zaczęło płakać. Przewodnik spokojnie dalej prowadził rozmowę. Z daleka usłyszeliśmy szum motoru samolotu, który lądował na saniach (zamiast kół) na brzegu zamarzniętej rzeki. I znów cisza,

śnieg i lasy. Na gałęziach drzew leży może dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu i żaden wiaterek go nie strąca. Słychać tylko pokrzykiwanie Jakuta na psy i odbijające się kilkakrotnie echo. Niekiedy słychać łamiącą się gałąź pod ciężarem śniegu. Po drodze woźnica ugościł mnie zmarzniętym, surowym mięsem zająca. Skrobał je nożem i jadł ze smakiem. Spróbowałem, ale nie mogłem tego jeść.

Było już zupełnie ciemno, gdy zmarznięci przyjechaliśmy na miejsce. W małym osiedlu w lesie już nas oczekiwali. Wyładowaliśmy przywiezioną część motoru. Pożegnałem się z Jakutem i uśmiechniętym dzieckiem, wyruszyli w swoją drogę. W drewnianym domku u mechanika było ciepło. Zdjąłem kożuch. Napoili mnie gorącą herbatą, a gdy trochę oprzytomniałem, stała już na stole obfita kolacja i butelka spirytusu. Trzy dni byłem w Nancy. Uruchomiliśmy turbinę i znów było światło elektryczne. Ludzie w osiedlu zajmują się w lecie rybołówstwem, a w zimie polują na zwierzynę i rąbią las na budowę domów. W powrotną drogę do Zataju jechałem gazownikiem. Jest to małe auto o ciężarze półtorej tony, którego siłą napędową są kostki drzewa zamiast benzyny. Siedzieliśmy w trójkę w zamkniętej kabinie, popijając od czasu do czasu łyk spirytusu z butelki i po około trzech godzinach przyjechaliśmy na miejsce.

Sybirska zima w pełni. Mróz dochodzi do 55–60°c, ale staje się cieplej na duszy, bo głośniki radiowe przekazują dobre wiadomości z frontu. We wrześniu 1943 roku wojska amerykańskie wylądowały na południowych brzegach Francji, co spowodowało upadek Mussoliniego.

Dziewiętnastego listopada 1943 roku wojska Armii Czerwonej zaczęły atakować miasto Stalingrad. Dowódca sił niemieckich generał Paulus był zaskoczony potęgą i ilością wojska, które skutecznie zamknęło wszystkie drogi do miasta Stalina. Paulus z jego armią został odcięty od świata. Armia hitlerowska nie dostawała więcej siły ludzkiej, broni ani żywności. Armią Czerwoną kierował legendarny marszałek Żukow. Walki toczyły się w ciężkich warunkach, podczas gdy temperatura dochodziła do –30°c. Rosjanie są przyzwyczajeni do mrozów, natomiast Niemcy stali się niezdolni do walki. Rankiem 17 grudnia 1943 roku wojska sowieckie przerwały linie obrony sił niemieckich. Pomimo ciężkich warunków, w jakich znajdowała się armia Paulusa, dostała ona od Hitlera rozkaz, by się nie poddawać.

Pracowałem na statku przy czyszczeniu kotłów. Rozbijałem młotem kamienny nakip na wewnętrznych ścianach kotłów i marzyłem o powrocie do domu, do rodziców i sióstr. Widziałem ich w swojej wyobraźni i opowiadałem im o naszych przeżyciach.

Z zadowoleniem słuchałem wiadomości radiowych z głośników zawieszonych na słupach telegraficznych. Niemiecka potęga się łamie. Mój przyjaciel Josef przywiózł z Jakucka świeże wiadomości. Oblężeni Niemcy zamarzają. Nie mają odpowiedniej odzieży, głód, beznadzieja i zupełny brak warunków sanitarnych powoli ich wykańcza. Były wypadki, że rosyjski żołnierz strzelał do stojącego na warcie Niemca i on nie padał. Gdy do niego podchodził,

okazywało się, że Niemiec już dawno zamarzł i tylko posąg z lodu trzymał jeszcze karabin w ręce.

Politruk teraz częściej wzywa nas do świetlicy i z dumą opowiada o zwycięstwach armii pod wodzą Stalina. Połykam teraz wszystkie wiadomości z frontu. Nawet okrutna zima syberyjska wydaje mi się teraz nie tak straszna. Moja siostra, mała Fela i Rózia oddają w Jakuckim szpitalu krew dla rannych żołnierzy Armii Czerwonej. Dostają za to trochę więcej żywności i są dumne, że biorą tym samym udział w wojnie z Niemcami. Rosjanie zdobyli wszystkie lotniska, z których można było dostarczyć zaopatrzenie dla oblężonych Niemców.

Już dwa miesiące trwają walki w Stalingradzie. Z początkiem wojny z Rosją walczyło 285 tysięcy niemieckich żołnierzy. Teraz w Stalingradzie znajduje się 90 tysięcy rannych, chorych, głodnych, niezdolnych do walk niemieckich żołnierzy. Nareszcie generał Paulus poddał się z całym wojskiem i dostał się do niewoli. Potęga i duma Niemców załamała się. Armia Czerwona goni teraz Niemców na zachód. Zdobywają wieś za wsią, punkt za punktem. Politruk opowiada o tym z dumą. Takiego oblężenia jeszcze w historii nie było. Trzy armie radzieckie okrążyły Stalingrad. Prawie co sto metrów ustawiono armaty. Niemcy odstąpili Leningrad. Mróz, głód, nienawiść mieszkańców daje im się we znaki. Nasi ludzie teraz rozmawiają tylko o klęskach niemieckiej armii. Budzi się na nowo nadzieja i tęsknota za domem i rodziną. Organizuje się grupa obywateli polskich w Moskwie i tworzą Armię

Kościuszki, która ma walczyć wraz z Armią Czerwoną przeciwko Niemcom. Tę grupę organizuje Wanda Wasilewska. Grupa naszych ludzi wraz ze mną zwróciła się do NKWD, aby nas przyjęli do wojska, lecz odpowiedzieli, że na razie nie werbują z Jakucka.

W styczniu 1944 roku wiele mówili w radiu o historycznym spotkaniu wodzów świata w Jałcie, które miało przyspieszyć upadek Hitlera i dzięki któremu miał nastąpić pokój na świecie. Teraz starałem się więcej spotykać z Felą i całą naszą grupą.

Zima zbliża się ku końcowi. Dni stają się dłuższe. Mróz słabnie. Marynarze kopią rowy w lodzie dookoła okrętów i barek tak głęboko, że widać tylko ich głowy nad lodem. Wszystkie załogi szykują się do wiosny, do tego czasu, gdy okręty i barki oderwą się od lodu i zacznie się oczekiwana nawigacja. Osiedle Zataj wraca do życia. Ludzie stają się weselsi. Coraz częściej słychać stukot młotów na okrętach i w warsztatach. W nowo wybudowanej świetlicy (która służy również jako kino) politruk pokazuje na mapie, jak Armia Czerwona posuwa się na zachód. Zakończył jak zwykle słowami o przygotowaniach do nawigacji i o potrzebie wysiłków dla wykonania planu przewozów i zwycięstwa nad faszyzmem.

POŻEGNANIE Z OKRĘTEM „WIERCHOJAŃSK"

Rozeszły się między naszymi ludźmi pogłoski, że przewiozą nas na Kaukaz. Marzę w dzień i śnię w nocy o wyjeździe z mroźnej Syberii i o słonecznej miejscowości w górach Kaukazu, gdzie będziemy jeść jabłka, winogrona, pomarańcze, a najważniejsze – zbliżymy się do Polski, do naszych rodziców i rodzeństwa. Pogłoski się wzmagają. Teraz już i w NKWD mówią o tym, że przyszedł telegram z Moskwy, że nas odprawią na południowy zachód w czerwcu albo lipcu.

Rozmyślałem. Jeśli będę pracować na okręcie, pojedziemy na północ. Nie będę w kontakcie z naszymi ludźmi. Oni mogą wyjechać, a ja zostanę na okręcie. Zacząłem rozmawiać z naszym głównym mechanikiem, aby mnie zwolnił z pracy na okręcie i znalazł dla mnie robotę na lądzie. Ale ani on, ani kapitan nie chcieli nawet słyszeć o zwolnieniu mnie z pracy. Mechanik przekonywał, że nie wypuszczą nas z Syberii. Obiecał, że przeprowadzi mnie do oddziału maszyn, nauczy mnie być mechanikiem maszyn. Spodziewają się, że podczas zbliżającej się nawigacji nadejdą z Ameryki nowoczesne okręty, gdzie siłą napędową jest ropa naftowa, a nie węgiel, i ja będę mechanikiem na

takim okręcie. Oczywiście, że nie myślałem nawet o tym. Stanowczo poprosiłem o zwolnienie z okrętu.

Początek maja. Wiosna. Śnieg taje i tworzy nowe rzeki i wodospady, które z szumem wpadają do Leny. Poziom wody na Lenie się podnosi. Niektóre okręty zapaliły już piece kotłowe. Widać dym z kominów okrętowych. Słychać już syreny. Przyroda i ludzie budzą się do nowego życia. Do nowych zadań i wyczynów. Wszystkim raźniej na duszy. Nauczyłem się kochać Jakucję. Jej grozę, mrozy i piękno przyrody. Zapoznałem się z serdecznymi Rosjanami, którzy mogą być przyjaciółmi nawet w tak okrutnych warunkach klimatycznych. Chciałbym być w mieście i słuchać wiadomości. Ale na razie tkwię tutaj, w Zataju. Znów mieszkam we wspólnym pomieszczeniu, bo musieliśmy oddać gospodarzowi ziemiankę. Na okręcie zimno, bo jeszcze nie zapalili pieców.

Cały mój dobytek wepchałem do worka, który służy mi za poduszkę na górnej pryczy. Pluskwy nie dają mi spokoju. Przechodzę z łóżka na podłogę, ale wszędzie mnie znajdują i nie dają spać. O północy wyszedłem na dwór. Pomimo wiosny noce są jeszcze mroźne. Widziałem (może po raz ostatni) zorzę polarną. Po niebie tańczą przeźroczyste, różnobarwne zasłony, przez które przeglądają jaskrawo kolorowe (jak zasłony) gwiazdy. Cicha noc. Od brzegu dochodzą głosy wodospadów, które nie zamarzły. Stoję wpatrzony w niebo, które teraz faluje jak morze, a z północy znów nadchodzą nowe świetlne i jaskrawo kolorowe zasłony. Jestem teraz może jedynym żywym człowiekiem w Zataju, który o północy wpatruje się w niebo. Stoję jak

skamieniały. Zapomniałem już o pluskwach i zimnie. Chcę zapamiętać to zjawisko świetlne, abym mógł opowiedzieć o nim moim rodzicom, gdy wrócę do domu. Ale tam, na północy, przy Oceanie Lodowatym zorza jest o wiele piękniejsza.

Ludzie zaczynają opróżniać pomieszczenia. Przechodzą na barki albo okręty, zwalniają się prycze. Zostało nas piętnaście osób w pomieszczeniu. Przeważnie karciarze, pijacy i złodzieje. Nieprzyjemnie. Pracuję na okręcie przy czyszczeniu maszyn. Przyjęli do pracy chłopca, może czternastoletniego. Upił się i usnął na kotłach. Nazajutrz znaleźli go. Zęby mu szczękały z zimna i cały był wymazany azbestem. Przyszła do niego młodsza siostrzyczka – może dziesięcioletnia. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem jak stary palacz. Zapytałem ją, od kiedy pali. „Od dawna", odpowiedziała obojętnie.

Dostałem zezwolenie, by pójść do Jakucka. Między naszymi ludźmi ożywienie. Przygotowują się do odjazdu. Związek Polskich Patriotów posłał nam paczki żywnościowe (amerykańskiego pochodzenia) i dzielą je między naszymi ludźmi. Poszedłem do naczelnika NKWD i powiedziałem, że kapitan i mechanik stanowczo nie chcą mnie zwolnić z pracy, a ja chcę jechać tam, gdzie poślą wszystkich naszych ludzi. „Gdy nadejdzie termin opuszczenia Jakucji, odejdź z pracy i powołaj się na mnie – nie będą cię sądzić".

Ludzie już siedzą na paczkach. Kupują rzeczy na drogę, sprzedają niepotrzebny sprzęt i niecierpliwie wyczekują hasła do wyjazdu. Grupa chłopców i dziewcząt przygotowuje

pożegnalny występ w teatrze miejskim. Oczekują przedstawiciela z Moskwy, odpowiedzialnego za nasz wyjazd. Podobno jest już w Zajarsku, o około 2000 kilometrów na południe od Jakucka. Wróciłem do pracy i opowiedziałem kapitanowi o mojej rozmowie w NKWD. Uśmiechnął się tylko. Przyszedł z Jakucka mój kolega Josef z nowościami. „Było posiedzenie i ustalono, że wszyscy obywatele Polski z okręgu Ałdanu i Bodajbo przyjadą do Jakucka i stąd wyjedziemy na południe – prawdopodobnie do Saratowa nad Wołgą".

Lód na razie ruszył. Nasz okręt tym razem stoi w zatoce i nie grozi nam niebezpieczeństwo jak w ubiegłym roku. Zebrałem swoje manatki i przeprowadziłem się na okręt. Z brzegu mogłem teraz patrzeć na straszny żywioł „lodo-chodu". Patrzyłem, a w moich myślach widziałem, jaki cud wydarzył się w ubiegłym roku, że lód nie zmiażdżył naszego okrętu.

Lena się oczyściła z lodu i nasz okręt pierwszy wyruszył z zatoki w drogę do Zatonu. Byłem sam na służbie przy piecach. W Zatonie przyszła komisja dla zbadania sprawności odremontowanego okrętu. Puszczali okręt w ruch „pełnym chodem", to znów nagle stopowali i znów „pełnym chodem" z uruchomieniem wszystkich maszyn rezerwowych.

Manometr w kotłowni, który wskazuje ciśnienie pary w kotłach, skakał jak zwariowany. Ja z kolei musiałem mocno się pocić, aby utrzymać normy pary, gdy okręt był w pełnym ruchu, natomiast gdy zmniejszał bieg, musiałem obniżyć ciśnienie (puszczając wodę do kotłów). Gdy

komisja weszła do kotłowni i spytali, dlaczego jest tylko jeden palacz, podczas gdy powinni pracować dwaj, wówczas mechanik zaczął mnie wychwalać, opowiadając im, jakie ułatwienia wynalazłem, co daje wiele oszczędności dla państwa i jak nie umiałem trzymać łopaty w rękach, gdy zacząłem pracować na statku. Komisja uznała, że okręt jest zdolny płynąć do Oceanu Lodowatego. Załoga zaczęła się przygotowywać do nawigacji na północ rzeki.

Znowu musiałem opuścić miejsce pracy, ciepłą kajutę, przyjaciół, którzy mi pomogli zadomowić się. Serdeczną kucharkę, która dbała, abym był syty, i karmiła mnie smakołykami. Uśmiechniętego Fiedię, który odnosił się do mnie jak do młodszego brata, który mnie wyręczał, gdy miałem wodne pęcherze na rękach. Mechanika, któremu mam do zawdzięczenia, że nie sądzono mnie za sabotaż, który mnie na rękach zaniósł do łaźni po wyciągnięciu mnie z lodowatej rzeki, w której o mało nie pożegnałem się z życiem. Miałem wrażenie, że żegnam drugą rodzinę, która przygarnęła mnie, dbała o mnie i dała mi dom na wygnaniu. Poznałem ich obyczaje i ich cierpienia. Czułem się jednym z nich. Namawiali, abym został na statku. Jednak moje myśli i serce dążyły do domu, do ojca, matki, sióstr, do Polski, do rodzinnego miasta, gdzie spędziłem beztroskie dzieciństwo, gdzie kwitnie bez i czereśnie, gdzie zielenią się zasiane pola, gdzie złocą się w słońcu dojrzałe kłosy zboża. Tam ja należę i tam chcę wrócić wraz z moją siostrą.

Zapakowałem do worka moje manatki, jeszcze raz wszedłem do świetlicy, pożegnałem się z kapitanem na

mostku i z łocmanem, który mnie z taką nieufnością przywitał, gdy pierwszy raz stąpałem po uginającym się mostku na statek. Zszedłem do kotłowni, gdzie w przeciągu dwóch lat wylałem morze potu, gdzie zahartowałem się od ciężkiej pracy fizycznej. Ze łzami w oczach uścisnąłem twardą dłoń Fiedii. Pożegnałem się z całą załogą. Wziąłem swój worek na plecy. Jeszcze raz spojrzałem na oczyszczoną z lodu Lenę i po raz ostatni zszedłem po uginającym się mostku na brzeg. Długo jeszcze stałem na brzegu i patrzyłem, jak marynarze wciągają mostek na statek, jak odłączają stalowy sznur od brzegu. Moi przyjaciele machali mi jeszcze czapkami na pożegnanie. Syrena statku dała sygnał odjazdu. Ogromne koła zaczęły uderzać w wodę i statek zaczął oddalać się od brzegu, zostawiając dwa spienione pasy na wodzie i sznur czarnego dymu na niebie. Żegnaj, „Wierchojańsk", więcej cię nie zobaczę.

Znów jestem sam, z workiem na plecach. I co dalej?

BŁYSK NADZIEI

Znów zamieszkałem we wspólnym pomieszczeniu wraz ze złodziejami i pijakami. Dostałem pracę jako palacz kotłowy przy maszynie, która pogłębiała dno zatoki. Była to o wiele gorsza praca niż na statku, więcej godzin, niedostateczne jedzenie. Nie było przewiewu. Gdy otwieram piec, cały płomień uderza mnie w twarz. Przez całe moje życie nie przelałem tyle potu jak przez te dwa lata. A tutaj, w nowej pracy, ogień spala pot na mojej twarzy. Czerwona, spalona twarz bolała jeszcze bardziej, gdym się pocił.

Nasi koledzy urządzili przedstawienie, w którym przedstawiali upadek Hitlera. W przedstawieniu brała udział również moja siostra i mała Fela. W jakuckiej sali teatralnej było pełno naszych i rosyjskich obywateli. W przednich ławkach siedzieli naczelnicy NKWD. Ja siadłem w kącie z zawiązaną twarzą, bo wstydziłem się czerwonej, spalonej twarzy. W sztuce, którą napisał po rosyjsku nasz przyjaciel Edek Pinedes, przedstawiano, jak Hitler drapieżnymi pazurami zagarnia państwo za państwem (każda dziewczyna przedstawiała inne państwo), a w końcu łamią mu się pazury, gdy chce zawładnąć Związkiem Radzieckim, a Armia Czerwona łamie mu ręce i nogi, i wszyscy wołają „Hitler kaput".

Nasz wyjazd stale odkładają. Zaprzyjaźniłem się z Gonciarowem, Żydem, którego zesłali jeszcze w 1935 roku za trockizm. Wieczorami grałem z nim w szachy i przeważnie przegrywałem. Gdy chciał mi coś opowiedzieć o swojej rodzinie, którą zesłali do innego miejsca na Syberii, wychodził na korytarz, rozglądał się dookoła, wracał, zamykał drzwi i okna, i cicho skarżył się na swój los.

Nareszcie nadszedł wymarzony dzień. Dnia 15 lipca 1944 roku pożegnałem się z przyjaciółmi, zabrałem swój worek i udałem się do siostry w Jakucku. Zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu. Napisałem list do cioci w Palestynie, że opuszczamy Syberię i będziemy w drodze do domu. Sprzedałem swoje walonki, bo tam, na południu, nie będą potrzebne. Sprzedaliśmy żelazne łóżko, na którym spały dwie Fele. Za pieniądze kupiliśmy potrzebne produkty na drogę. Gdy kręciłem się między straganami na bazarze, usłyszałem znajomy głos. Odwróciłem się i ku mojemu zdumieniu poznałem mojego „dobrego" złodzieja, który ukradł mi kiedyś ciastka, gdy wychodziłem ze sklepu. Stał przy straganie i głośno nawoływał klientów. Serdecznie się ze mną przywitał. Spojrzałem na niego zdziwiony. Nie miał jednej ręki. On gorzko się uśmiechnął. „Upiłem się i usnąłem na śniegu. Obudziłem się w szpitalu bez ręki". Kupiłem u niego kilka kawałków mydła. Smutno patrzyłem mu w oczy. Opuścił głowę. „Nie mogę już sięgać do cudzych kieszeni". Jeszcze raz spojrzał na mnie i z gorzkim uśmiechem powiedział: „Nie martw się. U nas tylko osiem miesięcy w roku jest surowa zima, a reszta to lato, lato i bez końca lato".

Gdy nadszedł termin wyjazdu z Jakucka, podzielili nas na dwie grupy. Pierwsza grupa wsiadła na statek 21 lipca. Na statek, który mógł pomieścić 375 osób, załadowano ponad 500. Krzyki, kłótnie, ciasnota, miażdżono nogami dobytek, ale w końcu radość zwyciężyła. Gdy statek ruszył, wszyscy stali na pokładzie. Żegnali się z nami, wymachując czapkami i śpiewając żydowską piosenkę: „Do domu, do domu, bracia, do domu". Żegnaliśmy ich na brzegu i z niecierpliwością czekaliśmy na naszą kolej. Wróciliśmy do naszego mieszkania. Obie Fele latały i przerabiały stare suknie na ręcznej maszynie do szycia, którą kupiliśmy za oszczędzone pieniądze. Szukałem, co jeszcze można by spieniężyć. Spaliśmy na siennikach na podłodze. Nareszcie nadeszła nasza kolej. Spakowaliśmy nasz dobytek. Szafa, którą wraz z Josefem skleciliśmy ze starej skrzyni, została pusta. Tylko pluskwy spacerowały w niej spokojnie. Pożegnaliśmy serdecznych rosyjskich sąsiadów. Unieśliśmy na plecach nasz dobytek na brzeg. Długo czekaliśmy na statek. Już porządnie zmarzliśmy, gdy nareszcie wieczorem statek przybił do brzegu. Ciasnota. Stoimy na pokładzie pasażerskiego statku. Żegnamy wszystkich, którzy nas odprowadzili. Na mostku między okrętem i brzegiem stoi chłopiec – może siedemnastoletni, płacze. Na statku znajduje się jego siostra. Jego brat siedzi w więzieniu w Jakucku. Z okrętu wołają: „Jedź z nami!". Jego siostra płacze. Marynarze chcą wciągnąć mostek. W końcu chłopiec zszedł na brzeg. Zdecydował się zostać w Jakucku, by pomóc bratu.

Znów się żegnamy. Znów jedziemy w niewiadome. Ale tym razem w drodze do miejsca znajdującego się bliżej

domu. Weselej na duszy. Opuszczamy Syberię. Nie będę więcej błądzić w mroźną, zamgloną noc w tajdze. Nie narazimy więcej swojego życia, przejeżdżając przez Ciortową Ułowę. Nie będę więcej narażony, że lody zgniotą nasz okręt. Żegnaj Syberio, byłaś dla nas bardzo surowa i bezlitosna, ale polubiłem twoje dzikie i piękne krajobrazy, piękno zorzy polarnej, lodowce na morzu, bezkresną, ośnieżoną tajgę, a najważniejsze: dobrych, serdecznych ludzi rosyjskich, którzy pomogli nam przetrwać ten ciężki okres. Żegnaj, Jakucjo, więcej cię nie zobaczę, ale nigdy cię nie zapomnę.

Marynarze podnieśli kotwicę. Statek ruszył w drogę na południe. Chłopiec idzie jeszcze za okrętem i płacze. Siostra na pokładzie jeszcze coś woła za nim. Płyniemy naprzeciw prądowi. Wiatr wieje od południa. Statek z trudem porusza się na południe. Widocznie i przyroda utrudnia nam wyjazd z Jakucka. Ale nie ma powrotu. Płyniemy ku lepszej przyszłości.

Pierwsza sobota na okręcie. Ktoś odwrócił skrzynię – rozłożył biały obrus. Żona zaświeciła świeczki. Zmówiłem z innymi sobotnią modlitwę. Poczułem się znów Żydem. Przypomniałem sobie dom rodzinny. Sobotnią kolację. Całą rodzinę przy zastawionym stole. Moje myśli znów przenoszą mnie tam – daleko – do domu. Tak chciałbym wiedzieć, co teraz porabiają… Tak chciałbym przekazać im wiadomość, że siostra i ja jesteśmy zdrowi – wracamy – znów będziemy razem. Moja siostra stoi wpatrzona w wodę i nie słyszy mojego głosu. Ona również ma te same

marzenia. Ona również w wyobraźni znajduje się przy sobotnim, rodzinnym stole.

Głośniki radiowe na statku zwiastują, że Armia Czerwona zajęła Lwów, Stanisławów, Komarno. Wojsko zbliża się do Warszawy.

Na okręcie radość. Każdy z nas marzy o dniu po wojnie. O swojej rodzinie, o przyszłości. Nawet pogoda się polepszyła. Słońce grzeje. Woda gładka. Podziwiamy dzikie i piękne widoki. Spotykamy rybaków na łódkach. Niekiedy mijamy jakiś statek kierujący się do Jakucka. Już częściej widzimy na brzegu jakieś osiedle. Widać już gdzieniegdzie pasące się krowy. Coraz częściej widzimy uprawne pola. Na statku ciasnota, ale większość stoi na pokładzie, zapatrzona w wodę, lasy i góry, i marzy o powrocie do domu. Słychać pieśni rosyjskie i żydowskie. Są tutaj dzieci, które urodziły się w Jakucku, mamy tu nawet takich chłopców, którzy uczyli się na uniwersytecie. Są tutaj ludzie, którzy zostawili swoich najbliższych na cmentarzu żydowskim w Jakucku i postawili pomnik z drzewa, z wypalonymi słowami po hebrajsku. Są tacy, którzy zostawili swoich bliskich gdzieś po drodze przy brzegu, wykopali dołek i żaden znak po nich nie zostanie. Statek zatrzymał się przy brzegu osiedla Muchtaja. Mężczyzn zmobilizowano (tak jak na poprzednich przystankach) do załadowania drzewa na opał do kotłowni (od Jakucka na północ pali się węglem, bo są tam kopalnie węgla, natomiast na południu przeważnie drzewem). Na brzegu przy przygotowanych stosach drzewa oczekiwało nas czternastu ludzi,

wychudzonych, w połatanych szmatach, których zabraliśmy na okręt. Byli to również wygnańcy z Polski, których los był jeszcze gorszy od naszego. Gdy patrzyłem na nich, jak chciwie jedli chleb, który dostali na okręcie, wydawało mi się, że w stosunku do nich my byliśmy w raju. Patrząc na nich, wyobrażałem sobie, jak Rosjanie żyli okrążeni przez Niemców w Leningradzie i Stalingradzie.

Minęliśmy granicę Jakucji i zatrzymaliśmy się w Kiereńsku. Po raz pierwszy od blisko czterech lat jedliśmy świeżą cebulę i ziemniaki. Tutaj są już uprawne pola, podczas gdy w Jakucji rolnictwo nie udaje się, bo ziemia jest wiecznie zamarznięta.

Siódmego sierpnia 1944 roku statek zakotwiczył przy brzegu osiedla Osietrowo. Podróż okrętem się skończyła i wyładowaliśmy bagaże na brzeg. Tak jak przed czterema laty przywitała nas cała armia komarów. Miejscowi ludzie chodzili z siatkami (woalkami) na twarzy. W Osietrowie oczekiwali nas ludzie z pierwszej grupy, którzy wyjechali z Jakucka. Wielu z nich było opuchniętych od ukąszeń komarów. Dowiedzieliśmy się, że większa część ludzi z pierwszej grupy odjechała już ciężarowymi autami, a pozostali czekają na swoją kolej. W zamian za nici do szycia i mydło dostaliśmy od miejscowej ludności pomidory, ogórki, ziemniaki a nawet maliny. Na polach widać było uśmiechające się do słońca makówki i słoneczniki. Koło zagrody spacerowały brodate białe kozy. Takich widoków w Jakucji nie było. Na drugi dzień udało nam się załadować na otwarte auto ciężarowe jadące do brzegów rzeki Angara. Przed czterema laty droga ta była wyboista i niebezpieczna.

Obecnie jedziemy asfaltową drogą dwudziestotrzyosobową grupą wraz z paczkami w aucie. Po drodze napotkaliśmy auto, które wiozło duże butle spirytusu. Szofer tego auta zwrócił się o pomoc do naszego kierowcy. W zamian za duże butle spirytusu oddał zapasowe koło za uszkodzone. Nasz kierowca popijał sobie po drodze i dalej jechał. Po drodze zatrzymywał przejeżdżających kierowców i razem sobie popijali. Okazało się, że i tamci mieli niemały zapas spirytusu. Nasz chłopak siedział w kabinie i uważał, aby szofer nie usnął. Kobiety krzyczały, błagały, aby przestał się upijać, a on podśpiewywał sobie i pędził jak zwariowany, aż wjechał z nami do rowu. Na szczęście nic się nikomu nie stało. Z prośbami i przekleństwami pomogliśmy mu wyciągnąć auto z rowu i byliśmy szczęśliwi, gdy wieczorem zatrzymaliśmy się przy jakiejś szopie na nocleg. Po ponad dwóch dniach przyjechaliśmy do Zajarska. Na brzegu Angary siedzieli ludzie z naszego transportu oraz grupa Cyganów, którzy tak jak my uciekła od Niemców, zostali zesłani na Sybir, a obecnie wracali do Besarabii.

Oczekiwany statek „Karol Marks" zakotwiczył przy brzegu. Załadowaliśmy nasze tobołki. Dostaliśmy kabinę, która była przeznaczona na dwie osoby, ale zapakowano do niej sześć osób. Wielu ludzi nie dostało miejsca i ulokowali się na otwartym pokładzie. Ścisk, bałagan, kłótnie, deptanie po tobołkach, inni szukają swojego dobytku. Statek rusza. Nasz przełożony Jakow Słucki uspokaja, rozdziela miejsca, stara się jak może, ale pojemności statku nie może zwiększyć i nie może opanować krzyków. Przez tłum przeciska się Chaskiel ze skrzypcami w ręku. Wchodzi na

schodki mostku kapitańskiego i zaczyna grać żydowskie melodie. Melodie giną w szumie i kłótni ludzi. Powoli, powoli ludzie uspokajają się i zaczynają wsłuchiwać w bliskie sercu tony mistrzowskiej gry skrzypka. Zaczynają cicho nucić piosenki z domu, z czasów, kiedy jeszcze było dobrze. Mistrz nie przestaje grać. Obecnie z jego skrzypiec unoszą się tony *Kol nidrei*. Dźwięki unoszą się wysoko i nikną gdzieś w niebiosach, to znów potężnieją, grzmią, to znów łagodnieją, błagają, proszą, kwilą jak dziecko w kołysce. Słychać teraz płacz skrzypek. Ludzie zapomnieli o kłótniach, wsłuchani w mistrzowską grę wirtuoza. Teraz płyną tony bliskiej wszystkim pieśni *A jidisze mame* (Żydowska matka). Melodia wciska się głęboko w serce. Wszyscy zaczynają śpiewać. W oczach pojawiają się łzy. Każdy widzi przed sobą swoją własną matkę. Skrzypce milkną. Ludzie stoją jeszcze cicho jak przygwożdżeni, u niektórych płyną łzy po policzkach. Zapomnieli o niewygodach, o kłótniach.

Tam, gdzie nie mógł nasz organizator Jakow Słucki, tam potrafiły małe skrzypce w rękach mistrza.

NIESZCZĘŚCIE NA STACJI KOLEJOWEJ

Statek powoli posuwał się naprzód naprzeciw prądowi. Woda w Angarze ma silny prąd. Jest czysta, dobra do picia, lepsza niż woda Leny. Na brzegach widać uprawne pola, pasące się krowy i owce.

W radiu słychać dobre wiadomości. Warszawa zdobyta. Ludzie weseli, śmieją się. Zapomnieli o ciasnocie, niewygodach. Unoszą się na skrzydłach fantazji tam, do domu, gdzie zostawili swoich najbliższych, gdzie zostawili swoją młodość.

Przybyliśmy do Irkucka, stolicy Syberii. Gdy byłem jeszcze chłopcem, robiło mi się zimno, gdy słyszałem tylko tę nazwę – Irkuck. Wiedziałem, że Sybir to miejsce dla przestępców i dla przeciwników cara. A teraz… co dla mnie Irkuck, gdy ja wracam z najzimniejszego punktu świata, z okolic Wierchojańska, gdzie mróz dochodzi do 70°c.

Mała Fela kupiła u wieśniaków dwa jabłka. Patrzyliśmy na nie z uśmiechem i nadzieją. Zwiastowały one nową epokę i lepszą przyszłość. Wracamy z zimna, stamtąd, gdzie ziemia jest wiecznie zamarznięta i oto uśmiechają się do nas dwa rumiane jabłka, zwiastują lato, uprawne pola, owoce. Koniec ze szkorbutem. Są witaminy. Jedliśmy te

jabłka i wspominaliśmy ciasto z jabłkami, które mama piekła, i wino z kwaśnych jabłek, które ojciec robił i w gąsiorach ustawiał rzędem w piwnicy.

W Irkucku spotkaliśmy Żydów, uciekinierów z Ukrainy, którzy opowiadali o bestialskim odnoszeniu się Niemców do Żydów. Nie mogliśmy uwierzyć.

Zeszliśmy z okrętu w Nowostrojce. Dostaliśmy pomieszczenie w opuszczonych barakach bez okien. Po trzech dniach odwieźli nas na furmankach do stacji kolejowej w Irkucku. Na stacji spotkaliśmy naszych ludzi z pierwszej grupy. Przed czterema laty nasza grupa liczyła 1200 osób. Wielu umarło w Jakucji. Urodziły się tam również dzieci. Są tacy, którzy pożenili się z Rosjankami. Nasza grupa nie zmniejszyła się, ale teraz jadą z nami również wygnańcy z innych osiedli Jakucji. Po czterech latach znów widziałem ogromną lokomotywę. Przednie koła lokomotywy były większe ode mnie. Doczepili pięćdziesiąt trzy wagony.

Dwudziestego ósmego sierpnia wsiedliśmy do wagonów i pociąg ruszył na zachód, w drogę ku wolności. Jechaliśmy w wygodnych wagonach. Mijaliśmy uprawne pola, białe domy, fabryki, których nie było cztery lata temu. Leśny zapach drzew wkradał się przez okna, a w sercach zakwitała nadzieja i marzenia. Gdy nas wieźli na Sybir, wpakowali 56 osób do wagonu. Uzbrojeni żołnierze pilnowali wagonów przy zamkniętych drzwiach. Teraz nie pilnują nas. Wesołe rozmowy i śpiewy. Jedziemy i tym razem z Gotliebem, ojcem i synem. Matka umarła w Jurze. Nowosybirsk. Piękna stacja kolejowa. Ośmiopiętrowe domy, tramwaje. Stoimy

tu już parę godzin. Handlujemy z Rosjanami, zamieniamy mydło na jabłka i gruszki. Zostaje nam jeszcze trochę pieniędzy. Jedziemy dalej, z lasów dymią kominy. Podobno są tam fabryki broni. Na każdej stacji podobne widoki. Jak tylko pociąg zwalnia bieg, nasi chłopcy skaczą z wagonów i biegną z wiadrami do kranu z wrzącą wodą. Za chwilę tworzy się długa kolejka. Inni znów biegną na stronę, za wagony i między nie, załatwiają swoje ludzkie potrzeby. Miejscowi ludzie zaraz podchodzą do wagonów z plecionymi koszami z lepioszkami, owocami, gorącą strawą i zaczyna się handel. Pociąg rusza bez uprzedzenia. Ludzie skaczą w biegu do pociągu. Niektórzy w biegu zapinają spodnie, rozlewają gorącą wodę. Niektórzy nie zdążyli jeszcze dotrzeć do kranu z wrzątkiem i biegną z pustymi wiadrami, z przekleństwami na ustach. Prowadzący lokomotywę widocznie zna już te widoki i jedzie najpierw powoli, aż ludzie wpakują się do wagonów, i dopiero później zwiększa szybkość.

Minęliśmy Syberię. Przejeżdżamy tunele w górach Uralu. Pociąg zatrzymał się w mieście Ufa. To pierwsza stacja w Europie. Przez radio podają: „Warszawa jeszcze w rękach Niemców. Toczą się tam krwawe walki. Polska ludność strzela z okien i bram do Niemców, a Niemcy zamieniają Warszawę w kupę gruzu". Jedziemy dalej na zachód. Lokomotywa ciągnie teraz siedemdziesiąt wagonów. Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji w okolicach Kujbyszewa. Upał, siedzimy przy otwartych drzwiach. W wagonie duszno. Pociąg ruszył. Moja siostra Fela nie była w wagonie. Podbiegłem do otwartych drzwi. Wiele ludzi biegło

do wagonów. Widziałem moją siostrę, biegła do wagonu, ale pociąg zwiększał szybkość. Siostra odstaje. Nie potrafi dogonić naszego wagonu. Uspokoiłem się, gdy zobaczyłem, jak wskoczyła na schodki ostatniego wagonu, gdzie stała konduktorka z jakimś chłopcem. Chciałem już wejść do wagonu, jeszcze raz spojrzałem w kierunku Feli i nagle ona zeskoczyła ze schodów i upadła. Bez namysłu skoczyłem z biegnącego pociągu i pobiegłem do siostry. Podniosłem ją i trzymając się za ręce, biegliśmy za uciekającym pociągiem. Lokomotywa zaczęła zwalniać szybkość, dobiegliśmy do naszego wagonu. Ludzie pomogli mi wciągnąć siostrę do wagonu. Pociąg się zatrzymał. Fela miała pokaleczone ręce i kolana. Wszyscy pomagali zmyć rany i owinąć je szmatami. Pociąg ruszył dalej. „Dlaczego skoczyłaś z wagonu?", pytali wszyscy. „Konduktorka romansowała z naszym chłopcem. Gdy wskoczyłam do pociągu, kazała mi biec do mojego wagonu, a po chwili zepchnęła mnie ze schodów". Na następnej stacji zszedłem z wagonu, odszukałem konduktorkę, podszedłem do niej i spytałem, dlaczego zepchnęła Felę z biegnącego pociągu, nie czekałem na odpowiedź i wzburzony uderzyłem ją mocno w twarz. Chciałem ją uderzyć z drugiej strony, ale uciekła. Tymczasem zbiegli się nasi ludzie, schwycili mnie i nie pozwolili mi biec za nią. Jedni wołali, że należało jej się. Inni mnie uspokajali. Inni znów wołali, że nie wolno mi było jej uderzyć, bo jest na służbie. „Jeszcze cię mogą zdjąć z pociągu i posadzić. Tego ci brakuje, aby cię posadzili do więzienia, gdy już wracamy do domu?". Jakow Słucki, nasz człowiek, odpowiedzialny za transport, skrzyczał

mnie i powiedział, że konduktorka zgłosiła zajście na milicję i mogą mnie zdjąć z pociągu. Radził, abym przeszedł do innego wagonu. Aż do Saratowa wędrowałem z wagonu do wagonu, bo szukali mnie.

Saratow, ogromna stacja kolejowa. Mnóstwo torów kolejowych. Lokomotywy przesuwają wagony. Ludzie kręcą się między szynami kolejowymi. Trzeba być bardzo ostrożnym, aby nie wpaść pod koła jakiegoś wagonu. Organizatorzy z listami nazwisk rozdzielają nas na grupy i posyłają do okolicznych kołchozów i sowchozów. Wielu niezadowolonych prosi, aby ich przenieść na listę innego kołchozu. Nikt nie wie, gdzie będzie lepiej. Jedno już wiemy, że nikt z nas nie będzie zadowolony. Chaos, brak organizacji. Są osiedla bardzo oddalone od miasta i od kolei. Nie ma tu lasów. Opowiadają, że w zimie nie ma czym opalać mieszkania. Ogólne rozczarowanie. Co prawda delegaci osiedli obiecują złote góry, ale kto im wierzy? Ja z moją siostrą byliśmy zapisani razem. Mała Fela z jej siostrą, z którymi dotychczas mieszkaliśmy, były na liście innego osiedla. Namawiali nas, abyśmy prosili, by zapisali nas razem do innego osiedla. W końcu przenieśli nas razem do jakiegoś oddalonego sowchozu. Znów narzekania. Nareszcie postanowiliśmy, że pojedziemy tam, gdzie nas zawiozą, bo i tak nie wiemy, gdzie będzie lepiej. Przewieźli nasz cały transport na boczną linię w Engelsie. Czekamy, aż organizatorzy przewiozą nas na oznaczone osiedla.

Pewna starsza kobieta wśliznęła się pod wagon za swoją potrzebą, gdy bez żadnego ostrzeżenia przyczepili lokomotywę. Wstrząsnęło wszystkimi wagonami i pociąg ruszył

do tyłu. Spod kół usłyszeliśmy krzyk. Spojrzałem w tym kierunku. Obok szyn leżała urwana ręka, a spod kół kobieta usiłowała wygramolić się na zewnątrz. Krzyczeliśmy, żeby leżała i się nie ruszała. Kobieta nie słuchała i wysunęła nogi. Zmiażdżyły je koła. Pociąg stanął. Wyciągnęli kobietę spod kół. Była przytomna. Prosiła, aby zawołać córkę. Niedaleko od miejsca wypadku grupa ludzi siłą trzymała córkę, aby nie widziała, w jak okropnym stanie jest jej matka. Straszny widok… widzę jeszcze jej twarz po blisko pół wieku, gdy opisuję te wydarzenia.

Nasz chłopiec, który w Jakucku pracował jako sanitariusz, opatrywał skaleczoną kobietę. Zawieźli ją do szpitala. Na drugi dzień córka wróciła bez matki. Dwudziestego września 1944 roku pochowano kobietę niedaleko stacji kolejowej. Do grobu wrzucono oderwaną rękę, którą kiedyś karmiła swoją córkę, i zmiażdżone nogi, którymi przemierzyła całą Syberię i znalazła swoją śmierć już w drodze do domu. Straszny i niezapomniany widok.

W pierwszy dzień święta Rosz ha-Szana staliśmy nad brzegiem Wołgi i wrzucając okruszyny chleba do wody, modliliśmy się, aby w tym roku skończyły się już nasze cierpienia i abyśmy wrócili do domu, do rodziców i rodzeństwa, i mogli wspominać z całą rodziną nasze przeżycia.

Dwa dni po Rosz ha-Szana przyjechali przedstawiciele sowchozu, zapakowaliśmy nasz dobytek na furmanki i wyruszyliśmy w drogę. Nasz majątek ciągnął dwugarbny wielbłąd. Inne furmanki były zaprzężone w konie i woły. Pierwszy raz w życiu widziałem dwugarbne wielbłądy zaprzężone do wozu. Wielbłąd z podniesioną szyją i długimi

nogami majestatycznie ciągnął wóz po polnej drodze. Zatrzymaliśmy się koło jakichś straganów, kupiliśmy żółte melony, których nawet w Polsce nie ma, żółte, prawie kilogramowe pomidory, parę jabłek. Jedliśmy i wspominaliśmy Jakucję, gdzie nabawiliśmy się szkorbutu z braku witaminy C. Opowiadałem, jak kiedyś na statku dostaliśmy owocowy ocet amerykański i jak piłem łyżką ten płyn, bo organizm domagał się czegoś owocowego.

Jedziemy po stepie. Niezaorane połacie ziemi. Wiatr pogania kłęby suchych, spalonych od słońca ostów. Nie widać drzew. Spalona trawa. Od czasu do czasu widzimy z daleka jakieś małe osiedle, kilka drzewek i trochę zieleni dookoła. Nasz woźnica, Kazach, muzułmanin, zatrzymuje wóz, klęka na suchej ziemi, podnosi ręce do nieba, pada głową na ziemię i modli się do Allacha – swojego Boga.

Cały dzień jechaliśmy i przed wieczorem nasz woźnica zatrzymał się przy jakiejś przydrożnej chałupie w pustkowiu i powiedział, że tu będziemy nocować. Baliśmy się tego wysokiego, śniadego, skośnookiego, niegadatliwego Kazacha, ale nie było rady. Zdjęliśmy z wozu nasze tobołki i weszliśmy do wnętrza chałupy. Przywitała nas niemłoda już, niska i otyła Ukrainka. Ugościła nas herbatą z mlekiem. Zjedliśmy kolację z naszego zapasu. Woźnica przyniósł słomę, pościeliliśmy ją na glinianej podłodze i zmęczeni zasnęliśmy głębokim snem aż do rana. Nazajutrz jechaliśmy dalej i przed południem woźnica pokazał nam na widnokręgu cel naszej podróży: Prywołżski Sowchoz.

PRYWOŁŻSKI SOWCHOZ

Zbliżaliśmy się do osiedla. Małe domki ustawione równo w dwu rzędach, otoczone drzewami i zielenią, jak gdyby oaza w pustyni wyłoniła się przed nami. Jeszcze trochę i nasza męcząca podróż zbliża się do końca. Staje się nam lżej na duszy. Widać, że dobry architekt budował tę wieś. Gdzieniegdzie unosi się dym z komina, słychać szczekanie psa. Widać już stado krów pasących się w polu. Wjeżdżamy do wsi. Po obu stronach polnej drogi stoją drewniane, ze smakiem wybudowane domki, ale widać, że już dawno niepielęgnowane. Wiele domów pustych – niezamieszkanych, złamane drewniane płoty, wyłamane okna. Wiatr porusza okiennicami wiszącymi na jednym żałośnie skrzypiącym zawiasie. W następnym domu biała, brodata koza na przednich nogach wygląda z otworu, w którym kiedyś było okno. Widać pustkę i zniszczenie. Przy studni stoi kilka kobiet, które radośnie nas witają. Woźnica zawiózł nas na podwórze zarządu sowchozu (sowchoz – państwowe gospodarstwo rolnicze). Spotkaliśmy tam kilku naszych przyjaciół, którzy przyjechali jeszcze wczoraj. Wskazali nam dom, który nadawał się do zamieszkania. Ulokowaliśmy w pustym domu nasz dobytek i zaczęliśmy się rozglądać dookoła. Starsza miejscowa kobieta zaprosiła

nas na herbatę. Rózia pozostała przy tobołkach, a wczorajsza grupa razem z nami weszła do gościnnej sąsiadki. Samowar już kipiał. Piliśmy herbatę z jakiejś pachnącej rośliny. Kobieta opowiadała, że tę i okoliczne wsie wybudowali i zamieszkiwali niemieccy osiedleńcy, którzy tu przybyli jeszcze przed dwustu laty. Gdy wojska hitlerowskie podeszły aż do Stalingradu, władze sowieckie wysiedliły wszystkich kolonistów niemieckich na wschód – na Sybir. Wieś opustoszała. Nowo przybyli zaczęli niszczyć zabudowania. Z braku opału zaczęli wyrywać płoty, podłogi, drzwi. Niepielęgnowane drzewa zaczęły więdnąć. Po wysiedleniu wiele bydła błądziło w polu bez gospodarza, zabijano je na mięso. Kiedyś gospodarnie utrzymane i pielęgnowane gospodarstwa zostały obrabowane, zniszczone i opuszczone.

Przybyła reszta naszej grupy. Zamieszkaliśmy w domu, który miał dwie izby oddzielone przedpokojem, służącym za kuchnię. Zamieszkaliśmy w 14 osób w tym domu, po 7 osób w pokoju. Chcieliśmy być razem. Puste i obrabowane domy nas przestraszały. W pobliżu domu był ogródek z wyłamanym płotem, kilka uschniętych drzewek owocowych, pusty chlew, pusta buda dla psa oraz piwnica w podwórzu, do której schodziło się po złamanych drewnianych schodach. Kiedyś była drewniana budowla pod piwnicą, ale ktoś ją już rozebrał na opał. Nazajutrz cała nasza grupa zgłosiła się u kierownika sowchozu. Dali nam kartki żywnościowe, przydział do pracy. Nasza grupa liczyła około 30 osób. Zamieszkaliśmy w czterech domach, które można było jeszcze odremontować. Część naszej grupy posłali do

„sadu" – 12 kilometrów od osiedla, na wykop ziemniaków. Z sadu, który kiedyś tu istniał, została tylko nazwa. Tylko korzenie i pniaki świadczyły, że kiedyś tu rosły drzewa. Była tam duża stajnia i około 30 krów.

Nazajutrz dali nam narzędzia i wyruszyliśmy w pole razem z kilkoma miejscowymi mieszkańcami do roboty. Pole, gdzie mieliśmy kopać ziemniaki, zarosło suchymi chwastami, gdzieniegdzie odnajdowaliśmy uschłe badyle ziemniaków. Oczywiście plon był bardzo nikły. Rosła tam również marchew i gdy nikt nie widział, wyrywałem i zjadłem marchewkę. Jedno było pewne, że ze szkorbutu się tu wyleczymy. W nocy ktoś z naszej grupy musiał pilnować krowy, bo wilki zakradły się do zagrody.

Świeże powietrze, przebywanie na łonie natury, dostępność jarzyn oraz to, że jestem razem z siostrą i grupą naszych ludzi sprawiało radość, pomimo nieciekawej pracy na zaniedbanej roli. Razem z nami pracowała również grupa kobiet rosyjskich. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi i wieczorami przy ognisku śpiewaliśmy pieśni rosyjskie i polskie. W nocy słuchaliśmy chóru wilków, które wkradały się do zabudowań i pożerały owce i inne zwierzęta domowe. Między innymi zaprzyjaźniliśmy się z matką i dwiema córkami. Śpiewały ukraińskie dumki, bardzo melodyjne i ładne. Pewnego dnia Frosia, starsza córka, powiedziała, że jutro nie przyjdzie do roboty, bo będzie chora. Uważałem to za wymówkę dla brygadiera. Nazajutrz rzeczywiście nie była w pracy. A gdy wieczorem poszedłem ją odwiedzić, leżała na glinianej podłodze nakryta kocami i innymi szmatami, i trzęsła się z zimna, zęby jej szczękały

i nie mogła rozmawiać. Matka powiedziała, że to malaria i jutro będzie zdrowa. Dowiedziałem się, że wielu tu choruje na malarię i że nas również to czeka. Jest to choroba, która atakuje co pewien określony czas, tak że chory zna dzień i godzinę, kiedy dostanie ataku. Atak polega na tym, że człowiekowi staje się bardzo zimno, a później dostaje bardzo wysokiej gorączki, a na następny dzień jest już zdrowy, ale bardzo osłabiony; oczekuje następnego ataku.

Po dwóch tygodniach odwieźli nas furmankami zaprzężonymi w woły z powrotem do osiedla. Przewodniczącym sowchozu był z pochodzenia Tatar, barczysty i wysoki, około pięćdziesięcioletni mężczyzna bez czterech palców u lewej ręki, które podobno chłopi ucięli mu siekierą, gdy organizował kołchozy w latach dwudziestych. Nie zrobił na mnie przyjaznego wrażenia. Zaproponował mi, abym objął pieczę nad magazynami sowchozu. Poprzedni magazynier zwalniał się ze względów zdrowotnych. Powiedziałem, że się namyślę i dam odpowiedź. Dowiedziałem się, że poprzedni magazynier siedzi w więzieniu za „braki w magazynie". Obecny magazynier narzeka na przewodniczącego sowchozu. Bursztyn – nasz człowiek, z którym razem mieszkamy, starszy i inteligentny gość, który już pracuje w buchalterii w biurze, namawia, abym objął to stanowisko. On mi pomoże w ewidencji i jeżeli nie będę robił lewych interesów, nie mam się czego bać. Objąłem pracę. Magazynier, który przekazał mi posadę, wyjechał do Saratowa i ślad po nim zaginął. Okazało się, że brakuje wielu towarów w magazynie. Kierownik oddał sprawę do sądu. W mojej głowie zabłysła iskierka ostrzegawcza.

Nie chciałem wikłać się w nieczyste sprawy. Nie chciałem siedzieć w więzieniu, kiedy już jest nadzieja na powrót do domu.

Dość szybko opanowałem pracę. Pilnowałem każdego dokumentu, aby był dokładnie zapisany. Przykładałem się do swojej pracy. Co prawda mogłem dostać dla siebie i moich współlokatorów trochę więcej żywności, ale nie chciałem się wplątać w żadne lewe interesy, które mi proponowali. Kierownik sowchozu często polecał wydawać z magazynu różne towary, a ja musiałem upominać się o właściwy dokument. Stałem się podejrzliwy, szczególnie względem kierownika sowchozu. Czułem, że mogę wpaść nie za swoje grzechy. Zawartość wszystkich magazynów należała do mnie: plony zboża, które przywozili z pola, żywność, części zapasowe do maszyn rolniczych, cysterny z benzyną. Chodziłem od magazynu do magazynu z obręczą kluczy na ręku i z daleka ludzie słyszeli brzęk kluczy i wiedzieli, gdzie mnie znaleźć.

Raz kierownik przywiózł do magazynu mięso baranie i podał mi dokument do podpisania, potwierdzający, że wilki zagryzły barana. Spytałem go, kiedy wilki nauczyły się kroić nożem. Kierownik spojrzał na mnie, zaklął i zabrał całe mięso z powrotem. Pewnego razu wywołali mnie nad ranem z domu, abym przyjął do magazynu beczkę z wódką. Woźnica czekał na mnie na podwórzu z ogromną drewnianą beczką na wozie. Żadnego dokumentu nie miał. Miał tylko polecenie od kierownika, by oddać ją do magazynu. Zatoczyliśmy beczkę do bocznego składu i czekałem, aż kierownik przyjdzie do biura. Gdy

się zjawił, zapytałem o dokumenty, ale on wyjaśnił, że dostaliśmy tę wódkę jako nagrodę i mam ją rozdzielić według jego polecenia. Cała ta sprawa wydała mi się niejasna. Przyjąłem komisyjnie zawartość beczki. Było tam 130 litrów wódki, w której pływały setki much. Przecedziłem ją i przelałem do szklanych naczyń. Kartki z poleceniem kierownika zaczęły napływać. Zwróciłem się do głównego księgowego i powiedziałem, że nie mogę zaprzychodować wódki, bo nie dostałem żadnego dokumentu i nie wiem, skąd pochodzi. Księgowy porozmawiał z kierownikiem i powiedział, że nie trzeba zaprzychodować tej wódki, którą dostaliśmy jako nagrodę. Dla mnie było to dość podejrzane. Chowałem w domu protokół komisyjnie przyjętej wódki i każdą kartkę rozchodu z podpisem kierownika. Często dostawałem polecenie, abym przyniósł półtora litra wódki do domu kierownika i tam wraz z głównym księgowym oraz kochanką kierownika wypróżnialiśmy butelki. Na zakąskę przynosiłem kiełbasę z magazynu. Na kiełbasę miałem urzędowy dokument rozchodu, a na wódkę tylko pisemne polecenie kierownika. Starałem się nalewać im do szklanek i udawałem, że piję, a gdy już byli podpici, nie wiedzieli, że u mnie pierwsza szklanka stoi jeszcze niewypita. Gdy przychodziłem do domu po takiej pijatyce, moja siostra tylko patrzyła na mnie, a gdy się uśmiechałem, mówiła ze złością: „Znów piłeś?".

W sowchozie brakowało mężczyzn. Wszyscy zdrowi mężczyźni byli na froncie. Do magazynu (który kiedyś był świetlicą albo lokalem występów artystycznych – świadczyły o tym artystyczne malowidła na podrapanych

ścianach) przywozili wilgotne jeszcze zboże z pól i kilku niemieckich jeńców wojennych stale przewracało łopatami nasypane zboże, aby nie zgniło. Pewnego razu wszedł do magazynu ze zbożem rosyjski inwalida wojenny i zaczął dyskutować z jeńcami. Chwycił żelazny łom i chciał uderzyć jeńca. Zdążyłem dobiec i wyrwać łom z ręki inwalidy. Uratowałem życie Niemca.

Piąty Jom Kipur wypadł 27 września 1944 roku. Zebraliśmy się razem wieczorem w naszym domu i w ciemności marzyliśmy o powrocie do domu. Nikt z nas nie miał modlitewnika i nie mogliśmy się modlić, ale pościliśmy cały dzień.

Moja siostra i mała Fela szyły suknie ze starych szmat albo kolorowych wstążek, które zdobyły na bazarze w Engelsie i zamieniały je na produkty miejscowych kobiet. Czasami udawało mi się pojechać do Engelsa i Saratowa. Spotykałem się z naszymi ludźmi, wspominaliśmy Sybir, dzieliliśmy się wiadomościami z frontu. Marzyliśmy o powrocie do domu. Odwiedzałem bazary, gdzie można było kupić kawałek mydła albo inne potrzebne rzeczy. Kobiety pracowały w polu, orały, pracowały na traktorach, zastępowały mężczyzn, którzy byli na froncie. Na bazarach widać było tylko kobiety, starców albo inwalidów. Byłem świadkiem, gdy dwaj inwalidzi szukali jednej pary butów, bo jeden nie miał prawej, a drugi lewej nogi. Cały naród cierpiał i pracował dla frontu.

Pewnego dnia, będąc w Engelsie, pojechałem pociągiem przez most na Wołdze do Saratowa. Tam w biurach Związku Patriotów Polskich (który utworzyła Wanda

Wasilewska) spotkałem wielu moich przyjaciół z Jury i Minoru. Wspominaliśmy „przeszłe" i dom rodzinny, dyskutowaliśmy. W biurach dzielili odzież dla naszych ludzi, którą Związek dostawał z Ameryki. Większość żywiła nadzieję, że wkrótce Niemcy przegrają wojnę i będziemy mogli wrócić do domu. Spałem u przyjaciela z Jury, któremu kiedyś myszy ukradły cukierki i przeniosły do mojego buta. Przyjaciel pokazał mi artykuł z gazety, w którym żydowski pisarz Ilja Erenburg opisuje straszne okrucieństwa hitlerowców. Pisze tam o masowej zagładzie Żydów, o obozach śmierci, o krematoriach, o komorach gazowych, gdzie zgładzają całe transporty wysiedlonych z domów ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci. Kilka razy czytałem ten artykuł i nie wierzyliśmy. Wiedzieliśmy, że hitlerowcy są podli, ale że są zdolni do takiej masowej zbrodni?

Byliśmy zdania, że to jest sowiecka brudna propaganda. Byliśmy źli na Ilję Erenburga, że uległ władzom sowieckim i pisze takie niewiarygodne historie. Mimo to artykuł ten nie dawał nam spać po nocach. W sowchozie wszyscy już wiedzieli o tym artykule i każdy chodził ze spuszczoną głową, myśląc, że może to prawda… Dzięki codziennej pracy artykuł Erenburga mniej był wałkowany w domu.

Pewnego dnia zostałem wysłany do rejonu, by załatwić polecone mi przez dyrektora formalności. Jechałem na dwukołowej dorożce dyrektora. Było już ciemno, gdy wracałem do domu. Koń znał drogę. Przyjemnie było jechać po polnej drodze w stepie. Mogłem rozmyślać o siostrach, rodzicach, krewnych. Dorożka lekko się kołysała, koń postukiwał do taktu kopytami, coś mnie uśpiło.

Obudziło mnie nerwowe szarpanie dorożki. Ruchy konia były nienormalne. Parskał, szarpał dorożkę to na lewo, to na prawo, najeżdżał na kamienie. Nie wiedziałem, co jest przyczyną. Trzymałem mocno za lejce, koń zwiększył bieg, trzymałem się mocno, aby nie wypaść. Nagle zauważyłem ogniki z lewej i prawej strony. Od razu zrozumiałem: wilki! Stado wilków nas okrąża. Przestraszyłem się, że mogą zaraz napaść na konia. Zacząłem krzyczeć, pomimo że wiedziałem, że nikt mnie nie usłyszy. Step i pustkowie dookoła. Wiedziałem, że wilki boją się ognia, ale nie miałem zapałek ani co rozpalić. Przypomniałem sobie, że wiozę żelazną rurę. Zacząłem tłuc młotkiem o żelazną rurę. Koń pędził, mocno trzymałem jedną ręką lejce, a drugą waliłem młotem. Byłem szczęśliwy, gdy z daleka zobaczyłem światełka naszego osiedla. Gdy oddałem konia do stajni, nie potrafiłem przemówić słowa ze strachu.

Minęło lato. Nadeszła zima. Nie była to syberyjska zima, ale żałowałem, że w Jakucku sprzedałem walonki i szubę. Dostaliśmy list od ciotki z Palestyny i jednocześnie paczkę z odzieżą dla siostry i dla mnie. Miriam dostała list od krewnych z Ameryki. Radość była wielka. Bursztyn stale przynosił wiadomości z frontu, które słyszał przez telefon (w całym osiedlu nie było radia, ale wystarczyło podnieść słuchawkę telefonu w biurze i słychać było audycje radiowe). Niemcy bezładnie cofają się. Armia Czerwona oswobadza osiedle za osiedlem. Dziewiątego stycznia 1945 roku Warszawa została oswobodzona od Niemców. Dwudziestego czwartego stycznia usłyszeliśmy, że nasze rodzinne miasto Olkusz zostało również oswobodzone od

Niemców. Niemcy uciekają na łeb na szyję. Zbliża się koniec wojny.

Nazajutrz siostra i ja napisaliśmy listy do rodziców, sąsiadów, do krewnych w Miechowie – na wszystkie adresy, jakie tylko znaliśmy. Nareszcie mogliśmy pisać. Teraz z niecierpliwością czekam odpowiedzi. W myślach widzę już, z jaką radością rodzice otrzymują pierwszą wiadomość od nas. Jak mama drżącymi rękoma otwiera list i z tłumionym płaczem przy stole będzie czytać go na głos całej rodzinie. Tylko Bóg wie, ile oni przeżyli u Niemców. Mamy nadzieję, że już wkrótce wrócimy do domu i nie będzie końca opowiadaniom.

Mijał już szósty rok, jak pożegnaliśmy rodziców. Nocami śnię o powrocie. Praca mnie nie ciekawi. Robię błędy. Wszyscy nasi ludzie marzą i szykują się do powrotu do domów. Bursztyn stale przynosi nowe i dobre wiadomości. Rankiem 9 maja 1945 roku drzwi naszego domu otworzyły się. Na progu stanął nasz przyjaciel Wajs i krzyczał: „Wojna się skończyła, a wy śpicie?". W mig wszyscy byli na nogach. Moja siostra wraz z małą Felą zaczęły skakać, aż łóżko się załamało pod nimi. Zaczęliśmy śpiewać. Mnie łzy z oczu ciekły z radości. Pobiegliśmy na podwórze sowchozu. Tam rosyjskie kobiety tańczyły już przy dźwiękach ochrypłej harmoszki. A Bursztyn co chwilę wychodził z biura z nowościami usłyszanymi przez radio. Niemcy skapitulowali. Hitler *kaput*. Berlin w gruzach. Z kryjówek wyciągają przestraszonych i obdartych oficerów hitlerowskich. W Moskwie, Leningradzie i we wszystkich miastach spontaniczna radość. Szkoda, że nie mamy radia.

Moje myśli znów są w domu. Czy przeżyli? Czy oczekują nas? Czy dostali nasze listy? Tymczasem na podwórzu sowchozu wszyscy się cieszą, obejmują i całują. Oczekują powrotu swoich mężów i synów ze strasznej wojny.

Mijają dni, tygodnie. My oczekujemy powrotu do domu. Praca w magazynie mnie nie ciekawi. Szukam już kandydata, który by mnie mógł zastąpić. Pewnego dnia dostaję list. Z Polski. Od naszego wujka Aharona Bergera. Drżącymi rękoma otwieram kopertę. Czytam: „Moi Kochani. Z wielką radością przeczytałem Wasz list. Jesteście jedynymi z naszej rodziny, którzy się odezwali. Ja przeżyłem w lasach w partyzantce. Moją żonę Niemcy wywieźli razem z wszystkimi Żydami z getta. Mój młodszy syn Salek był razem ze mną w lesie. Na jednej z akcji partyzantki został ranny i umarł w moich ramionach. Waszych rodziców Niemcy wywieźli w 42 roku. Pozostali przy życiu wracają z obozów. Z naszej rodziny na razie nikt nie wrócił. Jestem Wam wdzięczny za adres Samka. Już napisałem list do nich. Cieszę się, że ożenił się i ma już córeczkę. Czekam Waszego powrotu. Razem pomyślimy o wyjeździe do syna do Erec Israel".

Byłem oszołomiony. Wieczorem siedzieliśmy w gronie całej naszej grupy i kilka razy czytaliśmy ten list. Widziałem przed oczyma artykuł Ilii Erenburga. Całą noc śniłem o krematoriach, obozach zagłady. Rozmawiałem z siostrą. Nie chciałem nawet myśleć, że nasi najbliżsi zginęli. W pracy robiłem błędy, nie mogłem się skoncentrować. Moje myśli były „tam", z nimi. Napisaliśmy list do wujka, prosiliśmy o szczegóły. Jeszcze raz czytałem otrzymany

list. Chciałem wiedzieć, co znajduje się między wierszami. Nie mogliśmy nawet dopuścić do siebie myśli, że naszych najbliższych już nie ma. Przypomniałem sobie, jak przed wojną byłem w piwnicy u mojej ciotki i chciałem przesunąć ciężki kamień, który zamykał otwór. „Nie ruszaj tego – powiedziała ciotka. – Tam za tym kamieniem są kanały, które prowadzą do rynku, a stamtąd pod ziemią aż poza miasto – do Rabsztyna". Opowiedziałem to siostrze Feli i przyjaciołom. Znów zabłysła nadzieja. Niewielu wiedziało o podziemnych przejściach. Ale rodzice i ciotka wiedzieli. Może jeszcze ukrywają się tam i boją się wyjść. Oni muszą żyć!

Teraz myśleliśmy tylko o powrocie do domu.

Znów byłem w Engelsie. Zacząłem handlować, aby zarobić na powrót do domu. W mieście spotkałem Gotlieba i Josefa, który pracował ze mną na statku. Opowiedziałem o liście. Oni już wiedzieli o sytuacji Żydów w Polsce. „Ty powinieneś być szczęśliwy – powiedzieli – że masz do kogo wrócić. My nie mamy po co wracać do Polski".

Mijają dni. Męczą mnie sny i pytanie, czy warto wracać. Ale jest przecież wujek. Dostaliśmy list od mojej kuzynki Beli. Ona przeżyła okupację w obozie pracy w Czechach. Pisze, że w lipcu 1942 roku Niemcy wysiedlili Żydów z Olkusza do Oświęcimia. Nikt z nich nie wrócił. Po pewnym czasie znów dostaliśmy list od wujka. Oczekuje naszego powrotu, by razem z Belą jechać do Erec Israel. Nie lubią Żydów w Polsce. Nie mamy tam miejsca. Odpisałem. Czas mija w oczekiwaniu. List napisany do wujka wrócił z dopiskiem na kopercie: „Adresat wybył". Zrozumiałem, że

poczta nie jest jeszcze wystarczająco zorganizowana w Polsce. Napisałem jeszcze raz. Po kilku dniach otrzymaliśmy list od Beli. Pisze: „Wujek Aharon został zabity przez bandy grasujące w Polsce – tylko dlatego, że był Żydem". Pisała również, że nasz drugi wujek ukrywał się w piwnicy na wsi. W ostatnim dniu wojny, kiedy usłyszał strzały i zdawało się, że rosyjskie wojska są już blisko, wyszedł z kryjówki. Miejscowi mieszkańcy oddali go w ręce Niemców, a ci go zabili. Dodatkowy cios. Po co wracać? Do kogo? Co nas tam czeka? Ale przecież jest tam Bela. Ona na nas czeka! Wrócimy. Będziemy szukać rodziców! Oni muszą żyć!

Czas mija. Staramy się zebrać trochę pieniędzy na powrót do domu. Kierownik sowchozu poróżnił się z magazynierem, który zajął moje miejsce. Magazynier odszedł. Kierownik żąda, abym wrócił do pracy. Odmawiam.

Zbliża się dzień odjazdu. Pakuję swój dziennik, który pisałem przez cały czas poniewierki. Był mi jedynym przyjacielem niedoli. Przed nim wypowiadałem swój los, swoją tęsknotę, swoją nadzieję – marzenia – podróże. Żywię nadzieję, że – jednak i pomimo złych wiadomości – będziemy wraz z moją siostrą czytać i opowiadać rodzinie o naszych przejściach. Żegnamy się z miejscową ludnością, przyjaciółmi, których tu zdobyliśmy.

Nadszedł dzień wyjazdu. Nad ranem pakujemy swój „dobytek" na furmanki, wraz z całą grupą naszych ludzi żegnamy mieszkańców. Konie ruszają. Przyjaciele powiewają chustkami, śpiewają pożegnalne pieśni. Jeszcze raz spoglądamy na Prywołżski Sowchoz, ludzi, pola, domki. Tu przeżyliśmy ciężkie czasy. Tu w Związku Radzieckim

dostaliśmy przytułek, daleko od okrucieństw wojny, daleko od zbrodniarzy niemieckich, od obozów zagłady. Jur – Minor – Jakuck – Lena – Tiksi – za nami. Wracamy do domu, do rodziców, do Olkusza. Śpiewamy „Praściaj lubimyj gorod" (Żegnaj miłe miasto) przez cała drogę do Engelsa.

KOGO WY SZUKACIE?...

W Engelsie czekaliśmy dwa tygodnie. Spotkaliśmy znajomych, którzy oczekiwali – jak my – na pociąg, który miał nas zawieźć na zachód. Opowiadają o okropnościach wojny. Ja widzę przed oczami artykuł Ilii Erenburga. Wszystko się sprawdza. Na rynku w Engelsie Cyganka wróży z ręki. Podaję jej rękę. Ona patrzy na moją rękę i mówi: „Jesteś bitym człowiekiem. Wiele przeszedłeś. Wracasz do domu, ale nikogo tam nie spotkasz. Pomimo to »twoja matka żyje«". Nie trzeba być wróżką, aby powiedzieć, że wiele przeżyłem, bo któż w Rosji nie przeżył wiele? Ale słowa „twoja matka żyje" dźwięczą mi w głowie. Błysk nadziei.

Nadszedł wymarzony dzień. Pakujemy się do pociągu towarowego. Długi pociąg. Nasi ludzie wracają po długiej i ciężkiej tułaczce. Nie wszyscy. Wielu poumierało, wielu zostało. Są tacy, którzy się pożenili, wracają z nowo narodzonymi dziećmi. Jedziemy na zachód. Ciężkie widoki. Spalone domy, ruiny. Mijają nas pociągi jadące na wschód. Przeważnie wojsko. Na stacjach pełno ludzi. Wystraszone dzieci proszą o jałmużnę. Na jakiejś stacji stanął pociąg z wojskiem. Żołnierze wychodzą z wagonów. Z poczekalni wybiegają kobiety. Szukają swoich mężów, ojców, braci.

Patrzą pilnie w twarze wymęczonych żołnierzy. Wypytują ich, skąd jadą, może widzieli – słyszeli o najbliższych, o mężu – ojcu? Jakaś kobieta obejmuje z płaczem żołnierza o jednej nodze. Ciężkie widoki. Na granicy polskiej przechodzimy do innego pociągu (rosyjskie linie kolejowe są szersze od linii europejskich). Przejeżdżamy granicę. Już jesteśmy w Polsce. Przyjeżdżamy do Lublina. Na stacji czekamy dwie godziny. Spotykamy miejscowego Żyda – opowiada, że getto zostało zlikwidowane. W 1942 roku Niemcy wybudowali dwa piece do palenia ciał. Obóz zagłady w Majdanku. Zgładzono tam 200 tysięcy Żydów. Kości zasypano traktorami. Pozostało kilku Żydów, którzy wrócili do Lublina. Opowiada o okropnościach w innych obozach zagłady. Niemców już tu nie ma, ale nienawiść do Żydów została. „Byli między nami, widzieli obóz w Majdanku, i widzieli wystające kości ludzkie z ziemi". Jedziemy dalej. Na stacji w Radomiu (niedaleko Olkusza), gdzie pociąg się zatrzymał, miejscowa milicja pobiła Żyda z naszego transportu, który nosił brodę. Wyśmiewali się z nas. „Gdzieście się ukrywali, że Hitler was nie spalił?". W sercach złość, rozczarowanie i poniżenie. Jedziemy dalej. Wiozą nas na „ziemie odzyskane" – Dolny Śląsk. Przejeżdżamy spalone miasta, gruzy zbombardowanych miast – cmentarze miast.

Przyjeżdżamy do Wrocławia, o którym wiele słyszałem przed wojną – że to miasto przemysłu, handlu, o pięknej architekturze, gdzie mieszkają zamożni ludzie. Obecnie wyglądało ono z okien wagonu jak ogromne cmentarzysko. Ruiny. Przejeżdżamy dziesiątki kilometrów ruin,

wszędzie zniszczenia. Skutki bombardowania amerykańskich samolotów. Kominy i szkielety niegdyś pięknych domów sterczą ku niebu jakby wołały o ratunek. Okropny widok. Gdzieniegdzie widać przy ścianach złamane szafy. Gdzieś tam stoi maszyna do szycia, ale nie można się do niej dostać. Jakieś szmaty targane przez wiatr. Pociąg staje. Schodzimy z wagonów. Spotykają nas przedstawiciele Komitetu Żydów z Wrocławia. Radzą, abyśmy tu zostali. Prawie wszyscy zdejmujemy swoje tobołki. Na stacji tłok. Niemcy, pozbawieni obywatelstwa, siedzą na ziemi z wózkami naładowanymi pozostałością swojego dobytku, czekają na pociąg, który ich odwiezie do Niemiec. Poniżeni, przestraszeni, złamani duchem. Jaka to różnica między dumą niemiecką, jaką widziałem w 1939 roku, kiedy bili do krwi kolbami przestraszonych mieszkańców… Na pewno są między nimi zezwierzęcone postaci, które mają na sumieniu wiele przelanej krwi.

Opróżniliśmy wagony. Nasz dobytek składał się z ręcznej maszyny do szycia – wspólnej z małą Felą i Rózią, i dwóch małych worków mąki razowej, które przypominały nam te, które tatuś sprzedał w 1939 roku, aby nas wyposażyć w pieniądze na nieznaną drogę. Ktoś przywiózł ze sobą krowę, by w ten sposób zapewnić sobie pewien kapitał. Ktoś przemycił ciężki złoty krzyż (który, jak okazało się później, miał w środku ołów).

Komitet Żydowski zorganizował transport i zawieźli nas do swojej siedziby, a tam przydzielili nam mieszkanie w na wpół zburzonym budynku, na piątym piętrze. Zamieszkaliśmy razem z grupą, z którą byliśmy

w Priwołżskim Sowchozie. W dwóch pokojach zamieszkało blisko 20 osób. Z trudem wnosiliśmy po schodach nasz dobytek, ponieważ schody były złamane, a w niektórych miejscach brakowało stopni. Trzeba było pomagać sobie rękami przy wspinaczce.

Po odpoczęciu zeszliśmy na ulicę zobaczyć resztki niegdyś bogatego miasta. Kursowały już tramwaje i wsiedliśmy do jednego, aby dostać się do komitetu na ulicy Włodkowica. W tramwaju ścisk. Na jakimś przystanku wskoczył do wagonu mały chłopiec i przepychał się między ludźmi. Konduktor zażądał biletu. Chłopiec – może ośmioletni – nie miał ani biletu, ani pieniędzy. Chciał zeskoczyć w biegu z tramwaju. Konduktor go trzymał za rękę i nie pozwolił zeskoczyć. Oficer rosyjski, który widział tę scenę, zapłacił za bilet i wziął go za rękę. Na pytania oficera chłopiec odpowiedział, że jest sierotą, że jego matka przyjechała z nim z Rosji w poszukiwaniu swojego męża, który służył w wojsku, i została zabita przez Niemca. I tak rosyjski oficer znalazł swojego własnego syna. Na drugi dzień całe miasto opowiadało o tym nadzwyczajnym spotkaniu.

Na ulicy Włodkowica zbierali się wynędzniali Żydzi z obozów, kryjówek, lasów i Związku Radzieckiego. Była tam synagoga, tania kuchnia, biuro poszukiwania rodzin. Dzielili tam między potrzebujących produkty i odzież pochodzące z paczek UNRRA. Komitet starał się pomagać, jak tylko mógł. Ściany były oblepione listami osób poszukujących rodzin, które stale rosły i stale pełno było ludzi szukających w tym labiryncie znajomych nazwisk. Rzadko można było spotkać na ulicy obejmujących się i płaczących

z wielkiej radości. Każdy szukał znajomej twarzy. Najpopularniejsze pytania brzmiały: „Gdzie i jak przeżyłeś?", „Czyś widział – spotkał?", „Może słyszałeś?". Dwie kobiety przepychające się do drzwi urzędu pytają: „Przechowujemy żydowskie dziecko – do kogo się udać?".

Ja z moją siostrą przeszukaliśmy wszystkie tablice i nie znaleźliśmy bliskich nam imion. Nareszcie dotarliśmy do urzędniczki w biurze i podaliśmy swoje nazwisko oraz nazwiska i imiona przez nas poszukiwanych rodziców, siostry, Berlfainów, Emy. Nazajutrz znalazłem na ścianie nową listę, gdzie zapisane były nazwiska poszukiwanych przez nas. Następnego dnia znalazłem przylepioną do listy kartkę: „Berger – zwrócić się do biura".

Serce zaczęło łomotać jak młotem. Mam! Ktoś nas szuka! Błysk szczęścia! Przeciskam się przez tłum do biura. Ludzie krzyczą! Jest kolejka! Niewychowany! Ktoś ciągnie za rękaw z krzykiem: „Wynoś się!". Ja wołam do urzędniczki: „Jestem Berger. Jest dla mnie wiadomość!". Urzędniczka przerywa rozmowę z interesantem. Patrzy na mnie i mówi: „Tak!". Otwiera szufladę, wyjmuje kartkę. Podaje przez ludzi i mówi: „Proszę się zwrócić pod ten adres". Drżącymi rękoma wziąłem kartkę i wyszedłem z biura. Zacząłem czytać: „Rózia Kalman, ul. Gerstenstrase…". To zapewne pomyłka… Nie znam takiej… Kartka nie należy do mnie… Berger to popularne nazwisko… Ale jednak… może?… Błądzę po zaułkach Wrocławia… Przedostaję się przez gruzy… Nade mną kracze wrona. Pod tymi gruzami na pewno leżą jeszcze trupy. Skutki codziennych bombardowań eskadr samolotów amerykańskich. Mijają mnie

grupy poniżonych, wygnanych z mieszkań Niemców, którzy ciągną swój dobytek na wózkach w stronę dworca kolejowego, skąd udadzą się do Niemiec. Przeważnie kobiety, starcy i dzieci. Nie czuję żądzy zemsty. Nie czuję również nadmiernej litości. Nareszcie dotarłem na właściwy adres do na wpół zrujnowanego domu, między gruzami, gdzie zamieszkali nowo przybyli Żydzi. W ciemnym pokoju kręciło się kilka kobiet. „Czy tu mieszka Rózia Kalman?", zapytałem. „Tak, ale nie ma jej w domu". „Nazywam się Berger. Ona ma dla mnie wiadomość". „Nic nie wiemy". „Skąd ona pochodzi?", pytałem. „Z Piotrkowa", odpowiedziały. Nic się nie dowiedziałem. Poprosiłem, aby przekazali jej, że jutro o ósmej rano będę na nią czekał w biurze komitetu. Będę wdzięczny, jeżeli przyjdzie.

Wyszedłem rozczarowany. Opowiedziałem siostrze i małej Feli o tym wydarzeniu. Całą noc nie spałem. Nazajutrz czekałem przy drzwiach biura. Powiedziałem urzędniczce, że czekam na Rózię Kalman, i usiadłem w kącie. Czekałem. Ludzie przychodzili i wychodzili. Nareszcie urzędniczka zaczęła rozglądać się za mną. Znalazła mnie i zawołała: „Berger! – to jest Rózia Kalman". Wstałem, podszedłem. Podałem drżącą rękę. Przede mną stała piękna dziewczyna z miłym uśmiechem na twarzy. Podziękowałem urzędniczce i wyszliśmy z biura. „Poszukujesz Emy Grinwald?", spytała. „Tak…", i serce mi zabiło jak młotem. „To moja dobra przyjaciółka. Razem przeżyłyśmy wojnę". „Ema żyje?! Gdzie ona?!", krzyknąłem. „Pojechała do Łodzi. Tam zamieszkała z mężem i dzieckiem". „Ema zamężna?", „Tak. Pobrała się z chłopcem chrześcijaninem,

z którym razem przeżyła okropną wojnę, który w ciężkich chwilach podał jej kawałek chleba, był jej podporą i czuwał nad nią. Czy ty jesteś jej krewnym?" – spytała. „Mieszkaliśmy niedaleko nich. Moja siostra Fela i ja byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi Emy". „Och, rzeczywiście… Ema wiele razy opowiadała o tobie i Feli…" Dopiero teraz Rózia zrozumiała, że nie była anielskim zwiastunem. „Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam ci zrobić przykrości". „Jestem wdzięczny Bogu, że pozostała przy życiu. Życzę jej i jej mężowi wiele zdrowia i szczęścia. Oby znalazła pociechę w gronie nowej rodziny".

Szliśmy ulicą Włodkowica. Mijali nas ludzie, ale ja w myśli widziałem tylko Emę. Chciałem wiedzieć, jak Ema przeżyła. Wieczorem siedzieliśmy z moją siostrą u Rózi Kalman przy lampce naftowej, opowiadaliśmy i słuchaliśmy opowiadań Rózi Kalman o tym, jak przeżyła wraz z Emą wojnę. Smutne i okropne przeżycia. Pomimo rozczarowania cieszę się, że Ema znalazła cichy kąt rodzinny. Nie spotkam się z nią i nie nawiążę kontaktu. Nie zbudzę u niej wspomnień.

Nazajutrz znów byłem w komitecie. Szukałem znajomych twarzy, wypełnialiśmy blankiety. Szukałem ludzi z Sambora. Może ktoś słyszał o Berlfainach. Szukałem znajomych nazwisk na nowych listach wywieszonych na ścianach… W końcu zadecydowaliśmy się pojechać do Olkusza. A może? W uszach dźwięczy mi wróżba Cyganki – „twoja matka żyje" – będę szukał u sąsiadów, w tunelach, piwnicach.

Moja siostra zachorowała jeszcze w Priwołżskim Sowchozie na malarię. Miała ciężkie ataki, wysoką gorączkę, majaczyła. Ja i koleżanki siedzieliśmy przy niej i wycieraliśmy pot z jej czoła wilgotną szmatą. Tabletki chininy, które dostaliśmy w lecznicy komitetu, nie pomagały. Schudła, zżółkła, bardzo osłabła. Ja również dostawałem ataków malarii. Co drugi dzień dokładnie o godzinie jedenastej dostawałem wysokiej gorączki. Po dwóch godzinach gorączka spadała i znów byłem zdrowy. Osłabieni, zrezygnowani, bez chęci do życia udaliśmy się na dworzec kolejowy. Ścisk, krzyki. Udało mi się wcisnąć siostrę do wagonu, a sam jak wielu innych wdrapałem się na dach wagonu. Pociąg ruszył w stronę Krakowa. W wagonach było pełno, a dachy wagonów obsadzone. Zimny wiatr przedzierał się przez ubranie. Gdy zbliżaliśmy się do jakiegoś mostu, ludzie siedzący na przednich wagonach wołali: „Chylić głowy!". I tak dojechaliśmy do Krakowa. Z Krakowa do Olkusza nie było już ścisku. Siedzieliśmy razem z siostrą. Znane pejzaże uciekały przed nami.

Minęliśmy Miechów, gdzie mieszkał wujek Aharon, który został zabity po wojnie. Pozostała jeszcze kuzynka Bela, z którą dotychczas nie zdołaliśmy nawiązać kontaktu. Mieliśmy nadzieję, że może znajdziemy ją w Olkuszu. Zmarznięci, wycieńczeni malarią, usnęliśmy w ciepłym wagonie. Obudziliśmy się na stacji w Olkuszu.

Zeszliśmy ze schodów wagonu i postawiliśmy pierwsze kroki w naszym rodzinnym mieście. Sześć i pół roku marzyłem o tej chwili. Śniłem o tobie po nocach na dalekiej

Syberii, Olkuszu. W moich myślach i marzeniach stale tu wracałem. Tutaj się urodziłem. Tutaj spędziłem moją młodość. Tutaj poczułem pierwszą miłość, do Emy. Tutaj wychowaliśmy się pod troskliwą opieką naszych rodziców, której nie potrafiliśmy docenić aż do chwili pożegnania. Wiedzieliśmy, że nikt nas tu nie oczekuje. Nikt się do nas nie uśmiechnie. Szliśmy w stronę rynku. Spuściłem daszek czapki na oczy, aby nikt nie rozpoznał mojego żydowskiego wyglądu. Minęliśmy sąsiada, który mieszkał niedaleko od nas. Nie poznał nas i szedł swoją drogą. Pamiętaliśmy go jako dobrego człowieka. Pospieszyliśmy za nim i zatrzymaliśmy go. Poznał nas i życzliwie nas przywitał. Na pytanie, czy wie coś o naszej rodzinie, odpowiedział, że wydaje mu się, że nikt nie został przy życiu. Dał nam adres kilku Żydów, którzy wrócili z obozów i mieszkają razem w jednym domu.

Garstka ostatnich żydowskich mieszkańców Olkusza przywitała nas z otwartymi ramionami i zaczęli nas wypytywać, skąd wracamy, czy wiemy coś o innych, pozostałych przy życiu Żydach z Olkusza. Gdy już odpowiedzieliśmy na pytania, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć o naszej rodzinie i krewnych. „Waszych rodziców, dwie siostry i wszystkich krewnych zabrano do obozu śmierci wraz z wszystkimi Żydami z Olkusza, których Niemcy zgrupowali w getcie na Sikorce. W czerwcu 1942 roku Niemcy oczyścili to miasto z Żydów". Nastała cisza. Moja siostra zakryła twarz dłońmi i cicho płakała. Siedzieliśmy na łóżkach, które były ustawione rzędem tak jak w Jurze. W kącie w kołysce płakało półroczne dziecko, któremu

dano dwa imiona, jednej i drugiej babci, które zostały spalone w obozie śmierci. „Żydzi nie są mile widziani w Olkuszu i dlatego zamieszkaliśmy w ciasnocie, ale razem. Co prawda nie było wypadku, aby kogoś zabili tutaj po wojnie, ale radzimy wieczorem nie oddalać się od domu. Jeśli zamierzacie zobaczyć dom waszych rodziców, to idźcie tam jutro rano". Do mieszkania wszedł Michał – mąż mojej kuzynki, która została zgładzona razem z innymi. Padliśmy sobie w objęcia. Łzy nas dławiły i długo nie mogliśmy przemówić słowa. Nareszcie zaczął opowiadać, jak Niemcy oderwali go od żony i dziecka. Ich zabrano do pieców, a jego do obozu pracy. Wytarł pięściami wilgotne oczy i dalej opowiadał. „Gdy dowiedziałem się, że wasz wujek Aharon żyje, pojechałem do Miechowa i zamieszkaliśmy razem wraz z kuzynką Balcią. On was oczekiwał i chciał, abyśmy wszyscy razem pojechali do Erec Israel. Przeżył okupację w partyzantce. Syna Niemcy zastrzelili w lesie, umarł na jego rękach. Bandyci go zabili po wojnie, gdy szedł do wsi, aby zarobić na utrzymanie. Pojechałem z milicjantem i zabraliśmy martwe ciało. Pochowałem go na żydowskim cmentarzu w Miechowie". Moja siostra Fela i ja słuchaliśmy jego opowiadania jak skamieniali. Nie zadawaliśmy pytań. „Po waszym odejściu z domu wasz ojciec z trudnością zarabiał na utrzymanie, zamieniając towar na żywność. Chodził do wsi Uliny i tam wieśniacy i ksiądz życzliwie się do niego odnosili".

Nazajutrz po bezsennej nocy wyruszyliśmy z Felą w stronę naszego domu. Obojętnie przechodzimy rynek, gdzie w jarmarczny dzień sprzedawcy wychwalają swoje

towary. Na jednym stole zauważyłem kilka kawałków mydła z napisem R.J.F. (Rein Juden Fett). Wziąłem do ręki kawałek. Sprzedawca zachwala, że to ostatnie kawałki tego mydła. Niemcy *kaput* i Żydów już nie ma. Kupiłem. Zawinąłem w chustkę i jak świętą rzecz schowałem do kieszeni.

Stałem się obojętny i jak gdyby skamieniały. Cała okolica tak bliska sercu i tak daleka. Tak chciałem tu wrócić, a teraz wszystko mi obce. Wszystkie moje marzenia i nadzieje są tutaj pogrzebane. Wszystko tu stoi na miejscu. Miasto ładne. Pełno zieleni, wybudowano nawet nowe domy. W dalekich i uciążliwych drogach, w pociągach, nawet koła dudniły słowami „do domu, do domu, do domu". Teraz idę ręka w rękę z moją jedyną kochaną siostrą do domu. Serce mi wali jak młotem. Idziemy w milczeniu. Przechodzimy koło miejsca, gdzie w cieniu drzew stał dom doktora Łapińskiego, teraz zostały po nim tylko spalone gruzy. Mijamy starożytne drzewo, o którym słyszałem za dzieciństwa tyle legend. Przechodzimy niezabudowany obszar, gdzie kiedyś były kopalnie kruszcu – galmanu i galeny, z których wyciągano pewien procent srebra. Przypominam sobie, że tutaj między pagórkami bawiliśmy się w wojnę z innymi dziećmi. A teraz wracamy po tak strasznej wojnie.

Zbliżamy się do rzędu kamiennych domków z czarnymi smolnymi dachami. Tu mieszkała Ema. Tu ją po raz pierwszy objąłem i pocałowałem. Tu się z nią pożegnałem, gdy uciekali od Niemców zaraz na drugi dzień wojny. Tutaj przed sześciu i pół roku zaznałem pierwszej młodzieńczej miłości. Teraz pozostały tylko straszne i smutne wspomnienia.

Dochodzimy do furtki naszego domu i zatrzymujemy się. Drżącymi rękami trzymam klamkę. Mam zawroty głowy. Czuję, że za chwilę upadnę. Siostra mnie podtrzymuje, coś mówi, ale nie rozumiem. Nie wiem, jak długo tam staliśmy. Z domu wyszła kobieta, podeszła do furtki, otworzyła. Spojrzała na nas i spytała; „Kogo tu szukacie?". Zdławionym głosem odpowiadam: „My tu mieszkaliśmy. To jest dom naszych rodziców". Fela wybuchnęła głośnym płaczem. Kobieta zaprasza nas do środka. Nogi mi się uginały, gdy przekraczałem próg domu. Usiedliśmy przy stole. Nie mogliśmy przemówić słowa. Gospodyni podała nam wodę. Gdy trochę oswoiliśmy się z przygniatającą atmosferą, poprosiłem, aby nam pozwoliła obejrzeć mieszkanie. Kobieta była uprzejma. W kuchni stał jeszcze ten sam gliniany piec, w którym mama piekła sobotnie chały i ciasta. Tu było moje łóżko, w kącie stała kiedyś skrzynka z zabawkami mojej najmłodszej siostrzyczki Leale. Jeszcze słyszę jej głos, gdy samoloty niemieckie pierwszego dnia wojny przelatywały nad naszymi głowami: „Dlaczego nie jesteś w domu? Tatuś i mama się martwią". W kącie stała kiedyś doniczka z drzewkiem cytryny, podarunek od babci. Mama tak szczyciła się nim. Opowiadała nam, że na ziemi naszych ojców rosną cytryny, pomarańcze, winogrona. Tutaj to drzewko tylko daje zapach cytryny. Na ścianie wisiał kiedyś duży obraz, który przedstawiał Ścianę Płaczu. Teraz ściana jest zasłonięta szafą. Zapytaliśmy, czy może zostały jakieś zdjęcia lub jakieś pamiątki po naszej rodzinie. „Gdy myśmy tutaj zamieszkali, mieszkanie było puste". Ostatnia nasza nadzieja, by znaleźć choć jakiś znak, pamiątkę po

naszych najbliższych – znikła. Wyszliśmy z domu. W kącie na podwórku moja mama zawsze spalała śmieci i niepotrzebne rzeczy. Poszliśmy tam szukać w śmieciach i znalazłem spalony kawałek z obrazu przedstawiającego Ścianę Płaczu. Podniosłem ręce do nieba wraz ze szczątkami tego obrazu i jak zwariowany krzyczałem: „Boże Wielki, Groźny i Straszny. Pod twoją opieką wyrosła potęga zła. Za twoją wiedzą zgładzono sześć milionów ludzi z twojego narodu wybranego. Pomogłeś w upadku reżimu Hitlera. Za późno. Dlaczego?… Czym zgrzeszyła nasza sześcioletnia Leale, że została zgładzona? Czym ja zasłużyłem, że zostałem przy życiu? Czy to podarunek, czy kara? Abym widział i poczuł ogrom nieszczęścia?".

Wyszliśmy z podwórka i nie oglądaliśmy się za siebie. Szliśmy szybko. Uciekaliśmy z tego miejsca. Ani siostra, ani ja nie przemówiliśmy słowem. Groźna, stłumiona cisza. Świadomość wróciła do mnie, gdy byliśmy już za miastem i z daleka zauważyłem krzyż. Słońce grzało. Śpiew ptaków. Zachodni wiaterek pochylał falami kłosy złocistej, dojrzewającej pszenicy. Pszczoły brzęczały, lecąc z kwiatka na kwiatek. Wchłaniałem polne zapachy. Przyroda żyje – jak gdyby nic się nie stało. Tylko w mojej duszy pustka. Nie widzę przyszłości. Nie ma dla mnie teraźniejszości. W moich myślach, w mojej duszy widzę tylko przeszłość. Zbliżamy się do wzgórza, do krzyża, gdzie ostatni raz widziałem rodziców. Za nami widać rodzinne miasto. Nasze miasto, do którego przez cały czas wygnania wracałem w myślach i we śnie. Teraz odwróciło się ode mnie. Nie mam tu więcej czego szukać. Stanęliśmy na rozdrożu

przy krzyżu. Dotąd nas odprowadzili. Tu ich pożegnaliśmy. Tutaj stali i żegnali nas rękoma, aż znikli z horyzontu. Ten sam drewniany krzyż. Spojrzałem w górę. Jezus zwiesił głowę i smutno patrzy na nas. Wydaje mi się, że on płacze razem z nami. Patrzę na Jezusa i mówię: „Głosiłeś miłość i braterstwo. Hitlerowcy zdradzili cię, gdy zabijali i mordowali narody, nosząc wyryte na pasku słowa »Gott mit uns« (Bóg z nami)". Tu pod krzyżem ojciec obejmował mnie ostatni raz i głośno sam siebie pytał: „Czy was jeszcze zobaczymy?". Fela mówi: „Gdy nas mama żegnała, z płaczem szeptała: »Jeżeli usłyszysz… zmów kadisz«". I tu pod krzyżem zdławionym głosem zacząłem modlitwę. „Itkadal we-itkadosz szmo raba"… Wydaje mi się, że z nieba schodzą tatuś i mamusia, siostry Miriam, Regina i Leale, za nimi wszyscy krewni… „Wolma dibru cherutaj" – za nimi całe sześć milionów zamordowanych ludzi, zamieniają się w kłosy, falami chylą swe głowy do wchodu – do Ściany Płaczu i razem ze mną odmawiają modlitwę. Jedynie moja siostra płaczącym, zdławionym głosem mówi „Amen"…

FOTOGRAFIE

Rodzina Mosze Bergera przed domem w Olkuszu w roku 1939,
tuż przed ucieczką Moszego i Feli do Związku Sowieckiego

Żołnierz rosyjski na Sybirze narysowany przez kolegę autora na stronie jego dziennika

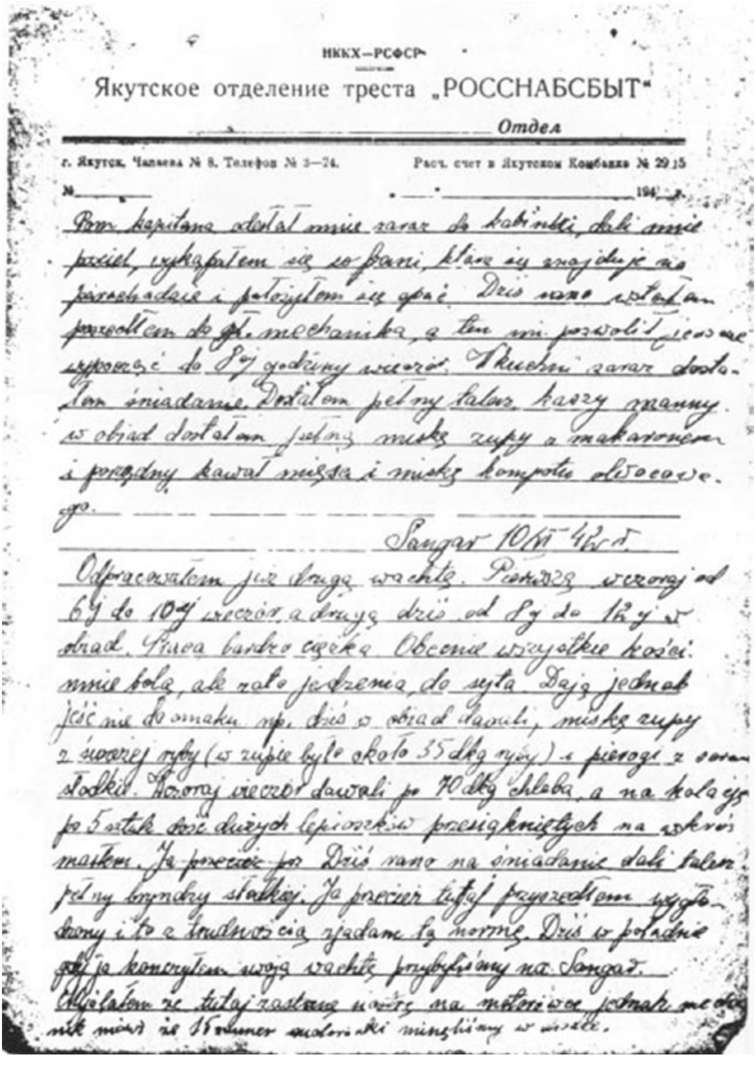

НККХ—РСФСР

Якутское отделение треста „РОССНАБСБЫТ"

Отдел

г. Якутск, Чапаева № 8. Телефон № 3—24. Расч. счет в Якутском Комбанке № 2915

№ 194 г.

Pan kapitana odesłał mnie zaraz do kabinki, dali mnie pościel, wykąpałem się w bani, która się znajduje na parochodzie i położyłem się spać. Dziś rano wstałem poszedłem do gł. mechanika, a ten mi pozwolił jeszcze wypocząć do 8-ej godziny wieczór. W kuchni zaraz dostałem śniadanie. Dostałem pełny talerz kaszy manny. W obiad dostałem pełną miskę zupy z makaronem i porządny kawał mięsa i miskę kompotu owocowego.

Sangar 10 VI 42 r.

Odpracowałem już drugą wachtę. Pierwszą wczoraj od 6-ej do 10-ej wieczór, a drugą dziś od 8-ej do 12-ej w obiad. Praca bardzo ciężka. Obecnie wszystkie kości mnie bolą, ale za to jedzenia do syta. Dają jednak jeść nie do smaku np. dziś w obiad dawali miskę zupy z suszonej ryby (w zupie było około 35 dkg ryby) i pierogi z sera słodkie. Wczoraj wieczór dawali po 70 dkg chleba, a na kolację po 5 sztuk dość dużych lepioszków przesiąkniętych na wskroś masłem. Ja przecież [illegible] Dziś rano na śniadanie dali talerz pełny bryndzy słodkiej. Ja przecież tutaj przyszedłem wygłodzony i to z trudnością zjadam tę normę. Dziś w południe gdy ja skończyłem swoją wachtę przybyliśmy na Sangar. Myślałem że tutaj zostanę [illegible] na motorówce jednak mechanik mówi że 15 numer motorówki minęliśmy w drodze.

„Mój pierwszy dzień na statku »Wierchojańsk«" –
strona z dziennika autora

Załoga statku w czasie remontu (1942 r.)

Grupa aktorów amatorów po występie w Jakucku

Mosze Berger po wojnie

Mosze Berger ze swoją kuzynką Belą Rotner w Polsce po wojnie

Mosze Berger, jego siostra Felicja Goldman
i jej dzieci Bronia oraz Miecio na działce,
przed wyjazdem z Polski

Pożegnanie Mosze Bergera z rodziną swojej siostrzenicy Broni,
babcią Zeldą Goldman i ciotką Rachelą Goldman,
przed wyjazdem z Polski do Izraela

Mosze Berger w Izraelu około roku 2014

Trasa wojennej tułaczki Mosze Bergera

SŁOWNICZEK

bar micwa (hebr. ‘syn przykazania’) – specjalna uroczystość, podczas której chłopiec żydowski staje się pełnoletni wobec prawa religijnego. Odbywa się w synagodze, zwykle w pierwszy szabat po trzynastych urodzinach chłopca. Wzywa się go wtedy po raz pierwszy do publicznego odczytania fragmentu Tory i urywku z ksiąg prorockich (Haftara), po czym wygłasza on własny komentarz do odczytanych tekstów. Od tego momentu chłopiec staje się odpowiedzialny za swoje czyny i przyjmuje na siebie pełne wykonywanie religijnych obowiązków: zalicza się do mężczyzn tworzących minjan, nosi *tefilin* podczas modlitw porannych, może mieć swoją własność i dowolnie nią dysponować, wolno mu także zawrzeć małżeństwo.

beit ha-midrasz, bejt ha-midrasz, beit midrasz (hebr. ‘dom nauki’) – miejsce studiowania prawa religijnego, dyskusji nad problemami judaizmu, z własną biblioteką dzieł rabinicznych dostępną dla wszystkich. Uczęszczać doń mógł i powinien każdy mężczyzna, bez względu na wiek.

Chanuka – radosne święto obchodzone przez osiem dni od 25 dnia kislew (listopad/grudzień), na pamiątkę oczyszczenia Świątyni w 164 roku p.n.e. przez Judę Machabeusza, po jej zbezczeszczeniu przez Antiocha IV Epifanesa. Ze świętem wiąże się zwyczaj zapalania świec przez osiem kolejnych dni, zaczynając od jednej i codziennie dodając kolejną, w specjalnej ośmioramiennej lampie zwanej *chanukija* lub *menorat chanuka*. Światła powinny palić się co najmniej pół godziny, nie wolno zapalać jednej świecy od drugiej – do tego celu służy specjalne światełko pomocnicze zwane *szamesz*. W czasie Chanuki zabroniony jest post i wygłaszanie mów pogrzebowych.

chazan – dawniej urzędnik pełniący różne funkcje w synagodze; kantor przewodzący modłom w synagodze.

cicit (jid. *cyces*) – bardzo ważna część talitu, frędzle przymocowane do spodniej części odzieży, noszone przez Żydów płci męskiej stosownie do nakazu z Księgi Liczb 15,37–41. *Talit*, w którym brakuje choćby jednej z *cicit*, jest niekoszerny i nie może być używany.

Erec ha-Kodesz – hebr. Ziemia Święta.

Erec Israel (hebr. Ziemia Izraela) – nazwa Palestyny, ziemi, z którą Żydzi kojarzyli swą przeszłość i kulturowe korzenie, oraz przedmiot ich tęsknoty w okresie diaspory; Ziemia Obiecana, którą Bóg ofiarował praojcu Abrahamowi w darze narodowi wybranemu.

erew (hebr. ‘wieczór’) – termin używany w odniesieniu do początku świąt i szabatu, który jak każda doba w tradycji żydowskiej zaczyna się o zachodzie słońca w piątek i trwa do zachodu słońca w sobotę. Wyrażenie *erew szabat* oznacza więc wieczór piątkowy.

Gmar chatima towa (hebr. „Pomyślnego ostatecznego zapieczętowania [w Księdze Życia]”) – pozdrowienie wypowiadane w Jom Kipur.

Jom Kipur (hebr. Dzień Pojednania) – dzień pokuty i postu, obchodzony 10 dnia tiszri (wrzesień/październik). W Polsce znany także pod nazwą Sądny Dzień. Nie wolno wówczas pracować, jeść ani pić. Modlitwy w synagodze rozpoczynają się od śpiewu *Kol nidrei*, czyli prośby o zwolnienie z wszelkich niedotrzymanych przyrzeczeń wobec Boga. Zmarłych krewnych wspomina się poprzez odmówienie *Izkor* (hebr. ‘wspomnij, pamiętaj’), grzechy wyznaje się, intonując *Aszamnu* (hebr. ‘zgrzeszyliśmy’), po czym błaga się Boga o miłosierdzie. Po południu czyta się Księgę Jonasza, zgodnie z którą Najwyższy wybacza wszystkim tym, którzy prawdziwie przeżywają skruchę. *Neila* (hebr. ‘zamknięcie’) jest modlitwą zamykającą, bo podczas jej odmawiania jak gdyby zamykają się bramy Nieba. Według tradycji los każdego człowieka, który nie został jednoznacznie określony w Rosz ha-Szana, rozstrzyga się właśnie w Jom Kipur.

kadisz, kaddisz – modlitwa pochwalna, odmawiana prawie w całości po aramejsku, podczas codziennych modłów.

Kadisz żałobny (*kadisz jatom*), wyrażający wiarę w Boga i poddanie się jego woli, odmawia się za zmarłych. Specjalny kadisz, zwany *de-rabanan* odmawia się na koniec studiowania Talmudu. Dla recytacji tej modlitwy wymagany jest minjan (przynajmniej dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej trzynastego roku życia).

kitel – biała szata noszona dawniej w każdy szabat i z okazji wszystkich większych uroczystości, potem w niektórych gminach tylko w Rosz ha-Szana, Jom Kipur i w czasie sederu oraz przez pana młodego podczas ceremonii ślubnej. Również okrycie, w którym grzebie się zmarłych.

Kol nidre, Kol nidrei (aram. 'wszystkie śluby') – modlitwa unieważniająca śluby złożone Bogu nieświadomie, zbyt pochopnie lub pod przymusem, którą wypowiada się na początku Jom Kipur. Odnosi się tylko do zobowiązań uczynionych przez ludzi wobec Boga; ślubowanie dotyczące innej osoby nie może być odwołane bez wzajemnego porozumienia.

Kotel Maarawi (hebr. 'ściana zachodnia', zwana też Ścianą Płaczu) – pozostałości zewnętrznego muru otaczającego Świątynię Jerozolimską zburzoną w 70 r. n.e. przez Rzymian, najbardziej uświęcone miejsce w żydowskiej tradycji religijnej i narodowej.

machzor – modlitewnik zawierający zbiór modlitw na święta.

Megilat Ester (Księga Estery, Zwój Estery) – w kanonie Biblii Hebrajskiej ósma księga w dziale Pism, ostatnia spośród pięciu Zwojów. Zawiera historię Estery, żony Aswerusa i jej opiekuna Mordechaja, który pokrzyżował plany Hamana, pierwszego ministra królewskiego, dążącego do pozbycia się wszystkich Żydów z państwa perskiego. Megilat Ester przez wieki cieszyła się wielką popularnością wśród Żydów znajdujących się w opresji, którzy szukali w niej pocieszenia oraz nadziei na poprawę sytuacji i nadejście czasu klęski wrogów. Księgę Estery odczytuje się w synagogach podczas porannych i wieczornych modłów w czasie święta Purim upamiętniającego rocznicę odwrócenia się nieszczęścia od ludu żydowskiego.

mezuza (hebr. 'kolumna, odrzwia, framuga, węgar, futryna') – niewielki zwój pergaminu, na którym zapisane są po hebrajsku dwa fragmenty Tory (Księga Powtórzonego Prawa 4,4–9 i 11,13–21), zwinięty w rolkę i umieszczony w pudełeczku z małym otworem tak, by widoczne było słowo *Szadaj* (Wszechmogący) napisane na odwrotnej stronie zwoju. Mezuzę przymocowuje się na drzwiach każdego domu żydowskiego po prawej stronie na wysokości wzroku w pozycji pochyłej. Zwyczaj ten powstał w celu dosłownego wypełnienia nakazu zawartego w przywołanych fragmentach Tory. Linijki te są równocześnie dwoma pierwszymi wierszami modlitwy *Szema*, odmawianej codziennie przez bogobojnych Żydów. Oni też wchodząc do domu i wychodząc z niego, dotykają mezuzę palcami i całują ją na znak szacunku dla symbolu bożej obecności

i miłości. Talmud zalicza mezuzę do jednego z siedmiu nakazów, jakie Bóg dał Izraelowi z powodu swojej miłości do niego i zgodnie z zasadami judaizmu w taki sposób powinna być traktowana.

Nyila, Neila (hebr. 'zamknięcie') – modlitwa zamykająca Jom Kipur, bo podczas jej odmawiania jak gdyby zamykają się bramy Nieba.

Pesach – główne święto żydowskie obchodzone podczas pierwszej pełni Księżyca po wiosennym zrównaniu dnia z nocą. Upamiętnia wyjście z Egiptu. Zaczyna się 15 dnia nisan (marzec/kwiecień) i trwa siedem dni (w diasporze osiem). Połączono w nim dawny pasterski zwyczaj składania ofiary z pierworodnego baranka lub kozła ze świętem ludności rolniczej zwanym Świętem Niekwaszonego Chleba. Po zburzeniu Drugiej Świątyni zaprzestano krwawych ofiar, a cechą charakterystyczną święta stała się wieczerza, mająca ściśle określony porządek – seder (uczta rodzinna) i wspólne modlitwy. W synagodze czyta się Pieśń nad Pieśniami oraz recytuje *halel* (psalmy). Dniami świątecznymi są pierwszy (w diasporze dwa pierwsze) i ostatni (w diasporze dwa ostatnie) obchodzone bardziej uroczyście jako pełne święto, między nimi zaś następują cztery dni półświąt.

Purim (hebr. 'losy') – święto obchodzone 14 dnia adar (luty/marzec), upamiętniające uratowanie Żydów w Persji od zamierzonych prześladowań Hamana, ministra króla Aswerusa. Haman postanowić zniszczyć Żydów i ciągnął

losy (*pur*), aby dowiedzieć się, jaki jest najbardziej sprzyjający dzień dla zrealizowania tych zamiarów. Nazwa święta Purim wywodzi się właśnie od słowa *pur* – los. Plany Hamana spełzły na niczym dzięki odwadze i samozaparciu dwojga ludzi – żydówki Estery, która była żoną Aswerusa, i jej kuzyna Mordechaja (Mardocheusza), jednego z przywódców społeczności żydowskiej w czasach imperium rozciągającego się od Indii po Etiopię. Hamana z rozkazu królewskiego powieszono, a jego stronnicy, zorganizowani przez niego i uzbrojeni – zostali zgładzeni przez Żydów tego samego dnia, 13 adar, kiedy to mieli wymordować Żydów. Następny dzień, 14 adar, stał się świętem. Główną cechą tego święta jest odczytywanie Księgi Estery opisującej te wydarzenia, wieczorem w przeddzień święta oraz nazajutrz po porannych modłach. Z okazji święta znajomi przesyłają sobie prezenty, biednych obdarza się żywnością i pieniędzmi. Wieczorem urządza się trwającą do późnej nocy ucztę świąteczną, podczas której nadużywanie alkoholu jest religijnym obowiązkiem. Jest to okres karnawału żydowskiego, fantazyjnych strojów i przebierańców. Podobnie jak podczas Chanuki zabroniony jest post i śpiewanie pieśni żałobnych.

Rosz ha-Szana – Nowy Rok, pierwszy dzień roku żydowskiego (kalendarz żydowski jest kalendarzem księżycowo-słonecznym), *molad* (hebr. 'narodziny') nowiu Księżyca w miesiącu tiszri (wrzesień/październik). W Polsce zwane Świętem Trąbek Rosz ha-Szana jest dniem upamiętniającym stworzenie świata i, według tradycji

rabinicznej, przypomnieniem sądu Bożego. Rozpoczyna Straszne Dni (*Jamim Noraim*), czyli Dziesięć Dni Pokuty (*Aseret Jemaj Tszuwa*) – czas sądu Boga nad światem i ludźmi. Tradycja mówi, że w tym czasie Bóg otwiera niebiosa, w których zostały zapisane wszystkie czyny ludzi, aby wydać wyrok w Jom Kipur – Dzień Pojednania. Stąd zwyczajowe w Rosz ha-Szana życzenia: „Obyś został zapisany i zapieczętowany na dobry rok", a także zwyczaj spożywania jabłek z miodem, mających symbolizować nadejście pomyślnego czasu. Po popołudniowym nabożeństwie ortodoksyjni Żydzi udają się nad rzekę lub jezioro, gdzie w czasie recytowania modlitw wyrzucają do wody okruchy chleba z kieszeni, co oznacza symboliczne oczyszczenie. Zwyczaj ten nosi nazwę *taszlich*. W Nowy Rok rozlega się też dźwięk szofaru (rogu baraniego), wzywającego do modlitwy.

slichot (l.poj. slicha – hebr. 'przebaczenie') – rodzaj pijutu (poematu liturgicznego) wyrażającego prośbę o odpuszczenie grzechów. W l.mn. termin ten określa specjalny porządek nabożeństwa odprawianego we wszystkie posty oraz w *Jamim Noraim*.

szabat, sabat, szabas, szabes – siódmy dzień tygodnia, jest dniem świątecznym przeznaczonym na odpoczynek. Od piątkowego do sobotniego wieczoru obowiązuje rygorystyczny nakaz powstrzymywania się od pracy. Zakaz pracy można złamać jedynie w przypadku zagrożenia życia lub opieki nad chorym. W obrębie miejsca zamieszkania

nie ma żadnych ograniczeń w poruszaniu się, ale nie można go opuszczać na odległość większą niż dwa tysiące kroków. W piątek wieczorem, po modłach w synagodze, urządza się w domu uroczystą kolację. Trzem uroczystym posiłkom spożywanym podczas szabatu towarzyszy odmawianie specjalnych hymnów. Kobieta (matka) zapala dwie świece przed rozpoczęciem szabatu, odmawiając przy tym specjalne błogosławieństwo, mężczyzna będący głową rodziny odmawia przed posiłkiem *kidusz* – błogosławieństwo nad winem, wysławiające Boga za dar szabatu. Błogosławi się również dwie chały, specjalnie upieczone na szabat. Świętowanie kończy się o zachodzie słońca w sobotę poświęceniem wina, błogosławieństwem nad ogniem świecy hawdalowej i nad wonnościami – *besamim*, których zapach ma osłodzić zakończenie szabatu.

Szabat ha-Chodesz – ostatni z czterech szabatów wiosennych, na które przeznaczone są specjalne czytania Tory; obchodzony na pamiątkę wprowadzenia przez Mojżesza kalendarza święta Pesach; bezpośrednio poprzedza on lub przypada pierwszego dnia nisan (marzec/kwiecień).

talis, talit, tałys (jid. *tałes*) – jeden z dwóch, obok *tefilin*, przedmiotów służących do codziennej modlitwy, chyba najbardziej charakterystyczny element żydowskiego stroju modlitewnego. Jest to biały prostokątny szal dawniej wykonany z wełny lub lnu, obecnie także z bawełny czy jedwabiu, ozdobiony błękitnymi lub czarnymi pasami. Ważną częścią talitu są *cicit* (w jidysz *cyces*), podłużne frędzle na

czterech rogach szala. Talit był zwyczajnym odzieniem noszonym przez mężczyzn w starożytności. U Żydów religijne znaczenie miały jedynie owe frędzle. Jednak po wygnaniu z Ziemi Izraela, Żydzi zaczęli przejmować stroje innych narodów, porzucając tym samym talit jako element codziennego stroju. Dlatego stał się on elementem stroju liturgicznego. Dziś talit jest noszony tylko przez mężczyzn w czasie porannej modlitwy, a także podczas wszystkich nabożeństw święta Jom Kipur. Chazan w synagodze zakłada talit także na modlitwy popołudniowe i wieczorne, tak samo jak osoba czytająca fragment Tory podczas modlitwy *mincha* w dni postu. W dni powszednie talit zakłada się przed założeniem *tefilin*. Wśród szczególnie religijnych Żydów praktykowany jest zwyczaj zakładania talitu i *tefilin* w domu i wychodzenia do synagogi w tym stroju, a także przykrywania talitem głowy podczas modlitwy. Ma to symbolizować przebywanie pod osłoną świętości przykazań Tory, powierzenie się woli Bożej. Zwykle jednak podczas modlitwy okrywane są tylko ramiona, a jedynie członkowie rodu kapłańskiego (*kohanim*) przykrywają głowy podczas *Birkat ha-Kohanim* (błogosławieństwa kapłanów) w Jom Kipur. Zwyczajowo podczas ostatniej części modlitwy *Szema* odmawianej rano, w której mowa o przykazaniu *cicit*, trzy razy dotyka się nimi oczu i całuje się je. Rodzajem talitu noszonego na co dzień jest *talit katan* (mały talit). Jest to prostokątny kawałek materiału z wełny bądź lnu z wycięciem pośrodku na głowę oraz z frędzlami *cicit* na rogach. Podczas gdy zwykły talit zakłada się tylko do porannej modlitwy, *talit katan* noszony jest

przez szczególnie religijnych Żydów pod ubraniem przez cały dzień, tak aby całkowicie wypełnić biblijne przykazanie dotyczące *cicit*, które mają przypominać o wypełnianiu wszystkich przykazań Tory. *Talit katan* nosi się tak, aby był widoczny, a jeśli nie, to przynajmniej *cicit* muszą być widoczne na zewnątrz. Jeśli *talit katan* jest noszony pod wierzchnim ubraniem, to nie może on stykać się bezpośrednio z ciałem. Przy zakładaniu małego talitu odmawiane jest błogosławieństwo. Flaga dzisiejszego Izraela wzorowana jest na talicie.

Tanach – słowo-skrót, którym nazywa się Stary Testament, utworzone z inicjałów trzech podstawowych części Biblii Hebrajskiej: Tora (Prawo – Pięcioksiąg, pierwsze pięć ksiąg Biblii), Newiim (Prorocy – druga część Biblii składająca się z 21 ksiąg) i Ketuwim (Pisma – trzecia część Biblii).

tefilim, tefilin, zwane z greckiego filakteriami – dwa pudełeczka w kształcie sześcianu wykonane ze skóry pomalowanej na czarno, zaopatrzone w czarne rzemienie, zawierające zwoje pergaminu z wersetami biblijnymi. Religijni Żydzi zakładają je na rękę i na głowę na czas modlitwy. Przykazanie *tefilin* przestrzegane jest zgodnie ze słowami Tory zawartymi w wersetach Księgi Wyjścia 13,1–10 oraz 11–16 i Księgi Powtórzonego Prawa 4,4–9 oraz 11,13–21. Cztery wymienione powyżej fragmenty Tory zapisuje się na pergaminie wykonanym ze skóry czystego zwierzęcia, który umieszcza się w pudełeczku. *Tefilin* mają wypisaną po obu stronach literę *szin*, pierwszą literę hebrajskiego

słowa *Szadaj* – Wszechmocny. Porządek zakładania *tefilin* jest ściśle określony. Najpierw zakłada się talit, a później *tefila* przeznaczone do noszenia na ramieniu. Umieszcza się je nad lewym łokciem tak, aby znajdowało się naprzeciwko serca. Osoby leworęczne zakładają *tefila* na prawą rękę, mimo że nie będzie się ono znajdować przy sercu. Rzemień zakłada się, odmawiając jednocześnie błogosławieństwo, i okręca się go siedmiokrotnie wokół przedramienia między łokciem a nadgarstkiem. W tym momencie przerywa się zakładanie *tefila* naręcznego i przechodzi do zakładania drugiego *tefila* na głowę. Umieszcza się je na głowie tak, aby spoczywało pośrodku i mocuje się węzłem rzemienia, który ma się znaleźć z tyłu szyi. Natomiast oba końce rzemienia mają zwisać z przodu, po obu stronach szyi. W czasie zakładania drugiego *tefila* odmawia się odpowiednie błogosławieństwo. Na koniec owija się rzemienie *tefila* naręcznego w przepisany sposób wokół środkowego i serdecznego palca dłoni, tak aby ułożyły się w kształt liter *szin* i *dalet*. Jednocześnie recytowany jest odpowiedni werset z Księgi Ozeasza. *Tefilin* zakładane są w dni powszednie, natomiast w szabat i w dni świąteczne nie. Obowiązek zakładania *tefilin* mają mężczyźni i chłopcy od trzynastego roku życia, ale zwykle zaczynają wcześniej dla nabrania wprawy.

zmurot, zmirot – pieśni i hymny śpiewane przy stole w czasie posiłku w szabat. Śpiewa się je do tradycyjnych melodii przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Opracował Krzysztof Kocjan na podstawie: *Kalendarz Żydowski 1983–1984 (5744),* Warszawa 1983; Magda Bendowska, *Mini słownik podstawowych terminów judaistycznych*, Warszawa 1993; *Polski Słownik judaistyczny*, t. 2, opracowali Zofia Borzymińska i Rafał Żebrowski, Warszawa 2003.

SPIS TREŚCI

Aby nie okazało się, że została tylko pustka
(Michał Ostrowski) 5

Mój wujek Mosze (Bronia Witorz) 11

W TAJGACH SYBIRU 19

Wojna 21
Ja z siostrą uciekamy na wschód 28
Na wschód 37
Przeprawa przez San 45
Do kopalni węgla w Donbasie 54
Wypędzeni na Sybir 62
Ja z siostrą w Jurze 69
Jur 77
Jom Kipur w lesie 82
Ostatni kawałek chleba 88
Zima w tajdze 95
Raj na ziemi 103
Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej 110
Kopalnia złota w Minorze 114
Kopalnie złota 117
Ciortowa Ułowa (Szatańska Pułapka) 122
Święta na rzece Ałdan 128

W Jakucku 135
Pożegnanie z Jakuckiem 141
„Wierchojańsk” 149
Zorza polarna 177
Jom Kipur na okręcie w kręgu polarnym 180
Spotkanie z siostrą 188
Zima w Zataju 196
Idziemy z lodem 203
Do Ameryki? 211
Między Jakutami 223
Pożegnanie z okrętem „Wierchojańsk” 237
Błysk nadziei 243
Nieszczęście na stacji kolejowej 251
Prywołżski Sowchoz 258
Kogo wy szukacie?… 272

Fotografie 287

Słowniczek 301

Mosze Berger
W tajgach Sybiru

© Copyright by Mosze Berger
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Austeria

Opracowanie tekstu
Renata Dziechciarz, Olgerd Dziechciarz, Krzysztof Kocjan, Jerzy Roś

Opracowanie graficzne
Marianna Cielecka

Na okładce wykorzystano zdjęcie ze zbiorów autora,
wykonane w lesie Jur na Syberii zimą 1941 r.

Kraków · Budapeszt 2017

ISBN 978-83-7866–007-1

Wydawnictwo Austeria
Klezmerhojs sp. z. o. o.
31–053 Kraków, ul. Szeroka 6
tel. (12) 411 12 45
austeria@austeria.pl
www.austeria.eu

MOSZE (MONIEK) BERGER urodził się 2 listopada 1919 roku w Olkuszu w rodzinie żydowskiej zamieszkałej na Parczach przy ulicy Sobieskiego 6. W Olkuszu ukończył szkołę powszechną (dziś Szkoła Podstawowa nr 1) i wieczorową szkołę zawodową, pracował jako malarz. Po zajęciu Olkusza przez Niemców wobec rosnącego antyżydowskiego terroru hitlerowskiego w listopadzie 1939 roku razem z siostrą opuścił dom rodzinny, by przedostać się na wschód na tereny zajęte przez Sowietów. W związku z odmową przyjęcia obywatelstwa sowieckiego i zadeklarowaniem chęci powrotu do części Polski zajętej przez Niemców, pod koniec czerwca 1940 roku został wywieziony przez Sowietów z Sambora na Syberię, gdzie spędził pięć lat. W 1945 roku wrócił do Polski. W Olkuszu nie zastał nikogo z najbliższej rodziny – rodzice wraz z dwiema siostrami w czerwcu 1942 roku (likwidacja getta) zostali wywiezieni na śmierć do obozu Birkenau, trzecia siostra zginęła w innym obozie. Osiadł zatem we Wrocławiu, gdzie ukończył szkołę malarską. W 1948 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Centralnym Zarządzie Przemysłu Mleczarskiego. W 1957 roku wyjechał do Izraela, gdzie do 72. roku życia pracował w szpitalu jako magazynier sprzętu leczniczego. W 1992 roku izraelskie Ministerstwo Obrony opublikowało po hebrajsku jego wspomnienia *W tajgach Sybiru*, pisane oryginalnie po polsku. W roku 2011 decyzją Rady Miejskiej w Olkuszu Mosze Berger został honorowym obywatelem Olkusza. W ostatnich latach mieszkał w Holonie, gdzie mimo podeszłego wieku pracował jako wolontariusz w szpitalu oraz zajmował się malarstwem. Niedawno zdążył się jeszcze ucieszyć, że jego książka zostanie powtórnie wydana po polsku. Polska i Olkusz były mu zawsze bliskie. Zmarł 21 marca 2017 roku.

ISBN 978-83-7866-007-1
9 788378 660071

AUSTERIA